

Håkan Nesser

Sprawa Ewy Moreno

Przełożył Paweł Pollak

Tytuł oryginału *Ewa Morenos fall*



*Tak niszczyliśmy sobie życie, w chwilach gdy naszym
działaniom nie przypisujemy właściwej im wagi.*

Tomas Borgmann, filozof

I

21 lipca 1983

Winnie Maas zginęła, bo zmieniła zdanie.

Później byli, owszem, i tacy, którzy twierdzili, że zginęła, bo była ładna i głupia. Kombinacja powszechnie uznawana za niebezpieczną.

Albo dlatego że była łatwowierna i ufała niewłaściwym ludziom.

Albo dlatego że jej ojciec był łajdakiem i zostawił rodzinę na pastwę losu, na długo przedtem zanim Winnie odzwyczała się od pieluch i smoczka.

Znaleźli się też tacy, których zdaniem Winnie Maas nosiła troszkę za krótkie spódniczki i troszkę za ciasne bluzeczki i że właściwie sama była sobie winna.

Żadne z tych wyjaśnień nie było tak do końca pozbawione podstaw, ale przesądziło właśnie to. Że zmieniła zdanie.

Na sekundę przed upadkiem na ziemię i roztrzaskaniem głowy o bezlitosną stalową szynę dotarło to nawet do niej samej.

Starła odrobinę zbyt ciężkiej szminki i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Otworzyła szerzej oczy, zastanawiając się, czy nie nałożyć nieco więcej tuszu. Pamiętanie cały czas o rozszerzaniu oczu było uciążliwe, prościej dać trochę więcej koloru na dole. Pociągnęła cienką linię kredką i pochyliła się do lustra, sprawdzając efekt.

Ślicznie, pomyślała i skierowała uwagę na usta. Odśloniła zęby. Były równe i białe, a dziąsła na szczęście chowały się wysoko pod górną wargą – nie jak u Lisy Paaske, ładnej wprawdzie za sprawą skośnych zielonych oczu i wystających kości policzkowych, ale która ciągle musiała mieć poważną minę, co najwyżej mogła się lekko, zagadkowo uśmiechać. Wszystko przez odsłonięte dziąsła. Brr, pomyślała Winnie Maas. Udreka.

Popatrzyła na zegarek. Za piętnaście dziewiąta. Chyba najwyższy czas, żeby wyjść. Wstała, otworzyła drzwi garderoby, żeby przyjrzeć się też całej sylwetce. Wypróbowała kilka póz, wysuwając do przodu na przemian piersi i biodra. Wyglądała atrakcyjnie, zarówno na dole, jak i na górze; właśnie usunęła cztery włoski, które się niebezpiecznie blisko granicy bikini. Co prawda jasne, ale zawsze.

– Idealne – powiedział Jürgen. – Niech mnie diabli, Winnie, masz idealne ciało.

– Apetyczna – z tym, jak pamiętała, wyjechał Janos. – Jesteś tak cholernie apetyczna, Winnie, że mi staje, jak tylko przechodzę koło twojego domu.

Uśmiechnęła się, kiedy pomyślała o Janosie. Był chyba najlepszy ze wszystkich. Robił to we właściwy sposób. Miał wycucie, pewną subtelność, to, o czym pisali we „Flashu” i „Girl-zone”.

Janos. Tak, w sumie trochę przykre, że nie wypadło na Janosa.

Chrzanić to, pomyślała, poklepując się po pośladkach. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Wygrzebała w komodzie stringi, ale nie znalazła czystego stanika, postanowiła więc pójść bez. Nie był jej potrzebny. Piersi miała na tyle małe i jędrne, że nie zwisały. Jeśli miałyby jakieś życzenia co do własnego ciała, to właśnie o trochę większe piersi. Niedużo, tylko odrobinę. Wprawdzie Dick powiedział, że ma najładniejsze cycki na świecie, i ssał je, i ugniatał tak, że potem przez kilka dni ją bolały – ale kilka gramów więcej naprawdę by nie zaszkodziło.

Choć pewnie przybędzie, pomyślała. Wciągnęła T-shirt przez głowę i wbiła się w wąską spódnicę. Tak, wkrótce miały przybyć dodatkowe gramy i deka, to tylko kwestia czasu. Jeśli nie...

Jeśli ona nie...

Kurwa, pomyślała, zapalając papierosa. Mam dopiero szesnaście lat. Stara miała wtedy siedemnaście i proszę, co się z niej zrobiło.

Dokonała ostatniego przeglądu w lusterku, oblizała ostrożnie wargi i wyszła z domu.

Pirs Frieder o wpół do dziesiątej, tak powiedział. Przyjeżdżał pociągiem o wpół do dziewiątej, ale chciał najpierw pójść do domu wziąć prysznic. Nie miała oczywiście nic przeciwko temu, lubiła chłopaków dbających o higienę. Umyte włosy i brak brudu pod paznokciami stanowiły w jakiś sposób o klasie. Mieli się zobaczyć po raz pierwszy od trzech tygodni. Był w Saaren u wujka. Pracował i jednocześnie miał wakacje; kilka razy rozmawiali przez telefon, dyskutowali o „sprawie”, ale nie powiedziała mu, że zmieniła zdanie. Chciała to zrobić dziś wieczorem. Lepiej oko w oko, tak myślała.

Wieczór był gorący. Kiedy zeszła na plażę, czuła się niemal spocona po krótkim spacerze. Ale nad morzem było chłodniej. Od wody wiał lekki, przyjemny wiaterek. Zdjęła płócienne pantofle i ruszyła bosą po piasku. Drobne ziarenka przesypujące się między palcami dawały miłe uczucie. Prawie jakby znowu była dzieckiem. Zdzierały oczywiście lakier z paznokci, ale później miała zamiar nałożyć buty. Zanim On przyjdzie. Lubiała myśleć o nim przez duże O. Był tego wart. Choć jeśli będzie chciał się z nią kochać, uświadomiła

sobie, to raczej bez butów. Zresztą chyba bez różnicy, palce u nóg nie były tym, co go w takiej sytuacji najbardziej interesowało.

A dlaczego miałby nie chcieć się z nią kochać? Do cholery, przecież nie widzieli się bardzo długo!

Przystanęła i zapaliła następnego papierosa. Podeszła trochę bliżej wody, gdzie piasek nie był tak sypki i łatwiej się szło. Plaża była o tej porze właściwie wyludniona, choć nie całkiem pusta. Czasami pojawiał się jakiś biegacz lub ktoś z psem, wiedziała też – z własnego doświadczenia – że wyżej, wśród wydm młodzi baraszkowali na kocach, jak zwykle latem. Zresztą może za godzinę także będzie leżała na kocu.

Może tak, a może nie.

Zależy pewnie od tego, jak on zareaguje. Zaczęła się nad tym zastanawiać. Rozzłości się? Czy złapie ją i będzie nią potrząsał, jak wtedy w Horsens, gdy była na hajcu i paplała, że Matti Frege ma ładne muskuły?

Czy też zrozumie i przyzna jej rację?

A może ją przekona. Nie było to oczywiście zupełnie wykluczone. Może jego ogromna miłość skłoni ją do ponownego przemyślenia sprawy. No i pieniądze, rzecz jasna. Czy mogło się tak zdarzyć?

Nie, raczej nie. Czowała się silna i pewna swego, choć nie wiedziała, skąd się jej to bierze. Może stąd, że przez kilka tygodni była sama i mogła w spokoju pomyśleć.

Wiedziała, że bardzo ją kocha. Powtarzał to często, ba, właściwie za każdym razem, kiedy się spotykali. Wiedzieli od dawna, że z czasem będą razem. Nie mieli wątpliwości. Pośpiech nie był potrzebny.

Za to potrzebne im były pieniądze.

Pieniądze na jedzenie. Na papierosy, ubrania, może na jakieś mieszkanie. Zwłaszcza w przyszłości bez pieniędzy się nie obejdują, dlatego zrobili, co zrobili...

Myśli zaczęły krążyć w głowie, spostrzegła, że ma kłopot z ich uporządkowaniem. Kłopot z uzyskaniem jakiegoś ładu. Tak wiele rzeczy musiała brać pod uwagę, kiedy wdawała się w podobne rozważania, że w końcu nie wiedziała, na czym stoi. Niemal zawsze tak się działo, więc było jej przyjemnie, gdy ktoś inny mógł podjąć za nią decyzję. Zdecydować w tych trudnych sprawach, żeby ona mogła myśleć o rzeczach, o których myśleć lubiła.

Uderzyło ją, że może dlatego była zakochana właśnie w nim. W N i m. Lubił decydować o sprawach trochę poważniejszych i skomplikowanych. Jak na przykład teraz. Tak, z pewnością właśnie dlatego go kochała i chciała być jego. To fakt. Nawet jeśli z tą

ostatnią sprawą nie wyszło i musiała zmienić zdanie.

Dotarła do pirsu i rozejrzała się w znikającym świetle zmierzchu. Jeszcze nie przyszedł, była kilka minut wcześniej. Mogła pójść dalej plażą, wychodząc mu na spotkanie, miał przyjść z drugiej strony, mieszkał w Klimmerstoft, ale zrezygnowała. Usiadła na jednym z niskich kamiennych pali, które biegły po obu stronach pirsu na całej długości. Zapaliła kolejnego papierosa, chociaż właściwie nie miała ochoty, i spróbowała myśleć o czymś przyjemnym.

Pojawił się po kwadransie. Trochę spóźniony, ale niewiele. Dużo wcześniej zobaczyła jego białą koszulę zbliżającą się w szarym mroku, ale została na miejscu, dopóki nie znalazł się tuż przy niej. Wtedy wstała. Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem. Pocałowała go.

Poczuła, że smakuje wódką, ale tylko trochę.

– Jesteś z powrotem.

– Tak.

– Jak było?

– Fajnie.

Zamilkli na chwilę. Trzymał ją mocno za ramiona.

– Jest jedna rzecz – powiedziała.

– Tak?

Zwolnił nieco uścisk.

– Zmieniłam zdanie.

– Zmieniłaś zdanie?

– Tak.

– Co, kurwa, przez to rozumiesz? Wyjaśnij mi.

Wyjaśniła. Miała trudności ze znalezieniem właściwych słów, ale powoli chyba zrozumiał, co chciała powiedzieć. Najpierw nic nie odpowiedział, a w ciemności nie mogła wyraźnie zobaczyć jego twarzy. Minęło pół minuty, może cała, tylko stali naprzeciwko siebie, oddychając w rytm morza i fal. Teraz w ogóle jej nie trzymał. Było to odrobinę nieprzyjemne.

– Przejdziemy się – odezwał się w końcu, obejmując ją ramieniem. – I trochę porozmawiamy. Mam pewien pomysł.

Lipiec 1999

Helmut sprzeciwiał się od samego początku.

Kiedy później próbowała wszystko sobie przypomnieć, musiała mu to przyznać. Fanaberia, stwierdził. Idiotyczny wymysł.

Przez kilka sekund wpatrywał się w nią bladymi oczami, opuściwszy gazetę, szczęki powoli mu pracowały, po czym potrząsnął głową.

Nie wiem, czemu miałyby to służyć. Zupełnie niepotrzebne.

Tylko tyle. Helmut nie należał do gadatliwych. Był bardziej z kamienia niż z prochu i najwyraźniej z powrotem ku niemu zmierzał.

Z kamienia powstałeś i w kamień się obrócisz. Ta myśl nie była dla niej nowa.

Na dobre i na złe, oczywiście. Wiedziała przecież, że nie szuka burzy ani ognia, kiedy go wybrała – nie miłości i namiętności – tylko skały. Szarej, stabilnej opoki, na której mogła pewnie stanąć, nie ryzykując, że ponownie ugrzęźnie w bagnie rozpacz.

Mniej więcej tak.

Mniej więcej tak pomyślała przed piętnastoma laty, kiedy zapukał do jej drzwi, tłumacząc, że ma butelkę burgunda kupioną na urlopie, ale nie zdoła wypić jej sam.

A jeśli nie pomyślała tego w chwili, gdy stał za drzwiami, to na pewno niewiele później. Gdy zaczęli się na siebie natykać.

W pralni. Na ulicy. W sklepie.

Albo gdy w ciepłe letnie wieczory kołysała na balkonie Mikaelę do snu, a on oparty o balustradę sąsiedniego balkonu trzy metry dalej palił fajkę, patrząc na resztki światła zachodzącego słońca, rozpościerające się na ogromnym zachodnim niebie otwartym nad polderami.

Tuż za ścianą. To było jak myśl.

Bóg opiekuńczości, który wyciągał do niej kamienny palec, gdy dryfowała w łupinie po morzu uczuć.

Do niej i do Mikaeli. Tak, tak właśnie było, czasami na wspomnienie tego uśmiechała się, czasami nie.

W każdym razie piętnaście lat temu. Mikaela miała trzy lata. Teraz osiemnaście. W te

wakacje kończyła osiemnaście lat.

– Jak powiedziałem – powtórzył zza gazety. – Nie będzie od tego szczęśliwsza.

Dlaczego go nie posłuchała? Raz po raz wracało do niej później to pytanie. W dniach zwątpienia i rozpacz. Kiedy próbowała zebrać siły, żeby przejrzeć od początku ogniwa łańcucha – znaleźć przyczyny, dla których postąpiła, jak postąpiła... lub żeby nie myśleć o niczym; brakło sił, by właśnie wtedy rozmawiać. Właśnie w czasie piekła tego lata.

Postąpiła jak należało, tak uważała. Przecież postąpiłam słusznie, tak trzeba było. Dotrzymać obietnicy, odkrywając to, co leżało pogrzebane przez wszystkie te lata. Też jakby kamień. Ciemny głaz zatopiony na dnie zamulonej studni zapomnienia, który jednak obiecała wyłowić, gdy nadejdzie czas.

Oczywiście ostrożnie, z wyczuciem, ale jednak wydobyć na światło dzienne. Nie dało się uniknąć pokazania go Mikaeli. To była konieczność, jakkolwiek na to spojrzeć; brak równowagi przez tyle lat, którą trzeba było przywrócić. Teraz.

W osiemnaste urodziny. Nawet jeśli o tym nie rozmawiali, Helmut chyba też zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział od zawsze, choć wołał nie wiedzieć... musiał nadejść dzień, w którym Mikaela dowie się prawdy, nikt nie miał prawa ukrywać przed dzieckiem jego pochodzenia. Chować korzeni pod kurzem czasu i codziennych zajęć. Wypuszczać w życie na manowce.

Życie? Prawda? Później nie mogła zrozumieć, jak w jej myślach wykluły się takie wielkie słowa. Czy nie właśnie ta wyniosłość się zemściła, zwróciła przeciwko niej? Właśnie ta wyniosłość?

Kim ona była, żeby rozstrzygać, co jest słuszne, a co nie? Kim była, żeby tak lekko osądzać i odrzucać mrukliwe zastrzeżenia Helmuta, nie zastanawiając się nad nimi nawet trzy czwarte sekundy?

Dopiero po fakcie. Kiedy wszystko wydawało się przegrane. W te dni i noce, kiedy nic nie miało krzty sensu czy wartości, kiedy stała się robotem i tylko obserwowała stare myśli, które przesuwwały się w jej świadomości niczym porwane strzępy chmur na ołowianoszarym nocnym niebie śmierci. Pozwalała im płynąć w ich beznadziejnej wędrówce od horyzontu do horyzontu.

Od zapomnienia do zapomnienia. Noc do nocy, ciemność do ciemności.

Z kamienia powstałeś.

Z twych otwartych ran unosi się milczący krzyk do martwego nieba.

Ból kamienia. Twardszy od wszystkiego.

I obłąd, obłąd we własnej postaci czał się za węglem.

Osiemnaste urodziny. Piątek. W lipcu gorącym jak piekło.

– Porozmawiam z nią, kiedy wróci z treningu – powiedziała. – W ten sposób nie będziesz musiał przy tym być. Potem w spokoju możemy zjeść obiad. Mam przecucie, że przyjmie to dobrze.

Najpierw naburmuszone milczenie.

Jeśli to konieczne – padło później. Kiedy już stała przy zlewie i przepłukiwała filiżankę. – Ty bierzesz na siebie odpowiedzialność. Nie ja.

– Muszę – broniła się. – Pamiętaj, że obiecałam jej, kiedy kończyła piętnaście lat. Jest luka, którą trzeba wypełnić. Ona tego oczekuje.

– Nigdy o tym nie wspominała – rzekł. Półgębkiem. Odwrócony.

Prawda. To też musiała mu przyznać.

– Fanaberia, ale zrobisz, jak zechcesz. Tylko co osiągniesz?

Tyle powiedział. Dokładnie tyle słów. Potem wyszedł.

Fanaberia?

Robię to dla niej czy dla siebie? Zastanowiła się.

Powód? Motywy?

Niewyraźne jak przestrzeń między snem a jawą.

Nieprzejrzyste jak sam kamień.

Głupoty. Słowa bez treści. Teraz wie.

9 lipca 1999

Kiedy inspektor kryminalny Ewa Moreno stanęła przed drzwiami gabinetu komisarza Reinharta, była za piętnaście trzecia, a ona marzyła o kuflu zimnego piwa.

Gdyby należała do innej warstwy społecznej lub miała więcej fantazji, marzyłaby może o kieliszku zimnego szampana (czy nawet trzech lub czterech), ale tego dnia wszelką umiejętność wczuwania się wypociła już we wczesnych godzinach rannych. Temperatura przekroczyła trzydzieści stopni, utrzymując się na tym poziomie cały dzień. Zarówno w mieście, jak i w komendzie policji. Wyż prażył jak zapomniane, obłąkańcze żelazko i właściwie, nie licząc zimnych napoi, były tylko dwie możliwości przetrwania: plaża i cień.

W komendzie policji w Maardam tej pierwszej ze świecą by szukać.

Ale były żaluzje. I pozbawione słońca korytarze. Moreno zatrzymała się z ręką na klamce, powstrzymując myśl (również ospałą jak opita coca-colą plujka, więc walka była dość wyrównana), by tej klamki nie naciskać. By uciec.

Zamiast wchodzić do środka, żeby dowiedzieć się, dlaczego Reinhart chciał z nią rozmawiać. Miała ku temu powody. A przynajmniej jeden: niecałe dwie godziny dzieliły ją od urlopu.

Dwie godziny. Sto dwadzieścia dusznych minut. Jeśli nie wydarzy się coś nieprzewidzianego.

Intuicja podpowiadała Moreno, że nie poprosił jej, by życzyć miłego urlopu. Nie było to w jego stylu, no i zabrzmiało inaczej.

Jeśli nic nieprzewidzianego...?

W dziwny sposób to nieprzewidziane dawało się dość łatwo przewidzieć. Gdyby można było coś wygrać, postawiłaby nawet parę guldenów. Tak było w tym szarym zawodzie gliniarza, zresztą nie pierwszy raz.

Uciec czy nie uciec? Mogła potem powiedzieć, że coś jej wypadło. Że nie miała czasu zajrzeć, tak jak ją prosił.

Zajrzeć? Czy nie brzmiało to podstępnie?

Zajrzyj do mnie na chwilę po lunchu. Nie zajmie nam dużo...

Do cholery, pomyślała. Podstępny jak głodna kobra.

Po krótkiej wewnętrznej walce mucha utonęła, zwyciężyła luterkańsko-kalwińska moralność gliniarza. Moreno westchnęła, nacisnęła kławkę i weszła do środka. Usiadła w fotelu, a jej obawy tańczyły jak zwariowane motyle koło skroni. I w żołądku.

– Jaką miałeś do mnie sprawę?

Reinhart palił przy oknie fajkę, a z jego wyglądu wniosując, nie zapowiadało się nic dobrego. Zauważyła, że na nogach miał kławkę. Jasnoniebieskie.

– Salve – przywitał się. – Napijesz się czegoś?

– A co masz? – Moreno w duchu znowu widziała kufel zimnego piwa.

– Wodę. Gazowaną lub nie.

– To zrezygnuję, jeśli się nie obrazisz. No?

Reinhart podrapał się po zaroście, odkładając fajkę na parapet koło doniczki.

– Znaleźliśmy Lampego-Leermanna.

– Lampego-Leermanna?

– Tak.

– Znaleźliśmy? My?

– Koledzy. W Lejnicach. Właściwie w Behrensee, ale wzięli go do Lejnic. Tam było najbliżej.

– Świetnie. Najwyższy czas. Jakieś problemy?

– Jeden.

– Naprawdę?

Usiadł naprzeciwko niej za biurkiem, patrząc na nią wzrokiem, który przypuszczalnie miał być uosobieniem niewinności. Moreno znała już ten wzrok i posłała przez okno coś w rodzaju modlitwy, której sens brzmiał: tylko nie to!

– Jeden problem – powtórzył Reinhart.

– Mów.

– Nie do końca chce współpracować.

Nie odpowiedziała. Reinhart przesunął papiery na biurku, jakby wahał się przed dalszymi wyjaśnieniami.

– Czy, ściślej rzecz biorąc, chce współpracować, ale pod jednym warunkiem. Chce rozmawiać z tobą.

– Co?

– Pod warunkiem że będzie rozmawiał z...

– Słyszałam, co powiedziałeś – przerwała Moreno. – Dlaczego, do licha, chce rozmawiać ze mną?

– Bóg jeden wie – stwierdził Reinhart. – Tak to w każdym razie wygląda, nie możesz mieć pretensji do mnie. Lampe-Leermann gotów jest złożyć wyczerpujące zeznania, pod warunkiem że złoży je u twoich stóp. Nikt inny nie wchodzi w grę. Twierdzi, że nie lubi facetów gliniarzy, w sumie dziwne, nie?

Moreno przez chwilę patrzyła na obraz wiszący nad głową Reinharta. Przedstawiał świnię ubraną w garnitur, która rzucała z ambony telewizory na podekscytowane owcze łby. A może byli to sędziowie w perukach, trudno było rozstrzygnąć. Wiedziała, że komendant główny policji wielokrotnie próbował skłonić Reinharta do zdjęcia obrazu, ale na próżno. Rooth twierdził, że symbolizuje wolność myśli i poziom świadomości w policji, a Moreno miała niejasne przeczucie, że interpretacja była całkiem niegłupia. Choć nigdy Reinharta o obraz nie pytała. Komendanta zresztą też nie.

– Za dwie godziny zaczynam urlop – spróbowała łagodnego uśmiechu.

– Siedzi w Lejnicach – ciągnął niezrażony Reinhart. – Całkiem ładne miejsce. Uwiniesz się w jeden dzień. Góra dwa.

Moreno wstała i podeszła do okna.

– Choć jeśli wolisz, bez problemu możemy ściągnąć go tutaj – zaproponował Reinhart za jej plecami.

Wyrzała na miasto przytłoczone wyżem. Panował zaledwie od kilku dni, ale wyraźnie nie miał zamiaru ustąpić. Tak powiedziała pani Bachman z pierwszego piętra i tak twierdzili meteorolodzy w telewizji. Zdecydowała się nie odpowiadać. W każdym razie nie bez dobrego adwokata czy konkretnej propozycji. Minęło dziesięć sekund, słychać było tylko odgłosy miasta i plaskanie kłapek Reinharta, kiedy poruszał stopami.

Kłapki? Pomyślała. Mógł przynajmniej sprawić sobie sandały. Komisarz kryminalny w jasnoniebieskich kłapkach?

Może w czasie lunchu poszedł się wykapać i zapomniał zmienić buty? Albo był na naradzie u komendanta i nałożył je w ramach lekceważącego protestu. Reinharta trudno było rozgryźć, lubił zawsze z czymś wyskoczyć.

W końcu się poddał.

– Do ciężkiej cholery, rusz się, pani inspektor. Szukaliśmy tego skurczybyka od miesięcy. A teraz Vrommel go dorwał...

– Vrommel? Kto to jest Vrommel?

– Komendant miejski policji w Lejnicach.

Moreno niechętnie zaczęła się zastanawiać, nadal odwrócona plecami do Reinharta. Obraz Lampego-Leermann'a wyłonił się jej przed oczyma... ani chybi żadne znaczące

nazwisko w przestępczych kręgach, ale rzeczywiście ścigali go od jakiegoś czasu. Był podejrzany o udział w kilku napadach z bronią w ręku w marcu i kwietniu, ale nie to ich interesowało. A w każdym razie nie w pierwszej kolejności.

Najważniejsze były jego powiązania z pewnymi panami znacznie większego kalibru niż on sam. Grube ryby tak zwanej przestępczości zorganizowanej, żeby użyć wyświechtanego już określenia. Powiązania Lampego-Leermanna sięgały bez najmniejszych wątpliwości samej góry, a znany był z tego, że sypał. Znany z tego, że – przynajmniej w sytuacjach podbramkowych – myślał bardziej o własnej skórze niż o innych i chętnie dzielił się z policją swoją wiedzą o ciemnych sprawkach. O ile dostał coś w zamian i zachowano pewną dyskrecję.

Tym razem mógł coś dostać. W każdym razie mieli podstawy tak sądzić. Reinhart był o tym przekonany, a Moreno skłonna była się z nim zgodzić. Przynajmniej co do zasady. To dlatego szukano go nieco intensywniej niż zwykle. I dlatego go złapano. Akurat dzisiaj.

Chociaż fakt, że koniecznie chciał otworzyć serce przed inspektor Moreno, niewątpliwie trochę ich zaskoczył. Nie brali tego pod uwagę. Ani ona, ani nikt inny. Może tylko jakiś złośliwy władca ciemności... cholera, że też nigdy...

– Lubi cię – Reinhart przerwał jej myśli. – Nie ma się czego wstydzić. Może pamięta to przesłuchanie sprzed kilku lat, kiedy wzięliśmy go na zasadzie dobry glina, zły glina... nieważne, jest jak jest. Chce gadać z tobą i z nikim innym. Tyle że ten twój urlop...

– No właśnie – Moreno wróciła na fotel.

– Do Lejnic nie jest tak daleko, jakieś sto dwadzieścia, sto trzydzieści kilometrów...

Moreno nie odpowiedziała. Zamknęła oczy, wachlując się wczorajszą „Gazett”, którą wzięła ze sterty na biurku.

– ...a przypomniał mi się ten dom, do którego miałaś jechać. Czy to nie jest w Port Hagen?

Do cholery! Pomyślała Moreno. Pamiętał to. Odrobił zadanie domowe.

– Tak, zgadza się, w Port Hagen.

Reinhart znowu próbował wyglądać na uosobienie niewinności. Mógłby grać wilka w *Czerwonym Kapturku*, pomyślała.

– Jeśli się nie mylę, leży w pobliżu. Góra dziesięć kilometrów od Lejnic. Byłem tam kilka razy w dzieciństwie. Mogłabyś...

Moreno odrzuciła gazetę zmęczonym ruchem.

– Dobra – powiedziała. – Starczy. Załatwię to. Cholera, wiesz tak samo jak ja, że Lampe-Leermann to najbrzydliwszy typ pod słońcem... ten jego sygnet i, pomijając już

wszystko inne, śmierdzi starym czosnkiem... zauważ, że mówię „starym”, nie mam nic przeciwko świeżemu. Ale załatwię to, nie musisz się już wysilać. Szlag by trafił! Kiedy?

Reinhart podszedł do doniczki i zaczął czyścić fajkę.

– Powiedziałem Vrommlowi, że prawdopodobnie zjawisz się jutro.

Moreno popatrzyła na niego zdumiona.

– Ustaliłeś termin, nie pytając mnie?

– Powiedziałem, że prawdopodobnie będziesz jutro. Co, u diabła, z tobą jest? Nie gramy już w jednej drużynie, o co chodzi?

Moreno westchnęła.

– Okej. Przepraszam. I tak miałam zamiar wyjechać jutro z rana, więc nie muszę za bardzo zmieniać planów.

– Świetnie – powiedział Reinhart. – Zadzwoń do Vrommla, żeby potwierdzić. O której?

Zastanowiła się.

– O pierwszej. Powiedz, że będę o pierwszej i żeby nie dawali mu do jedzenia czosnku.

– Świeżego też nie?

Nie odpowiedziała. Kiedy wychodziła, przypomniał jej o wadze sprawy.

– Przyłóż się, żeby wydobyć z tej kanałii każde przekłete nazwisko, jakie zna. Zarówno ty, jak i on dostaniecie nagrodę za każdego sukinsyna, jakiego zamkniemy.

– Jasne – odrzekła Moreno. – Jak na komisarza za dużo przeklinasz. Ładny kolorek obuwia... robi takie młodzieńcze wrażenie.

Zanim Reinhart zdążył skomentować, znalazła się na korytarzu.

Dopiero w domu pod prysznicem zrozumiała, że był to omen.

Bo co innego? Jak inaczej to wytłumaczyć? Franz Lampe-Leermann, który po prostu wychynął z nicości, atakując jej urlop na dwie godziny przed jego rozpoczęciem? Zupełnie nieprawdopodobne. Albo całkowicie spodziewane, zależy, jak na to spojrzeć. Udawało mu się ukrywać przed policją mniej więcej od połowy kwietnia – wtedy, po dość nieudolnym napadzie na bank w Linzhuisen w Wielki Czwartek, zaczęli go ścigać wszystkimi siłami – i ta fujara dała się złapać właśnie teraz! Akurat w Lejnicach.

Lejnice. Małe, niepozorne miasto nad morzem, jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców. Plus kilka tysięcy latem. Leżące – Reinhart się nie mylił – nie więcej niż dziesięć kilometrów od miejsca, w którym planowała spędzić dwa pierwsze tygodnie urlopu.

Port Hagen. Jeszcze mniejsza miejscina, ale miejsciny czasami bywają urocze, a właśnie tam Mikael Bau miał letni dom.

Mikael Bau, pomyślała. Mój sąsiad i obecny partner.

Obecny? zastanowiła się. Partner? Głupio brzmiało. Ale wszystko inne jeszcze gorzej. A przynajmniej nie pasowało.

Narzeczonego? Kochanek? Chłopak!

Czy można mieć chłopaka, kiedy się ma trzydzieści dwa lata?

Może po prostu mój facet, rozstrzygnęła. Zamknęła oczy, wcierając we włosy szampon joboba. Żyła bez faceta przez ponad dwa lata po rzuceniu Clausa Badhera i nie były to bynajmniej najlepsze lata. Ani dla niej, ani dla jej otoczenia, szczerze potrafiła to przyznać.

Nie chciałyby do tych lat wrócić, chociaż może czegoś ją nauczyły. Może tak należało na to patrzeć. Tym bardziej nie chciałyby wrócić do lat z Clausem. Za nic w świecie.

Razem siedem zmarnowanych lat, podsumowała. Pięć z Clausem, dwa samotnie. Miało się z tego uzbierać całe zmarnowane życie? Czy ku temu zmierzała?

Kto wie? Życie się toczy, gdy my jesteśmy zajęci swoimi planami. Nacieriała głowę jeszcze przez chwilę, po czym splukała.

Jak rozwinię się związek z Mikaelem, za wcześnie było prorokować. Ona w każdym razie nie miała na to ochoty, nie w tej chwili. Zaczęli spotykać się w zimie; zaprosił ją na

kolację tego samego dnia, w którym jego poprzednia dziewczyna z nim zerwała – w połowie grudnia, w czasie tych okropnych tygodni, kiedy szukali człowieka, który zamordował Ericha Van Veeterena – ale minął miesiąc, zanim zrewanżowała się zaproszeniem. I kolejne półtora, zanim zrobiła ostateczny krok i poszła z nim do łóżka. Czy raczej zanim razem zrobili ostateczny krok. Na początku marca. Dokładnie czwartego, pamiętała, bo wtedy jej siostra miała urodziny.

Potem oczywiście nadal się spotykali. Byli tylko ludźmi, nawet jeśli ona była inspektorem kryminalnym, a on sekretarzem opieki społecznej.

Mikael miał zwyczaj używać takiego właśnie sformułowania. Chrzań to, Ewa! Jesteśmy tylko ludźmi.

Podobało jej się to. Bezpretensjonalne i zdrowe. Ani trochę nie przypominało Clausa Badhera, a im mniej Mikael przypominał Clausa, tym lepiej. Prosty, intuicyjny, ale niezawodny miernik. Czasami trzeba było korzystać z bryka, jeśli chodziło o rzekome życie duchowe, była już w tym wieku, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Może nawet nie czasami, tylko zawsze. Trzymać psychologię krótko, a kierować się instynktem. No i przyjemnie było czuć się pożądaną, nie mogła zaprzeczyć. Może *carpe diem*?

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać, pomyślała, wychodząc spod prysznic. Tak samo jak przestać myśleć na zawołanie.

W każdym razie Mikael był właścicielem tego starego domu w Port Hagen. Wspólnie z czworgiem rodzeństwa, o ile dobrze zrozumiała, rodzinna posiadłość. W tym roku lipiec wypadał na niego.

Duży i podupadły, obiecał. Ale uroczy, zasłonięty przed oczami ciekawskich. Bieżąca woda, przynajmniej czasami. Sto metrów do plaży.

Dla nędznie opłacanego inspektora kryminalnego brzmiało to lepiej, niż mogła sobie zamarzyć, i bez większego namysłu zgodziła się przyjechać na dwa tygodnie. Szczerze mówiąc, w ogóle bez namysłu; było niedzielne majowe przedpołudnie, kochali się i jedli śniadanie w łóżku. W tej właśnie kolejności; niektóre dni układały się lepiej od innych, nic nowego.

Dwa tygodnie w środku lipca. Ze swoim facetem nad morzem.

I do tego Franz Lampe-Leermann!

Niezwykłe słońcowaty omen, wyjątkowo nie w porę.

Zastanawiała się, co to oznacza. Ale może nie miało sensu doszukiwanie się sensu we wszystkim?

Jak komisarz od czasu do czasu lubił podkreślać.

Po prysznicu spakowała się, a potem zadzwoniła do Mikaela. Nie wchodząc w szczegóły, zapowiedziała, że zjawi się po południu, a nie w porze lunchu, bo ma sprawę do załatwienia.

– Praca? – zapytał.

– Praca – przyznała.

Zaśmiał się i powiedział, że ją kocha. Ostatnio zaczął to mówić i aż dziwne, w jakiej była rozterce wobec tego wyznania.

Kocham cię.

Sama nie użyła tych słów. Nie przyszłoby jej to do głowy, dopóki nie była pewna. Rozmawiali na ten temat. Przyznał jej oczywiście rację, co u diabła mógł zrobić? Powiedział, że zachowałby się tak samo. Różnica polegała na tym, że on był pewien. Już.

Skąd może być pewien? Chciała wiedzieć.

– Mniej się sparzyłem niż ty – odparł. – Nie boję się trochę wcześniej zrobić kroku w przepaść, w nieznane.

Banialuki, pomyślała Moreno. Każdy ma swoje podejście do języka i słów, a do języka miłości tym bardziej. Nie musi to mieć nic wspólnego ze złymi doświadczeniami.

Chociaż zastanawiała się – wielokrotnie – jak to właściwie było między nim a Leilą, jego poprzednią dziewczyną. Byli razem ponad trzy lata, tak jej powiedział, a tego samego wieczoru, kiedy go rzuciła, wszedł piętro wyżej i zadzwonił do jej drzwi. Zaprosił ją na kolację, tę kolację, którą przygotował dla Leili. Tak po prostu, chyba nieco dziwne?

Kiedy go o to zapytała, wytłumaczył się bardzo zwyczajnie. Ugotował przecież dla dwóch osób. Nie stoi się w kuchni półtorej godziny, żeby potem zmieść wszystko z talerza samotnie w dziesięć minut. Pod żadnym warunkiem.

Teraz też zeszli na temat jedzenia.

– Jeśli przywieziesz dobre białe wino, zobaczę, czy nie znajdę dla ciebie jakiejś zjadliwej ryby. Na rynek co rano przychodzi rybak ze świeżym połowem z własnego kutra. Ma drewnianą nogę, turyści robią mu latem ze dwa tysiące zdjęć... nic, spróbuję coś dostać.

– Więc się tak umawiamy – powiedziała Moreno. – Wierzę, że ci się uda. Dałam ci w sumie trzy godziny ekstra. Jeszcze chciałam zapytać...

– Tak?

– Nieważne.

– Teraz kłamiesz.

– No dobra. Jakiego koloru masz klapki?

– Klapki?

– Tak.

– Dlaczego chcesz wiedzieć, jakiego koloru mam klapki? W domu jest z dziesięć par... no, dwadzieścia sztuk na pewno, ale kto jest właścicielem których trudno ustalić.

– Świetnie – stwierdziła Moreno. – Postrzegam to jako dobry znak.

Mikael oznajmił, że nic a nic nie rozumie i żeby może sprawiła sobie coś z szerokim rondem przeciwko słońcu. Obiecała przemyśleć sprawę i zakończyli rozmowę. Nigdy nie mówił po raz drugi, że ją kocha, i była mu za to wdzięczna.

Choć w rozterce.

Później wieczorem zadzwonił Reinhart i przez pół godziny dyskutowali nad strategią przesłuchania Lampego-Leermanna. W gruncie rzeczy nie wydawało się specjalnie skomplikowane, choć należało oczywiście wyciągnąć od niego możliwie dużo. Wiele nazwisk i ważnych nazwisk.

Istotne też było, żeby pamiętać o wartości dowodowej, co w dalszej perspektywie umożliwiłoby postawienie tych zasłużonych panów w stan oskarżenia. Kwestia ustępstw na rzecz Lampego-Leermanna również wymagała rozważenia, ale ani Reinhart, ani Moreno nie byli nowicjuszami i w końcu komisarz uznał, że jest zadowolony ze strategii.

Skoro ten łobuz chciał otworzyć się właśnie przed panią inspektor Ewą Moreno, niech rzeczywiście to zrobi, podsumował.

I lepiej, żeby faktycznie miał coś do powiedzenia.

Dwie podstawowe reguły, przypomniał Reinhart na zakończenie. Po pierwsze, magnetofon. Po drugie, żadnych konkretnych zobowiązań. Nie w początkowej fazie, dla Lampego-Leermanna powinno być to oczywiste.

– Wiem – zniecierpliwiła się Moreno – nie urodziłam się wczoraj. Jaki jest ten Vrommel?

– Nie mam pojęcia. Przez telefon mówi jak kapral, mam wrażenie, że jest rudy. W rzeczywistości może być inny.

– W jakim wieku?

– Za stary dla ciebie. Mógłby być twoim dziadkiem.

– Dziękuję, komisarzu.

– Reinhart życzył udanego polowania, zapowiadając, że z przyjemnością przeczyta jej raport za dwa, góra trzy dni.

– Raport? – zdziwiła się Moreno. – Dostaniesz przesłuchanie spisane z taśmy, a i tego nie zamierzam robić sama. Nie jestem na służbie.

– Hm – mruknął Reinhart. – A kiedyś policjanci byli idealistami. Co się dzieje z tym społeczeństwem?

– Omówimy to w sierpniu.

– Jeśli społeczeństwo do tego czasu nie upadnie.

10 lipca 1999

Trwało chwilę, zanim zorientowała się, że dziewczyna siedząca naprzeciwko niej rzeczywiście płacze.

Nie był to jakiś rozpaczliwy ani demonstracyjny płacz. W pewien sposób naturalny. Twarz miała otwartą i gładką, cerę bladą, kasztanowe włosy zaczesane w tył i przewiązane zwykłą wstążką. Około szesnastu, siedemnastu lat, zgadywała Moreno, ale wiedziała, że kiepsko wychodzi jej szacowanie wieku młodych dziewczyn. Równie dobrze mogło być kilka lat więcej lub mniej.

Oczy piwne, duże i, o ile mogła ocenić, w ogóle nieumalowane. Zresztą nie było żadnych ciemnych smug na policzkach, po których łzy spływały ciągłym, ale niezbyt wartkim strumieniem. Spokojnie i naturalnie. Moreno spojrzała ostrożnie znad książki i zauważyła, że dziewczyna trzyma ręce luźno splecione na kolanach, ściskając w nich chusteczkę, ale nie robi nic, żeby powstrzymać łzy.

Zupełnie nic. Tylko płakała. Pozwalała im płynąć, jak chcieli, a sama zerkała przez okno na płaski, skąpany w słońcu krajobraz, który mijali. Dziewczyna siedziała tyłem do kierunku jazdy, inspektor Moreno przodem.

Smutek, pomyślała Ewa Moreno. Wygląda na smutek.

Próbowała przypomnieć sobie, na jakiej stacji płacząca wsiadła. Chyba w Moorhuijs albo w Klampendikk. W każdym razie jedną lub dwie stacje za Maardam Kolstraat, gdzie wsiadła ona sama. Był to pociąg osobowy, który zatrzymywał się co trzy minuty, Moreno zaczynała żałować, że nie poczekała na pośpieszny. Przypuszczalnie dojechałaby dwa razy szybciej i pewnie dlatego w tym kołyszącym się składzie było tak pusto. Poza starszą parą pijącą kawę z termosu kilka rzędów dalej w całym wagonie były tylko ona i dziewczyna... dziwne, że usiadła akurat naprzeciwko niej, gdy było tyle wolnych miejsc. Dziwne.

– Płaczesz.

Słowa wyszły bez udziału myśli. Wyskoczyły z jej ust, zanim zdołała im przeszkodzić; zaczęła się zastanawiać, czy Mikael nie miał racji, proponując kapelusz. Z szerokim rondem przeciwko słońcu, wyż nadal nie dawał za wygraną.

Dziewczyna patrzyła na nią przez chwilę. Potem wytarła nos. Moreno zmieniła

pozycję, czekała.

– Tak. Trochę płaczę.

– Tak bywa – powiedziała Moreno.

Boże, pomyślała. Co ja robię? Właśnie zabrałam się do pocieszania zrozpaczonej nastolatki... porzuconego podlotka ze złamanym sercem uciekającego od swego chłopaka. Albo od rodziców. Na pewno na gigancie... wracam do czytania i udaję, że nigdy jej nie zagadywałam. Nie interesuję się nią do samych Lejnic, czy nie wystarczy mi Lampe-Leermann? Dlaczego, do cholery, nie umiem trzymać języka na wodzy?

– Płaczę, bo się boję – wyznała dziewczynka, odwracając znowu wzrok do słońca. – Jadę do taty.

– Aha? – powiedziała Moreno neutralnie, porzucając teorię ucieczki.

– Nigdy wcześniej go nie spotkałam.

Moreno opuściła książkę.

– Jak to?

– Nigdy go nie widziałam.

– Nigdy nie widziałaś swojego taty? Dlaczego?

– Dlatego że moja mama uważała, że tak będzie najlepiej.

Moreno zastanowiła się. Wypiła łyk wody mineralnej i pytającym gestem wyciągnęła butelkę w stronę dziewczyny. Ta potrząsnęła głową.

– A dlaczego miałoby być dla ciebie najlepiej, żebyś go nie spotkała?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Jak się nazywasz?

– Mikaela Lijphart.

– Ile masz lat? Szesnaście, siedemnaście...?

Przesłuchuję ją, uświadomiła sobie nagle Moreno i żeby zatrzeć złe wrażenie, wyciągnęła paczkę gumy do żucia. Mikaela Lijphart wzięła dwa listki, uśmiechnęła się.

– Osiemnaście. Już osiemnaście. Skończyłam wczoraj.

– Moje najlepsze życzenia. Wprawdzie trochę po fakcie...

– Przepraszam, przerwałam pani czytanie.

– Nie szkodzi – zapewniła Moreno. – I tak nie mogę się skupić, kiedy jadę pociągiem. Na ogół czytam coś, co już czytałam. Jeśli chcesz opowiedzieć o swoim tacie, chętnie posłucham.

Mikaela Lijphart westchnęła głęboko i wydawała się zastanawiać. Trwało to trzy

sekundy.

– Dziękuję – powiedziała. – Nigdy go nie spotkałam. To znaczy byłam tak mała, że tego nie pamiętam. Do wczoraj nie wiedziałam, kim jest. Nazywa się Arnold Maager, mama powiedziała mi, bo skończyłam osiemnaście lat. Świetny prezent, nie sądzi pani? Ojciec.

Moreno uniosła brwi, ale się nie odezwała. Pociąg rozpoczął kolejne hałaśliwe hamowanie przed następną stacją.

– Siedzi w zakładzie psychiatrycznym. Coś się stało, kiedy miałam dwa latka. To dlatego moja mama aż do teraz nic mi o nim nie powiedziała.

Boże święty, pomyślała Moreno. Co ona opowiada? Na sekundę zaświtała jej cyniczna myśl, że trafiła na mitomankę – lekko neurotyczną nastolatkę, która uwielbia zwracać na siebie uwagę zupełnie obcych ludzi. Tego rodzaju zachowania młodych pańienek będących w potrzebie wcale nie należały do wyjątkowych, Ewa Moreno wiedziała to z własnego doświadczenia, po latach spędzonych w sekcji do spraw nieletnich. Dwa i pół roku, dokładnie licząc, nie żałowała ich, ale i za nimi nie tęskniła. Podobnie jak za pozostałymi latami, które oceniała w ostatnich dniach...

Tylko trudno było uwierzyć, że Mikaela Lijphart gra komedię. Naprawdę trudno. Zdaniem Moreno, przypominała raczej otwartą książkę – miała smutną twarz, duże jasne oczy. Pewnie, mogła dać się nabrać, fałszywie ocenić, ale istniała chyba jakaś granica?

– I teraz jedziesz, żeby się z nim spotkać? – zapytała ostrożnie. – Ze swoim tatą? Gdzie on przebywa?

– W Lejnicach, w zakładzie kawałek za miastem. Dzwoniłam tam i wiedzą, że przyjadę. Mają go urobić... tak, tak właśnie powiedzieli. Urobić. Brr, tak się tym denerwuję, chociaż wiem, że muszę.

Moreno szukała naprędce jakiegoś pocieszenia.

– Co trzeba, to trzeba. Naprawdę do wczoraj nie wiedziałas, że masz tatę?

Mikaela Lijphart znowu się uśmiechnęła.

– Zdaję sobie sprawę, że niepokalane poczęcia w naszych czasach się nie zdarzają. Jak miałam trzy lata, moja mama ponownie wyszła za mąż; kiedy miałam piętnaście, dowiedziałam się, że to mój ojczym. I... i musiałam zaczekać jeszcze trzy lata, zanim mama powiedziała mi, kto jest moim prawdziwym ojcem. Arnold Maager... nie wiem, czy nazwisko mi się podoba, czy nie.

– Ale dlaczego? – wyrwało się Moreno. – To znaczy, to oczywiście nie moja sprawa, ale...

– Nie wiem – ucięła Mikaela Lijphart.

– Nie wiesz?

– Nie, nie wiem, dlaczego nie mogła mi powiedzieć. Albo nie chciała. Rzuciła masę tekstów o odpowiedzialności, dojrzałości i takie tam, ale... też żadnych konkretów. Coś się wydarzyło, jak byłam mała, tyle wiem.

Moreno wyjrzała przez okno, stwierdzając, że dojechali do Boodendijk. Do Lejnic nie mogło być daleko. Pewnie jedna lub dwie stacje. Po drugiej stronie rzadkich zabudowań pojawiły się już wydmy. Niebo było obłędnie niebieskie.

Co, u diabła, mam powiedzieć, pomyślała. Biedna dziewczyna musi czuć się zupełnie opuszczona.

– Nie myślałaś, żeby pojechać z kimś? – spróbowała. – Skoro czujesz się niepewnie. Z koleżanką... albo z mamą...

– Chcę się spotkać z nim sama – wyjaśniła Mikaela. – Mama w ogóle była przeciwna temu, żebym jechała, ale jak się skończyło osiemnaście lat, to się skończyło.

– Bez wątpienia – przyznała Moreno.

Minęło kilka sekund. Pociąg znowu ruszył.

– Nie rozumiem, dlaczego opowiadam to wszystko zupełnie nieznanemu osobie – Mikaela Lijphart starała się przybrać pewniejszą minę. – Pani musi myśleć, że jestem mocno stuknięta... nie mówiąc o mojej mamie czy tacie. Stuknięta rodzinka. Może zresztą się pani nie myli, ale naprawdę nie mam w zwyczaju...

– Czasami dobrze porozmawiać z nieznanymi – przerwała Moreno. – Można powiedzieć, co się ma na sercu, a nie trzeba się martwić o ewentualne konsekwencje. Niekiedy sama wdaję się w takie rozmowy.

Teraz twarz dziewczyny wręcz rozbłysła uśmiechem i Moreno mogła stwierdzić, że była jeszcze bardziej ujmująca, kiedy chmura niepokoju na moment znikła.

– Właśnie. Tak samo myślę o moim tacie. To znaczy o spotkaniu z nim. Też jesteśmy dla siebie obcy. Nie chcę niczyjej obecności, kiedy pierwszy raz będę z nim rozmawiała. To byłoby... byłoby jakoś nie w porządku. Rozumie pani? Nie w porządku wobec niego.

Moreno skinęła głową.

– Czyli wysiadasz w Lejnicach?

– Tak. A pani?

– Też w Lejnicach. Na pewno pójdzie dobrze, zobaczysz. Mam na myśli twojego tatę. Czuję to.

– Ja też – przyznała Mikaela Lijphart optymistycznie, prostując nieco plecy. – Zdaje się, że dojeżdżamy, muszę chyba skoczyć do toalety i przemyć twarz. Bardzo dziękuję, że

mogłam z panią porozmawiać.

Moreno poczuła nagle, że musi zamrużyć, aby powstrzymać łzy w kąciakach oczu. Pogłaskała Mikaelę po udzie i odchrząknęła.

– Idź. Zaczekam na ciebie. Wsiądziemy razem.

Dziewczyna znikła w ciasnej kabinie na końcu wagonu. Moreno wciągnęła głęboko powietrze. Schowała książkę do torby i zauważyła, że za oknem widać morze.

Spojrzała na zegarek, konstatując, że za trzy minuty będą na miejscu.

Pożegnały się na placu przed budynkiem dworca, gdzie Mikaela wsiadła do żółtego autobusu mającego zawieźć ją do Sidonisu, zakładu położonego kilka kilometrów na północ, trochę dalej od morza.

Sama wzięła taksówkę, bo nie była pewna, gdzie znajduje się komisariat policji w Lejnicach. Okazało się, że na rynku, dokąd odległość wynosiła niecałe dwieście metrów i młody taksówkarz zapytał, czy nie mógłby też zawieźć jej tam i z powrotem do kościoła, żeby przynajmniej miał czas włączyć taksometr.

Moreno zaśmiała się, mówiąc, że za kilka godzin będzie potrzebowała taksówki do Port Hagen i dostała wizytówkę z numerem wywoławczym taksówkarza.

Lejnicki komisariat policji był czworokątnym, jednopiętrowym budynkiem z ciemnego nadmorskiego kamienia z małymi kwadratowymi okienkami nieprzepuszczającymi światła. Wzniesiony pewnie tuż po wojnie sąsiedował teraz z jednej strony ze sklepem mięsnym, a z drugiej z zakładem pogrzebowym. Nad niezbyt okazałym wejściem znajdował się malutki balkonik z żelazną barierką i jeszcze mniejszą flagą powiewającą w słabym wietrze na końcu czegoś, co mogło być kijem od miotły. Ewie Moreno od razu nasunęło się skojarzenie z podupadłą francuską kolonią z XIX wieku – albo z filmem o takiej kolonii – a kiedy zobaczyła komisarza Vrommla, który wyszedł jej na powitanie, uznała, że chyba bardziej pasuje on do tego dawno minionego wieku, niż się mogło wydawać.

Na pierwszy rzut oka był wysoki i chudy, ubrany w jakiś luźny mundur koloru khaki, który Moreno też знаła tylko z filmów. Miał około sześćdziesięciu lat, oceniła, może nawet sześćdziesiąt pięć. Przypuszczenie Reinharta, że Vrommel jest rudy, było może zgodne z prawdą, ale z dziesięć lat spóźnione. W tej chwili na jego głowie było pustawo, żeby nie powiedzieć łyso.

Okrągłe okulary bez oprawek, wydatny czerwony nos i wąsy tak przerzedzone i zlewające się z cerą, że dostrzegła je dopiero, gdy podali sobie ręce.

– Domyślam się, że inspektor Moreno. Miło mi. Jak podróż? Nie lubi kobiet w policji,

pomyślała.

– Doskonale, dziękuję. Trochę gorąco.

Nie przyjął zaproszenia, żeby porozmawiać o pogodzie. Odchrząknął, prostując się.

– Witamy w Lejnicach. To jest nasza siedziba sił porządku – zatoczył ramieniem gest, który ewentualnie – ale tylko ewentualnie – można było uznać za ironiczny. – Wejdziemy? Szubrawiec Lampe już czeka.

Przytrzymał drzwi i Moreno weszła do względnie chłodnego lejnickiego komisariatu.

Pokój przesłuchań miał około dziesięciu metrów kwadratowych i wyglądał tak, jak pokój przesłuchań wyglądać powinien.

Jak powinny wyglądać pokoje przesłuchań na całym świecie. Stół z dwoma krzesłami. Lampa u sufitu. Bez okien. Na stole magnetofon, karafka z wodą i dwa białe plastikowe kubki. Gołe ściany i niepomalowana betonowa podłoga. Dwoje drzwi z judaszem. Kiedy Moreno weszła, Franz Lampe-Leermann siedział już na krześle. Domyśliła się, że tkwi tam już od jakiegoś czasu; wyglądał na mocno znudzonego, przywitał ją wymuszonym uśmiechem. Duże plamy potu widniały na jego żółtej koszulce pod pachami, zdjął też buty i skarpetki. Oddychał ciężko. Klimatyzacja działająca w pozostałej części budynku najwyraźniej nie docierała do tego piekła.

Albo Vrommel ją wyłączył.

Trzydzieści pięć stopni, oceniła Moreno. Co najmniej. Znakomicie.

– Chcę przerwę, muszę zapalić – oznajmił Franz Lampe-Leermann, wycierając czoło wierzchem dłoni. – Ten skurwiel nie pozwala mi nawet palić.

– Przerwę? – Zdziwiła się Moreno. – Przecież jeszcze nie zaczęliśmy. Najwcześniej za pół godziny. Pod warunkiem że będziesz współpracował. Jasne?

Lampe-Leermann wrzucił ramionami, przeklinając ponownie.

– To zaczynamy – Moreno wcisnęła nagrywanie w magnetofonie. – Co masz nam do powiedzenia?

Mikaela Lijphart wysiadła na rozstaju dróg w wiosce St Inns, jak jej powiedziano. Stała na poboczu z plecakiem, dopóki nie zobaczyła, jak autobus znika za długim zakrętem w stronę Wallby i Port Hagen.

Rozejrzała się. Po lewej, na zachód, biegła prosta droga przez wydmy do morza, odległego zaledwie o półtora kilometra. Miała pójść nią później – za godzinę lub kilka – do schroniska, w którym zamierzała przenocować. Ale nie teraz. Teraz kierowała się na wschód. Wąską, wijącą się asfaltową wstążką, która prawie wydawała się gotować w panującym żarze między wysoko położonymi, ukwieconymi pastwiskami. Do zakładu Sidonisu było wedle jej informacji niewiele ponad kilometr, ale mimo wszystko żałowała, że nie jest trochę bliżej. Albo że nie kupiła sobie w Lejnicach wody.

Bo było gorąco. Nieznośnie gorąco. A wpół do drugiej to idealna pora na wędrówki w słońcu, pomyślała. Idealna, żeby dostać udaru.

Tylko tego jej brakowało.

Rozejrzała się jeszcze raz. Starła się ogarnąć wzrokiem całą wioskę; nie wyglądała na większą niż jakiś tuzin domów, ale z jednego naprawdę wystawało coś, co przypominało szyld reklamowy. Może jakiś sklepik... wodę chyba w każdym razie dostanie. Zarzuciła plecak na ramię, ruszając w stronę ciemnoczerwonego ceglanego domu.

Przy okazji mogę zapytać, czy to rzeczywiście właściwa droga do zakładu, pomyślała. Do zakładu i do jej ojca.

Faktycznie, był to mały sklep spożywczy. Kupiła litrową butelkę wody, lodu i paczkę Rijbingkex o smaku cytrynowym. Dostała też wskazówki, jak iść do Sidonisu: dalej tą drogą, którą przyszła, a przy tablicy za mostem skręcić w prawo. Wcale niedaleko. – Czy ma samochód? – zapytała korpulentna sprzedawczyni. Jeśli nie, mogli ją podwieźć za pół godziny, zaopatrywali zakład, na ogół jeździli do niego codziennie.

Mikaela Lijphart uśmiechnęła się, ale podziękowała, mówiąc, że lubi spacerować, a pogoda jest ładna.

– Piękna pogoda – zgodziła się sprzedawczyni, wachlując się jakimś tygodnikiem. – Można nawet powiedzieć, że trochę za dużo tego dobrego.

Po drodze Mikaela zastanawiała się nad tym, co powiedziała kobiecie w pociągu.

Prawdę, ale nie całą.

Niezupełnie całą. Wiedziała trochę więcej, niż się przyznała, i teraz nagle poczuła wyrzuty sumienia, że zachowała to dla siebie. Niewielkie, ale zawsze. Kobieta była miła, zajęła się nią, dlatego mogła ujawnić nieco więcej, nic by się nie stało.

Ale przecież nie skłamała wprost. Rzeczywiście mama powiedziała jej o okolicznościach tylko tyle, ile powtórzyła w pociągu.

Coś się wydarzyło.

Szesnaście lat temu.

Coś z jej tatą.

Co? Co? Kiedy teraz myślała o wczorajszej rozmowie, jeszcze trudniej było jej zrozumieć postawę mamy. Trudniej niż gdy siedziały przy śniadaniu, oddzielone tylko stołem, ale jednak wiele mil od siebie, i gdy po raz pierwszy usłyszała to nazwisko.

Arnold Maager.

Arnold? Przez dwanaście lat miała tatę o imieniu Helmut. Przy trzy lata ojca bez imienia. A teraz nagle nazywał się Arnold.

– Co się stało? – zapytała mamę. – Opowiedz, co takiego strasznego się wydarzyło. Wtedy, szesnaście lat temu.

Ale jej mama tylko potrząsnęła głową.

– Chyba rozumiesz, że musisz powiedzieć B, skoro powiedziałaś A – nalegała Mikaela. To było powiedzenie jej mamy. Mam prawo wiedzieć.

Ponowne potrząśnięcie głową, jeszcze bardziej zdecydowane. A potem te komunały.

– *Masz prawo wiedzieć, kto jest twoim ojcem, Mikaela, i teraz ci powiedziałam. Ale wcale nie poczujesz się lepiej, jeśli się dowiesz, co się stało, dlaczego go zostawiłam. Wierz mi, Mikaelo. Nie postępowałabym tak, gdyby to nie było konieczne, chyba rozumiesz?*

– Dowiem się.

– *Masz osiemnaście lat i sama podejmujesz decyzje. Ale ja mam na względzie twoje dobro.*

Mikaela nic nie wskórała, mimo że siedziały w kuchni pół godziny. Błagała i prosiła. Dopominała się, klęła i płakała, ale mama była nieugięta.

Nie pierwszy raz. Mikaela już wcześniej tłukła głową o ten mur. Wiedziała, jak to jest i jakie to uczucie. Ale nigdy nie było takiego dziwnego dystansu. Dziwnego, a zarazem jakby zniewalającego.

Ciocia Vanja okazała się wyłomem, też nie pierwszy raz. Mikaela zamknęła się w

swoim pokoju i zadzwoniła do niej zaraz po rozmowie w kuchni. Bez wstępów wyjaśniła sytuację, a po intensywnym namawianiu dopięła swego. Choć już była bliska poddania się, ciocia Vanja opowiedziała. Wprawdzie niewiele, ale jednak trochę... uchyliła rąbka tajemnicy, jak to się mówi.

– *Twój ojciec zabił kogoś. Młodą dziewczynę... tak właściwie nigdy do końca nie wyjaśniono, czy rzeczywiście on ją zabił.*

Pauza.

– *Choć oczywiste, że to był on.*

Pauza.

– *A później tego nie udźwignął. Załamał się, najlepiej w tym nie grzebać, i tak powiedziałam już za dużo.*

– Kogo?

Kogo zabił? Dlaczego?

Ale ciocia Vanja odmówiła odpowiedzi. Tajemnica znów stała się tajemnicą, to nie jest jej sprawa, i tak powiedziała za dużo. Siedzi w tym zakładzie koło Lejnic, tak jej się przynajmniej wydaje. Trafił tam praktycznie od razu. Ale najlepiej o całej sprawie zapomnieć. Zapomnieć i żyć dalej.

To Mikaela już wiedziała. W jakim zakładzie siedzi – tyle mama ujawniła. Można się zastanawiać dlaczego, pomyślała Mikaela, dziękując i odkładając słuchawkę. Dlaczego ustanowiła granicę właśnie w tym, a nie w innym miejscu? Skoro nie chciała, żeby sprawę rozgrzebywać, lepiej przecież było nie podawać córce takich wskazówek?

Albo w ogóle nic nie mówić?

Musiałam – wyjaśniała. – Jestem ci winna nazwisko twojego ojca i winna wyjaśnienie, gdzie jest. Ale z całego... z całego serca pragnę, żebyś go nie odwiedzała.

Pragnę z całego serca, pomyślała Mikaela. Brzmiało niemal patetycznie. I niezrozumiale. Zarówno wczoraj, jak i dzisiaj. Tak niezrozumiale, jak jej mama potrafiła się zachowywać. Właściwie była mniej zdziwiona niż powinna. Niż inni osiemnastolatki byliby zdziwieni na jej miejscu.

Przywykłam do tego, że żyję trochę na grząskim terenie. Przygotowana na wiele. Na dobre i na złe.

Może dlatego nie wszystko do końca chciała opowiedzieć kobiecie w pociągu? Bo wstydziła się swojej stukniętej rodzinki, dokładnie tak jak powiedziała!

Zabił kogoś? Boże święty, nie, tego już było za dużo.

Doszła do mostu. Za mostem skręciła w prawo. Zarośnięte koryto całkowicie wyschło,

tylko mazista strużka błota na samym dnie zdradzała, iż rzeczywiście tędy normalnie płynęły wody rzeki Muur. Przynajmniej w innych warunkach klimatycznych, informowała o tym duża tablica na słupie; także o tym, że Fundacja Sidonis leży zaledwie dwieście metrów dalej.

Dwieście metrów, pomyślała Mikaela, popijając nieco wody. Po osiemnastu latach – czy właściwie szesnastu – zostało mi dwieście metrów do mojego ojca.

Bładożółte budynki leżały na terenie niewielkiego parku, otoczone niskim kamiennym murem i szeregiem drzew. Wiązów czy klonów – nie wiedziała. Choć może jednych i drugich, trochę się od siebie różniły. Tylko trzy budynki, jeden większy, trzypiętrowy, a na skrzydłach dwa niższe, jednopiętrowe. Mały asfaltowy parking i jakieś dziesięć samochodów. Czarny pies ujadł przywiązany przed składzikiem. Nigdzie nie było widać ludzi. Kierując się sztyldami, weszła do głównego budynku na górę i zatrzymała przed recepcją. Dwie starsze kobiety zajęte rozmową były odwrócone do niej plecami i chwilę trwało, zanim zdołała zwrócić na siebie ich uwagę.

Wyjaśniła, z czym przychodzi, poproszono, żeby zaczekała.

Po kilku minutach z korytarza wyłonił się młody brodac z okularami i zapytał ją, czy nazywa się Mikaela Lijphart. Potwierdziła. Podał jej rękę na powitanie. Powiedział, że ma na imię Erich, i dodał, że jest ładna pogoda. Potem pokazał gestem, żeby za nim poszła. Minęli dwa zielone korytarze i dwukrotnie wchodzili po niebieskich schodach; trzymała się kilka kroków z tyłu. W pewnej chwili poczuła, że musi pójść do toalety. Oczywiście, woda. Po drodze wypila całą butelkę.

Weszli do czegoś w rodzaju świetlicy z sofami, fotelami i telewizorem. Także tutaj nie było ludzi, zastanowiła się, czy przy takiej pogodzie nie są przypadkiem na wycieczce. Bo chyba przecież musieli być jeszcze inni pacjenci poza jej tatą? Inni psychicznie chorzy. Dostrzegła drzwi ubikacji i poprosiła Ericha, żeby zaczekał.

Boże święty, pomyślała, kiedy się załatwiła i spłukała wodą najgorszą letnią gorączką. Chcę wrócić do domu. Jeśli Erich odszedł, uciekam stąd.

Czekał na nią jednak.

– Arnold Maager jest twoim ojcem, tak?

Skinęła głową, usiłując przełknąć ślinę.

– Pierwszy raz go zobaczysz?

– Tak. Jeśli nie... nieważne. Tak, pierwszy raz.

Uśmiechnął się, chyba starał się wyglądać przyjaźnie. Mógł być starszy od niej o dwa, trzy lata, nie więcej. Dwadzieścia jeden, góra dwadzieścia dwa lata. Wzięła głęboki oddech,

czując, że lekko drży.

– Denerwujesz się?

Westchnęła.

– Trochę tak.

Podrapał się po brodzie, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Twój ojciec nie jest specjalnie rozmowny. Przynajmniej normalnie. Ale nie ma powodu do obaw. Chcesz zostać z nim sama?

– Oczywiście. Dlaczego... czy coś...?

Wzruszył ramionami.

– Nie, nie. Zaprowadzę cię do jego pokoju. Jeśli chcecie, możecie tam zostać. Albo pójść do parku na spacer, on lubi spacerować... w kuchni jest też kawa i herbata.

– Dziękuję.

Wskazał na nowy, krótki korytarz. Puścił ją przodem.

– Tutaj. Numer 16. Będę na dole w biurze, gdybym był potrzebny.

Zapukała do drzwi i nacisnęła klamkę, nie czekając na odpowiedź. Zamknęła oczy i policzyła do pięciu. Potem weszła do środka.

Mężczyzna siedzący w fotelu przy otwartym oknie skojarzył się jej z ptakiem.

To była jej pierwsza myśl i jakoś się w niej zakorzeniła.

Mój tata jest ptakiem.

Był niski i chudy. Ubrany w zdecydowanie za duże znoszone spodnie z manczestru i niebieską koszulę wiszącą luźno na kościstych ramionach. Wydłużona głowa na cienkiej szyi; ciemne zapadnięte oczy i ostry, lekko zakrzywiony nos. Gęste, krótko ostrzyżone włosy. Rude. Kilkudniowy zarost, też rudy, ale ciemniejszy.

Opuścił książkę, którą czytał, i popatrzył na Mikaelę przez dwie sekundy. Potem uciekł wzrokiem.

Stała nadal w drzwiach, wstrzymując oddech. Nagle przyszło jej do głowy, że weszła do złego pokoju. Że pomyliła... że młody pielęgniarz pomylił numery. To miał być jej tata? Ten chudzina miałby być...?

– Arnold Maager? – zapytała, urywając myśli. Zdziwiła się, że jej głos mimo wszystko brzmiał w miarę pewnie.

Ponownie podniósł na nią wzrok. Zwilżył wargi końcem języka.

– Kim jesteś?

Brzmienie słów było równie cherlawe jak wypowiadający. Zdjęła plecak i usiadła w drugim fotelu. Odczekała kilka sekund, nie pozwalając mu jednak odwrócić wzroku. Odkryła, że wcale nie wygląda staro. Przypuszczalnie ma około czterdziestu pięciu lat. Jej mama miała czterdzieści trzy, pasowałoby.

– Mam na imię Mikaela. Jesteś moim tatą.

Nie odpowiedział. Nie zareagował.

– Jestem twoją córką – dodała.

– Moją córką? Mikaela?

Wydawał się kurczyć jeszcze bardziej, a jego słowa ledwo dosłyszała. Książka spadła na podłogę, ale nie schylił się, żeby ją podnieść. Ręce lekko mu drżały.

Tylko nie płacz, pomyślała. Tatusiu, tylko nie płacz.

Później właściwie nie umiała rozstrzygnąć, ile czasu siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu. Może trwało to tylko pół minuty, może dziesięć. Było takie dziwne, chwile wydawały się nieruchome i ogromne, a kiedy dobiegały końca, powoli zaczęła pojmować coś, czego nigdy wcześniej sobie nie uświadomiła, o czym nawet nie pomyślała... coś o mowie i milczeniu. I o przecuciach.

To „coś” może nie było do końca jasne, ale po raz pierwszy w życiu zauważyła, że można czegoś doświadczać, nie mówiąc o tym. Doświadczać wspólnie z kimś, jednak nie ubierając tego w słowa. Nawet na własny użytek. Ani w danej chwili, ani później... że słowa, nieporadne słowa, nigdy nie mogły pasować w stu procentach i czasami trzeba się było od nich powstrzymać. Nie pozwolić im, żeby przytłoczyły przeżycie, zniekształciły je.

Tylko doświadczać w milczeniu. Pozwolić, by było, jak jest. Tak, coś takiego sobie uświadomiła. Nauczyła się podczas pierwszego spotkania ze swoim tatą. Tata-ptakiem.

Pół minuty. Albo dziesięć.

Potem on wstał. Podeszedł do komody przy łóżku i wyciągnął dolną szufladę.

– Pisałem do ciebie – powiedział. – Dobrze, że przyszedłeś je zabrać.

Wyciągnął plik listów. Miał z pewnością jakieś piętnaście centymetrów grubości, obwiązany był czarną tasiemką na krzyż.

– Najlepiej, jak je wyrzucisz. Ale skoro już przyszedłeś, to je weź.

Położył plik na stole między nimi i z powrotem usiadł w fotelu.

– Przepraszam – odezwał się ponownie. – Ale nie powinnaś była przychodzić. Chyba najlepiej będzie, jak sobie pójdziesz.

Zamrugał kilka razy, wykonując jakieś nerwowe ruchy głową. Już na nią nie patrzył; domyślała się, że czuje się nieswojo. Że obecność nagle przybyłej córki była dla niego nieprzyjemna.

– Chciałam cię spotkać i z tobą porozmawiać – powiedziała. – Do wczoraj nie wiedziałam, kim jesteś. Chcę się dowiedzieć, dlaczego tak się stało.

– To moja wina. Zrobiłem coś strasznego. Tak się stało i nie da się tego zmienić. Nie da się.

Znowu szarpnął głową.

– Nie rozumiem. Muszę się dowiedzieć, żeby zrozumieć.

– Nie da się – powtórzył.

Potem w milczeniu wpatrywał się w stół. Pochylił się w przód, ugniatając rękami poręczę fotela. Minęła nieokreślona ilość czasu.

– Masz innego tatę. Tak jest najlepiej. Idź już.

Czuła płacz dławiący w gardle.

Popatrz na mnie, pomyślała. Dotknij mnie! Powiedz, że jesteś moim tatą, że cieszysz się, bo w końcu przyszedłam!

On jednak się nie ruszył. To porozumiewawcze milczenie znikło – lub nabrało innego znaczenia – teraz nagle zastąpiły je niechęć i beznadzieja. Że chwila mogła zostać tak szybko stracona, pomyślała z rosnącą desperacją. Zniszczona tak doszczętnie.

– Nawet nie wiem, co się stało – szepnęła, próbując zwalczyć łzy napływające do oczu. – Mama nie chce nic powiedzieć, ty nie chcesz nic powiedzieć. Nie rozumiecie, że musicie? Cholerni... cholerne świnię!

Podniosła się z fotela i stanęła przy otwartym oknie. Odwrócona plecami. Wychyliła się, zacisnęła palce na ostrym parapecie, aż naprawdę mocno ją zabolęło, dzięki czemu, złością i bólem, zdołała powstrzymać zwątpienie. Świnie, powtórzyła w myślach. Cholerne, drańskie świnię, tak właśnie, świnię z nich!

– Wydaje się wam, że wiecie, co dla mnie dobre, ale nie macie pojęcia!

Nie poruszył się, ale słyszała, jak oddycha. Ciężko, z otwartymi ustami, jakby miał polipy. Postanowiła na chwilę o nim zapomnieć. Zająć myśli czymś innym, a przynajmniej spróbować. Podniosła wzrok. Parkiem zawładnęły lato i słońce. Ujadający pies ucichł. Położył się w cieniu na brzuchu, dysząc z wywalonym na ziemię językiem, co można było dostrzec nawet z góry. Z okna rozciągał się też widok na okolicę, widziała drogę, którą przyszła, i wioskę, gdzie wysiadła z autobusu. St Inns. Trochę dalej było morze – choć raczej w domyśle. Zastanawiała się, jak życie może się wydawać tak strasznie ponure przy takim widoku: lato, słońce i to nieskończone niebo...

– Ile masz lat, Mikaela? – zapytał nieoczekiwanie.

– Osiemnaście – odpowiedziała, nie odwracając się. – Wczoraj skończyłam osiemnaście.

Przypomniała sobie, że coś dla niego wzięła. Podeszła do plecaka i wygrzebała paczuszkę. Zawahała się przez chwilę, po czym położyła ją na stole obok listów.

– To nic nadzwyczajnego – powiedziała. – Ale to dla ciebie. Zrobiłam to w szkole, jak miałam dziesięć lat. Prezent.

Przesunął ostrożnie palcami po płaskiej paczuszce, ale nie zaczął jej otwierać.

– Nie powinnaś... – spróbował powiedzieć.

– Jeśli coś ci daję, to bądź łaskaw przyjąć – przerwała ze złością. – Ja wezmę twoje listy, a ty moją bajkę, zgoda?

Bo to była bajka. Ilustrowana opowieść o nieszczęśliwym ptaku, której poświęciła

prawie cały semestr w czwartej klasie. Pisała, rysowała i malowała. Chciała dać ją mamie albo Helmutowi na gwiazdkę, ale z jakiegoś powodu się rozmyśliła.

Już nie pamiętała, czy się z nimi pokłóciła, czy coś innego. Kiedy wczoraj wieczorem przypomniała sobie o bajce, odebrała to niemal jako znak.

Że może dać bajkę swojemu tacie. Ponurą bajkę o szczęśliwym zakończeniu.

I akurat o ptaku – teraz ją to uderzyło, co pokrywało się z jej pierwszym wrażeniem na jego widok.

Znowu stanęła przy oknie, czekając. Postanowiła nie odzywać się ani nie ruszać z miejsca, dopóki on nie wykona jakiegoś kroku. Po prostu odmowa, typowa dla jej mamy i typowa dla niego. Odmowa. Nieważne, ile to będzie trwało. Cholera.

Po paru minutach odchrząknął, wstał. Przeszedł niepewnie kilka razy tam i z powrotem przez pokój. Zatrzymał się przy drzwiach.

– Chciałbym wyjść. Zazwyczaj o tej porze spaceruję po parku.

– Pójdę z tobą – oświadczyła Mikaela. – I chcę, żebyś mi powiedział. Nie odejdę stąd, dopóki mi nie powiesz, jasne?

Jej tata wyszedł, nie odpowiedziawszy.

10-11 lipca 1999

– Musisz wrócić tam w poniedziałek? – zapytał Mikael. – To chcesz powiedzieć?

Moreno kiwnęła głową, wypijając jeszcze łyk wina. Czuła, że szumi jej w głowie, ale co z tego, pomyślała. To był jej pierwszy wieczór z czterotygodniowego urlopu, a nie pamiętała już, kiedy ostatnio pozwoliła sobie odblokować hamulce alkoholem. Wieki temu. Zresztą jakie hamulce?

Jutro mogła dłużej pospać. Potem weźmie ręcznik, przejdzie wolniutko te sto metrów do plaży i będzie smażyć się cały dzień na słońcu. Będzie wypoczywać i leniuchować, pozwalając Mikaelowi, by się nią zajmował, tak jak obiecał.

Kilka godzin pracy pojutrze nie będzie chyba nazbyt uciążliwe? Do tego po południu, więc się wyśpi.

– Zgadza się – powiedziała. – Ale tylko na kilka godzin. Parszywiec Lampe-Leermann nie był tak skłonny do współpracy, jak twierdził.

– Parszywiec? – Mikael zmarszczył czoło. – Daje się zauważyć, że inspektor jest trochę *off the record*.

Off the record? Pomyślała, poprawiając się na podniszczonej pluszowej kanapie. Może, ale co z tego, u licha, miała przecież urlop. Mikael leżał na drugim końcu, a że kanapa była duża, ich ciała stykały się akurat na tyle, by w przyjemny sposób uzupełniać leniwy proces trawienia. Znalazł oczywiście rybę, zgodnie z obietnicą. I to nie była jaką – solę, którą przyrządził *a la meuniere* z boskim sosem na białym winie i rakowych odwłokach; taki luksus, że niemal miała trudności, by się nim rozkoszować. By sobie dogodzić, zachwalając przez to jego kunszt kulinarny. Coś w stylu całkowitego zapamiętania się... dlaczego miała z tym kłopoty?

Kiedy mu się przyznała, tylko się zaśmiał i wzruszył ramionami.

– Jedz. Nie musisz przy tym mówić wierszem.

Wypiła łyk. Oparła głowę na poduszce, uświadamiając sobie, że ma na wargach idiotyczny uśmiezek. I wcale nie chciał zejść.

– Franz Lampe-Leermann jest parszywcem – stwierdziła. – Off czy on the record, bez znaczenia.

Mikael miał lekko sceptyczną minę.

– Ale dlaczego właśnie ty? Czy parszywca nie może przesłuchać ktokolwiek?

– Pewnie z tego samego powodu, dla którego tutaj leżę. Bo mnie lubi. A przynajmniej woli kobiety od mężczyzn.

– Aha? I może decydować, kto go będzie przesłuchiwał? Jak rozumiem, nowa przyjazna polityka policji?

– Powiedzmy, że tak. W każdym razie woli mnie od komendanta i pozwolę sobie zgodzić się z nim w tym punkcie. Vrommel nie jest bynajmniej kwiatuszkiem...

– Vrommel?

– Tak się nazywa. Sztywny sześćdziesięciolatek, sztywny kołnierzyk, sztywna mina...

Urwała, zaskoczona, jak lekko słowa wydobywają się z jej ust. To na pewno ten sos, pomyślała. Lato, urlop i sauvignon blanc...

– Wiem, kto to jest – powiedział Mikael.

– O kim mówisz?

– O Vrommlu, oczywiście.

– Ty? Skąd możesz wiedzieć, kim jest Vrommel?

Mikael zatoczył ramieniem, wylewając przy tym trochę wina.

– Dom – wyjaśnił. – Ten dom. Zapominasz, że przez całe życie przyjeżdżałem tu na lato. Port Hagen znam lepiej niż własną skrzynkę z narzędziami. Lejnice też... to jakby tutejsza stolica.

Moreno zastanowiła się.

– Rozumiem. Ale komendant policji? Interpretuję to tak, że byliście zamieszani w jakąś przestępczą działalność... to znaczy, ty i twoja rodzina.

Mikael mruknął coś niejednoznacznie.

– Niezupełnie. Przypominam sobie Vrommla, bo raz tu był. Gdzieś na początku lat osiemdziesiątych, miałem wtedy piętnaście albo szesnaście lat. Jedna z moich sióstr miała przyjaciółkę, która była w coś zamieszana. Zapomniałem, o co chodziło... czy raczej nigdy nie wiedziałem. W każdym razie Vrommel rozmawiał z Louise... czy też wręcz przesłuchiwał? Wysoki, rudy typ, zgadza się? Dość opryskliwy.

– Obecnie łysy – sprostowała Moreno. – Ale opryskliwy jest... czemu, u diabła, rozmawiamy o łysych gliniarzach?

– Nie mam pojęcia – odparł Mikael. – Zupełnie bez sensu, skoro znacznie bliżej są owłosieni gliniarze.

Wziął jej gołe stopy w swoje ręce i zaczął masować.

Owłosiony gliniarz, pomyślała Moreno.

Potem wybuchnęła śmiechem.

– Chyba przydałby mi się spacer po plaży – przyznała. – Za dużo wypiałam... i zjadłam za dużo sosu.

– Ja to samo. Weźmiemy koc? Świeci księżyc.

– Nie poradzimy sobie bez koca.

Wrócili z plaży niedługo przed wschodem słońca, a potem spali do dwunastej.

Po niedzielnym śniadaniu, składającym się głównie z soku i kawy, położyli się na leżakach w ogrodzie, mając wodę mineralną i jeszcze więcej soku w zasięgu ręki. Dopiero teraz, przy jaśniejącym umyśle, Ewa Moreno odkryła, w jakim fantastycznym domu się znalazła. Była to stara drewniana chałupa, duża i zapadająca się, okolona werandą, z balkonami na piętrze. Trzeszczące schody, krzywe kąty i wąskie przejścia musiały wryć się w pamięć każdego mieszkającego tu dziecka. Wykusze z zasuszonymi kwiatami, nieszczęsne staroświeckie okna i meble zebrane przez cztery czy pięć pokoleń z dziesięciokrotnie większej liczby stylów.

Jak rodzina Bau weszła w posiadanie tego domu – nawiasem mówiąc, nazywał się Czandala, pochodzenie nazwy niewiadome – otoczone było mgłą tajemnicy. Mikael utrzymywał, że nikt w rodzinie nie wyróżnił się większą ilością pieniędzy niż potrzeba na codzienny posiłek, ale według najbardziej rozpowszechnionej teorii na temat nabycia domu, niejaki Sinister Bau wygrał go w legendarnej partii pokera gdzieś na początku lat dwudziestych. Jedna z legend mówiła, że tego samego wieczoru przegrał swoją młodą narzeczoną do ukraińskiego króla Cyganów, więc rodzina uznała, że rachunki zostały wyrównane.

Że mieli do Czandali pełne prawo.

Mikael opowiadał tę i inne historie, kiedy leżeli nadzy na leżakach; sękaty sosny karłowate i krzewy Aviolis tworzyły bujny gąszcz skutecznie chroniący przed wzrokiem obcych, a Moreno – przy jaśniejącym umyśle – zadawała sobie pytanie, czy on tego po prostu nie zmyśla.

Jeśli w ogóle to wszystko nie było złudzeniem. Dom, piękna pogoda i nagi mężczyzna, który teraz położył rękę na jej lewej piersi, czy to się działo naprawdę? Czy raczej śniło się jej, gdy spała w swoim łóżku, w oczekiwaniu aż budzik się rozdzwoni, wywołując nowy deszczowy wtorek w listopadzie, co, do cholery, wydawało się o wiele bardziej prawdopodobne.

Po chwili uznała, że obojętne, czy to sen, czy jawa. Przypomniała sobie, jak komisarz – komisarz Van Veeteren, który odszedł z policji kilka lat temu, a teraz spędzał dni w antykwariacie Krantzego w zaułku Kupińskiego – raz o tym mówił. Że właściwie nie ma znaczenia, czy wszystko okaże się filmem lub książką, czy dzieje się naprawdę. Warunki i tak były identyczne – wprawdzie nie wiadomo jakie – ale cholernie identyczne.

Wyciągnęła więc rękę i zostawiła ją tam, gdzie wylądowała.

Około czwartej zeszli nad morze, żeby się wykąpać. Plaża była oczywiście pełna ludzi. Lato, słońce i niedziela; mamusie z tatusiami, dzieci i psy; frisbee, furkoczące latawce, topniejące lody i podbijane piłki. Przez kilka czarnych sekund, gdy leżeli, schnąc na słońcu, dopadła ją gwałtowna zawiść na widok tych rodzinnych ansambli. Tych naturalnych i harmonijnych ludzi mających tak prostą, zdrową i bezpieczną sytuację.

Ale przeszło jej. Potrząsnęła głową na tę analizę za pięć groszy i spojrzała na Mikaela wyciągniętego na plecach na piasku.

Jeżeli rzeczywiście chce się znaleźć w takiej sytuacji, nikt mi nie broni, pomyślała. Nie ma żadnych przeszkód uniemożliwiających ten krok.

W każdym razie żadnych zewnętrznych. Tylko ona sama. Mikael przecież powiedział, że ją kocha. Nie raz i nie dwa. Przysunęła się do niego trochę bliżej. Zamknęła oczy i zaczęła myśleć o swojej rodzinie.

O matce i ojcu, z którymi rozmawiała przez telefon raz w miesiącu. A spotykała się raz do roku.

O bracie biseksualiście w Rzymie.

O zagubionej siostrze.

Maud. Zagubiona w ciemnych uliczkach Europy. W burdelach metropolii i zapuszczonej beznadziei narkomańskich melin. W łózkach sutenerów. W długiej ohydnej spirali prowadzącej na dno. Już nawet nie wiedziała, gdzie Maud przebywa.

Kartki przestały przychodzić. Nie podała adresu, nie dawała znaku życia. Może jej siostry nie było już wśród żywych?

Rodzina, pomyślała. Czy rzeczywiście można stworzyć rodzinę, jeśli człowiek jest po trzydziestce i nigdy żadnej nie miał? Czy też wszystkie rodziny są mniej lub bardziej podobne do jej własnej, jeśli przyjrzeć im się nieco dokładniej?

Dobre pytania, jak to się mówi. Zadawała je sobie już wcześniej.

Ciągle pytała, ale odpowiedź odsuwała na przyszłość. Łatwo też było zrzucać winę na rodzicielski dom. Trzymać rany otwarte. Zbyt łatwo.

– Jak on się nazywa?

Mikael głaskał ją po brzuchu.

– Kto?

– Parszywiec.

Jak zręcznie przywołał ją do rzeczywistości.

– Lampe-Leermann. Franz Lampe-Leermann. Dlaczego pytasz?

Powoli zaczął napełniać jej pępek piaskiem. Cienką strużką ciepłego białego piasku, która ostrożnie wydobywała się z jego zaciśniętej dłoni.

– Właściwie to nie wiem. Pewnie z zazdrości. Jeździsz do niego co drugi dzień. Może dlatego nie mówi wszystkiego? Żeby mieć jeszcze kilka razy szansę popatrzania na najładniejszego gliniarza w Europie?

Moreno zastanowiła się.

– Pewnie tak. Ale będzie jeszcze tylko jeden raz. Zamierzam go oświecić, że jutro jest ostatnie przesłuchanie, nawet jeśli nie powie wszystkiego. Postaram się być dla niego trochę miłsza w ramach rekompensaty. Coś mu obiecać...

– Do cholery – zaprotestował Mikael. – Nie mów tego. A tak w ogóle, jakie przestępstwo popełnił?

– Większość – powiedziała Moreno. – Ma pięćdziesiąt pięć lat, z czego przynajmniej dwadzieścia odsiedział. Ale zna nazwiska. Pornografia dziecięca. Grube ryby w handlu narkotykami. Przemysł broni, może ludzi. Niezły kłębek, ale przynajmniej część nitek uda się złapać... z pomocą Lampego-Leermanna. Muszę to wykonać. Takie mam zadanie, żeby z parszywca zdrapać parchy. Chociaż obiecuję, że poświęcę mu jeszcze tylko jeden dzień.

Mikael zdmuchnął drobny piasek i pocałował ją w brzuch.

– Wierzysz w to, co robisz?

Podniosła głowę, patrząc na niego ze zdziwieniem.

– Co masz na myśli?

– To, co mówię. Zastanawiam się, czy wierzysz, że to naprawdę ma znaczenie. Że uda ci się coś osiągnąć jako inspektorowi kryminalnemu? Czy że ja coś uratuję jako pracownik socjalny? Wierzysz, że mamy jakiś wpływ na ten cholerny rynek, tę cholerną hipokryzję, cholerny cynizm? Na dwie trzecie społeczeństwa i superegoizm. Wierzysz w to?

– Oczywiście. Jasne, że wierzę. Dlaczego, do cholery, pytasz?

– Bardzo dobrze. Chciałem tylko sprawdzić. Ja też wierzę. Wierzę i będę wierzył do końca.

Zastanawiała się, dlaczego nagle poruszył tak poważny temat, właśnie teraz, w

palącym słońcu na nieskończonej plaży.

I dlaczego nie rozmawiali o tym nigdy wcześniej.

– Dobrze to mało powiedziane – dodał. – To konieczne. Leila nie wierzyła, dlatego się rozleciało. Zaczęła traktować wszystko z ironią i cynizmem, jakby człowiek nie miał wyboru... jakby solidarność była pojęciem historycznym, które runęło razem z murem, i jedyne co zostało, to martwić się o własne podwórko.

– Myślałam, że to ona zerwała?

Rozwazał przez chwilę.

– Dałem jej tę satysfakcję. Ale przyczyna, w mniejszym czy większym stopniu, leżała tam, gdzie mówię. Leila po prostu mnie zawiodła. Chociaż teraz już nie pamiętam ani jej nazwiska, ani jak wyglądała. Pies to drapał, co będziemy wracać do spraw sprzed dwustu lat... wiesz, że jesteś pierwszą kobietą, z którą chcę mieć dziecko?

– Jesteś niemądry – stwierdziła Moreno. – Idź do banku nasienia.

– Jestem znany ze swej mądrości.

– Pić mi się chce.

– Zmieniasz temat.

– Jaki temat?

– Dziecko. My. Miłość i jedno z drugim. Och, długowłosa glino, kocham cię.

Leżała przez chwilę w milczeniu.

– Rani cię, że nie odpowiadam? – zapytała.

– Śmiertelnie.

Wsparała się na łokciu, sprawdzając, czy nie wygląda na potencjalnego samobójcę. Odnotowała, że kącik jego ust lekko drży, ale powstrzymał uśmiech. Albo płacz. Gra, pomyślała. Dlaczego, do cholery, nie mam do niego zaufania? Wstała, strzepując z siebie piasek.

– Jeśli wrócimy do twojego zamku i napijemy się trochę wody, to coś ci wyjaśnię. Dobra? Naprawdę jestem poważnie odwodniona.

– Mhm? – Mikael też wstał. – Umieram z niecierpliwości. – I pożądania – dodał, kiedy minęli wzniesienie i ujrzeli spiczasty dach Czandali sterczący znad karłowatych sosen.

– No? – ponaglił.

Moreno odstawiła szklanę.

– Pokazujesz tylko swoje dobre strony. Jak na jakiejś cholernej wystawie. Na tym nie można budować. Dopóki nie otworzysz szafy i nie wyciągniesz trupa, nie dostaniesz z mojej

przyszłości nawet małego palca.

Odchylił się i zastanowił.

– Lubię piłkę nożną. Przynajmniej dwa mecze na żywo w roku i jeden tygodniowo w telewizji.

– Zniosę to – oświadczyła Moreno. – Jeśli nie będę musiała oglądać razem z tobą.

– Nie będziesz mogła oglądać razem ze mną. Poza meczami też czasami chcę mieć spokój. Chcę posłuchać Dylana, Toma Waitsa czy Roberta Wyatta i nie lubię, jak ktoś wtedy przychodzi, żeby ze mną porozmawiać, i ścisza mi muzykę.

Skinęła głową, przyjmując do wiadomości.

– Często zabieram pracę do domu – ciągnął. – Niektórych rzeczy po prostu nie mogę zostawić. Właściwie to strasznie męczące, zastanawiałem się, czy się nie zapisać na jogę i medytacje, żeby nad tym zapanować. Fatalnie śpię, kiedy mam niezłatwione sprawy.

– Moglibyśmy chodzić razem, też by mi się przydało.

– Nie, jeśli szybko będziemy mieli dzieci – zmartwił się Mikael. – Jedno z nas będzie musiało zostawać w domu, żeby się nimi zająć. Nie można ciągać niemowlaków na jogę. Nie jesteś przypadkiem głodna?

– Chcesz powiedzieć, że dzisiaj też będziemy jedli?

Mikael kiwnął głową.

– Jest tarta i sałatka. I wino.

– Nienawidzę wina. Poza tym jutro pracuję.

– Hm – uśmiechnął się Mikael. – Chyba mi się przypomina, że tarta jest ze szparagami. A gdzieś czytałem, że akurat szparagi są jedynym produktem, do którego nie pasuje żadne wino.

– Świetnie. Niech żyją szparagi.

Zasnęli wcześniej, nie kochali się, trochę tylko pobaraszkowali. Po kilku godzinach obudziła się i nie mogła z powrotem zasnąć. Leżąc w szerokim podwójnym łóżku, patrzyła na cienie przesuwające się po ścianach i po wysportowanym mężczyźnie przy jej boku. Było to trochę nierzeczywiste. Czy raczej całkowicie nierzeczywiste; księżyc wlewał strugę światła przez otwarte okno i cienkie zasłony i wydawało się, że ona i jej kochanek (chłopak? partner? facet?) pływają w jakiejś surrealistycznej kuwecie. Swobodnie, czekając na wywołanie.

Wywołanie do czego?

Jestem wolną kobietą, pomyślała. Należę do pierwszego w historii pokolenia wolnych kobiet. Mój los spoczywa w moich rękach.

Nie jestem za nikogo odpowiedzialna. Nie jestem skrepowana warunkami społecznymi. Nie mam zobowiązań.

Jestem kobietą, która może robić, co chce.

Właśnie teraz. Tutaj. Dzisiaj i jutro.

O tym też rozmawiali. Właśnie o tym. Wczoraj wieczorem i wcześniej. Jak on to ujął?

Jeśli człowiek za bardzo kocha swoją wolność, przez całe życie będzie obejmował zimny głaz. Coraz twardszy, coraz zimniejszy.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

Brednie, doszła do wniosku. Przeczytał to na odwrocie kasety wideo albo na kartonie z mlekiem, za dużo słów. Jutro czas na parszywca Lampego-Leermanna.

Zdała sobie jednak sprawę – zanim udało jej się ponownie zasnąć tej nocy i zanim nowego dnia wzeszło słońce – że musi podjąć decyzję.

Miała pewnie cztery tygodnie do namysłu. Dwa z nim, dwa sama. Nie sądziła, żeby był skłonny dać jej więcej.

Pogłaskała go ostrożnie po muskularnych plecach, zastanawiając się, czy zna już odpowiedź.

Potem zasnęła.

Schronisko nie miało ani jednego wolnego łóżka. Po chwili rokowań dokwaterowano ją jednak do dwóch młodych Dunek, włączających się po Europie pociągami, i pielęgniarki w średnim wieku, której nie udało się dostać dwójki z mężem.

Pielęgniarkę – porządnie przypieczoną po długim dniu na plaży – spotkała pod prysznicem, Dunki leżały na swoich łóżkach i pisały kartki. Obie miały walkmany na uszach i obie kiwnęły jej głową, nie zdejmując słuchawek.

Stłumiła chęć płaczu. Upchnęła swoje rzeczy w szafce, pościeliła chybotliwe łóżko polowe i wyszła do bufetu, żeby coś zjeść.

Po zjedzeniu trzech kanapek i jabłka oraz popiciu dużą coca-colą poczuła się nieco pewniej. Wyciągnęła niebieski notesik i przestudiowała zapiski. Rozważała przez chwilę, od czego najmądrzej będzie zacząć, a gdy się zdecydowała, wróciła do recepcji, żeby poprosić o pomoc. Dochodziła dopiero za piętnaście szósta, więc przy odrobinie szczęścia powinna zdążyć z wizytą jeszcze tego wieczoru.

Poszło nadspodziewanie dobrze. Obie dziewczyny w recepcji były naprawdę uczynne, a gdy dochodziła do przystanku, autobus akurat przyjechał i na nią czekał.

Usiadła na siedzeniu za kierowcą, nadal zastanawiając się, jak postąpić. Wyjęła notes z torebki, przypomniała sobie najważniejsze fakty, po czym schowała go z powrotem. Autobus ruszył, a ona wróciła myślami do spaceru w parku. I do listów, które dostała od ojca i które przeczytała z rosnącym zdumieniem. Wrażenie, że oderwano ją od rzeczywistości, owładnęło nią jak nagła zmora.

Arnold Maager. Jej tata.

Tata. Smakowała to stare słowo z nową treścią, próbując jednocześnie przywołać w pamięci jego chudą postać.

Nieco przygarbioną sylwetkę. Ciężką, wydłużoną głowę na cienkiej szyi. Skojarzenie z ptakiem. Ręce w kieszeniach spodni, głowa w ramionach, jakby marzył w samym środku lata. I dystans... dystans do córki, który cały czas zachowywał, jakby dotknięcie było czymś niebezpiecznym i zabronionym.

Przez ponad godzinę spacerowali po parku – obok siebie, z półmetrową przerwą. Przynajmniej półmetrową. Na początku szli, szli i szli. Chwilę trwało, nim zrozumiała, że już

nie musi naciskać.

Nie musiała już pytać ani się dopominać. Zdecydował się opowiedzieć.

Opowiedzieć własnym rytmem. Własnymi słowami. Z przerwami i powtórzeniami. Nazwiska, których nie znała. Im więcej ujawniał, tym bardziej był spięty. Nic dziwnego.

Nie była to przyjemna historia, którą miał ubrać w słowa dla swojej córki.

Mocno nieprzyjemna.

Ale ją opowiedział.

Dzwony na niskim, pobielonym wapnem kościele wybiły za kwadrans siódmą, kiedy wysiadała na rynku w Lejnicach. Trzy głuche uderzenia, które na moment poderwały w górę stado gołębi sprzed jej nóg.

Okrzyknęła wyschniętą fontannę i zapytała w kiosku o drogę. Adres znalazła w książce telefonicznej w schronisku; okazało się, że to rzut kamieniem, kioskarka z zadyszką, pocąc się z gorąca, wyjaśniła drogę, pokazując w stronę portu. Łatwo znaleźć.

Podziękowała i poszła we wskazanym kierunku. Denckerstraat prosto w stronę morza – wąską ulicą ze starymi drewnianymi domami, które, pochylając się, czyniły ją jeszcze węższą. Potem Goopsweg w lewo jakieś pięćdziesiąt metrów. Dom przed apteką.

Na tych pięćdziesięciu metrach wydarzyły się dwie rzeczy.

Pierwszą był czarny kot, który wyszedł zza płotu i wolno przeciął ulicę przed jej nosem.

Drugą była dachówka, która z niewiadomego powodu spadła z dachu i uderzyła o ziemię trzy metry za nią. Nastąpiło to zaledwie kilka sekund po tym, jak kot zniknął między sztachetami przeciwległego płotu; kobieta, którą przed chwilą minęła, znalazła się jeszcze bliżej spadającej dachówki i krzyknęła, co właściwie bardziej ją przstraszyło niż dachówka. Przynajmniej na początku.

Przez dłuższą chwilę stała przed numerem dwudziestym szóstym, bijąc się z myślami. Czowała zapach morza dochodzący ze słabym wiatrem od brzegu. Z domieszką oliwy i oregano z pizzerii na rogu. Dom, przed którym stała, był niedużą dwupiętrową kamienicą czynszową z dwoma tylko wejściami. Typowa architektura lat siedemdziesiątych z wąskimi wbudowanymi balkonami od strony ulicy, może od podwórza też.

Nie jestem przesadna, pomyślała. Nigdy nie byłam, nigdy nie będę. Nie wierzę w takie śmieszne anachronizmy z mroczniejszych czasów... te słowa musiała zapożyczyć od Kima Wenderbouta – uświadomiła sobie – nauczyciela wiedzy o społeczeństwie w którym podkochiwała się połowa dziewczyn w klasie. Ona zresztą też.

Śmieszne anachronizmy? Mroczniejsze czasy? Czyli głupoty.

Nie ruszyła się jednak z miejsca. Na rynku dzwony zaczęły bić na siódmą.

Kot i dachówka, pomyślała. Nic nienaturalnego. Policzyła uderzenia. Doszła do ośmiu!

Odwróciła się na pięcie i wróciła tą samą drogą, którą przyszła.

Dziwne, pomyślała, kiedy niedzielnego przedpołudnia ponownie jechała autobusem. Dlaczego to zrobiłam?

Kot przebiegający przez ulicę i dachówka spadająca na ziemię? Nic w tym niezwykłego.

Spała jak suseł przez blisko dwanaście godzin. Wśliznęła się do łóżka zaraz po powrocie do schroniska, a obudziła o wpół do dziesiątej, gdy jedna z Dunek upuściła miskę na podłogę.

Wzięła prysznic, wymeldowała się i akurat zdążyła na autobus, który odjeżdżał dwadzieścia po dziesiątej. Śniadanie: gruszka i oranżada gruszkowa. Zróżnicowane aż nadto.

Dziwiło ją własne zachowanie poprzedniego wieczoru. Zupełnie do niej niepodobne, zdała sobie z tego sprawę jeszcze wyraźniej w jasnym świetle dnia. Niepodobne do Mikaeli Lijphart, rozsądnej i racjonalnej – wśród klasowych przyjaciółek, owszem, były i takie, które bardzo chętnie oddawały się różnym formom *New Age*'u, mistycyzmu przełomu wieków czy podobnym fanaberiom, ale nie ona. Nie trzeźwo myśląca, stąpająca po ziemi Mikaela. Toteż wydarzenie z kotem i dachówką trochę ją zaskoczyło. I własna reakcja.

A jeśli i dzisiaj pojawiają się jakieś znaki na jej drodze? Jak zareaguje?

Nonsens, pomyślała. Wczoraj to było wczoraj. Byłam zmęczona. Śmiertelnie zmęczona i psychicznie wyczerpana. Kto by nie był? Po dniach, w których nieszczęścia szły nie parami, ale czwórkami, jak mawiał Helmut. Całą kolumną.

Idąc w kierunku Goopsweg, uświadomiła sobie, że od wyjazdu wczoraj rano nie zadzwoniła do domu.

Nie obiecywała wprawdzie, że zadzwoni, ale zawsze dzwoniła. W zaułku za pizzerią dostrzegła budkę, a w torebce miała nową kartę telefoniczną. Zwolniła kroku i zaczęła rozważać za i przeciw.

Pewnie powinna? Nie było chyba powodu, żeby niepotrzebnie martwić mamę i Helmuta?

Owszem, był powód. I to dobry. Jeśli miała pozwolić sobie na trochę egoizmu.

No i skończyła osiemnaście lat.

Najlepiej, żeby nauczyli się przyjmować dobre ze złym, pomyślała. Telefon może zaczekać przynajmniej kilka godzin. Właściwie może zaczekać cały dzień.

Pogwizdując, minęła budkę telefoniczną.

Kobieta, która otworzyła drzwi, przypominała matematyczkę uczącą ją przez semestr w ósmej lub dziewiątej klasie. Ta sama wydłużona końska twarz. Te same blade oczy. Te same skudłacone, matowe, bezbarwne włosy. Przez chwilę Mikaela była tak pewna, iż to ta sama osoba, że miała nazwisko na końcu języka.

Przypomniało się jej jednak, że panna Dortwinckel odebrała sobie życie w czasie Bożego Narodzenia – zjadając, jeśli wierzyć plotkom, z pół tuzina kryształowych kieliszków. Zrozumiała, że miały po prostu pewne wspólne rysy, nic więcej. Podobną osobowość.

Lub jej brak. Może Pan Bóg miał w sumie ograniczone możliwości wyboru wyglądu. Zwłaszcza dla podstarzałych, nieco steranych kobiet.

Skąd mi się biorą takie myśli?, zdziwiła się. I jak to się dzieje, że pojawiają się tak szybko?

– Tak?

Głos był ostry i nieprzyjazny. Ani trochę nie przypominał głosu panny Dortwinckel, który akurat dobrze pamiętała.

– Przepraszam. Nazywam się Mikaela Lijphart. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale bardzo by mi zależało, żebyśmy mogła z panią chwilę porozmawiać.

– Ze mną? Po co?

Mikaela poczuła odór alkoholu w jej oddechu. Mimowolnie cofnęła się pół kroku i musiała złapać za poręcz, żeby nie spaść ze schodów.

O jedenastej rano w niedzielę, pomyślała. Już pijana. Dlaczego...?

Potem uderzyło ją, że może ma to coś wspólnego z jej tatą. Z opowieścią jej taty. Czy...?

Zgubiła wątek. Albo porzuciła go świadomie. Kobieta patrzyła na nią złym wzrokiem.

– Po co chcesz ze mną rozmawiać? – powtórzyła. – Dlaczego nic nie mówisz? Masz trochę nie po kolei czy jesteś jakąś zasraną sekiarą, która próbuje kaptować dusze? Nie mam duszy.

– Nie, nie – zapewniła Mikaela. – Przepraszam, jestem trochę skołowana, ostatnio tyle się wydarzyło i nie bardzo wiem, jak mam się zachować. Chodzi o zdarzenie z czasów, kiedy byłam bardzo mała... miałam wtedy dwa lata. Próbuję je rozwikłać i myślę, że pani może mi pomóc. Nie jestem stąd. Mogę wejść na chwilę?

– Mam nieposprzątane – powiedziała kobieta.

– Zajmę tylko kilka minut.

– Gospośia nie przyszła w ostatni piątek, jest nieposprzątane, mówię.

Mikaela zdobyła się na uśmiech zrozumienia.

– Mnie to nie przeszkadza, ale jeśli pani woli, możemy pójść na przykład do kawiarni.

Bylebym mogła z panią porozmawiać.

Kobieta mruknęła coś z wahaniem. Trzymając się kaloryfera, huśtała się powoli na piętach i zaciskała wargi.

– Jakie zdarzenie? Co chce pani wiedzieć?

– Wolałabym o tym nie rozmawiać w drzwiach. Chodzi o mojego ojca.

– Twojego ojca?

– Tak.

– A kim jest twój ojciec?

Mikaela zastanawiała się przez dwie sekundy. Potem podała nazwisko. Kobieta głośno wciągnęła powietrze, puszczając kaloryfer.

– A to ci dopiero. No to wejdź.

Mikaela nie miała najmniejszych wątpliwości, że gospośia nie przyszła w ostatni piątek. Ani w żaden inny piątek przez co najmniej pół roku. Nigdy nie widziała bardziej brudnego i niechlujnego mieszkania. Nie pomyślałaby nawet, że mieszkanie może tak wyglądać. Kobieta wpuściła ją do ciasnej kuchni śmierdzącej dymem tytoniowym, zepsutą rybą i jeszcze paroma rzeczami. Zrzuciła z małego stołu gazety i reklamy, tak że mogły usiąść naprzeciw siebie – z klejącym się blatem pomiędzy, na którym stały kieliszki, popielniczka i butelka.

Wiśniówka. Gospodyni naląła, nie pytając. Mikaela posmakowała klarownego czerwonego trunku, ciepłego i tak słodkiego, że omal jej nie zemdlilo.

Kobieta wychyliła kieliszek do dna i odstawiła z trzaskiem na stół. Wyjęła papierosa i zapaliła.

Dlaczego nie może przynajmniej trochę wywietrzyć, pomyślała Mikaela. Dlaczego w środku lata mieszka zamknięta na śmietniku? Ohyda.

No, ale oczywiście nie przyszła tu, żeby omawiać sprawy higieny i porządku w mieszkaniu.

– A więc chodzi o Arnolda Maagera. Tego skurwysyna.

– On jest... Arnold Maager jest moim ojcem.

– Ty tak twierdzisz. Opowiedz, co wiesz.

Poczuła, że ponownie wzbiera w niej płacz, ale zacisnęła zęby i zdołała go powstrzymać.

– Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że uchylę okno? – zapytała. – Mam alergię na dym papierosowy.

– Żadnego otwierania okien – oświadczyła kobieta. – Sama chciałaś do tego gówna.

Mikaela przełknęła ślinę.

– Opowiadaj – gospodyni dołała wiśniówki. – Ty pierwsza, musi być jakiś porządek.

Mikaela odchrząknęła. Właściwie nie miała wiele do opowiadania, ale ledwie zaczęła, kobieta wstała i podeszła do zlewu, w którym piętrzyły się brudne naczynia, puste butelki i różnorakie śmieci. Przez chwilę grzebała w szufladzie, stojąc tyłem do gościa, a kiedy się odwróciła, trzymała prawą rękę wyciągniętą, pokazując czymś na Mikaele.

Trwało sekundę, zanim Mikaela zrozumiała, że to pistolet.

Kot, pomyślała. Dachówka.

12 lipca 1999

Poniedziałek był zachmurzony, ale w pokoju przesłuchań w lejnickim komisariacie nadal panowało gorąco. Lampe-Leermann ubrał się w pomarańczową koszulę z długim kołnierzykiem, trzy górne guziki miał rozpięte. Plamy potu pod pachami były nieznaczne. Pachniał mocno wodą po goleniu.

Lepsze to niż stary czosnek, pomyślała Moreno, siadając naprzeciwko niego. Obserwowała go przez chwilę, nim zaczęła przesłuchanie; uznała, że wygląda na bardziej skoncentrowanego niż w sobotę, toteż magnetofon włączyła z uczuciem lekkiego optymizmu.

Dokładnie o 13.15; kiedy go wyłączyła po dobrze wykonanym zadaniu, minęły równo godzina i cztery minuty.

Dobrze wykonane zadanie i świetna robota. Tak przynajmniej ona uważała. Czy Lampe-Leermann podzielał jej opinię, można było wątpić; jeśli potrafiła ocenić, wydobyła z niego prawie wszystko, co wiedział. Trzy nazwiska całkowicie nowe dla policji, z pół tuzina wcześniej znanych i informacje wystarczające do podjęcia działań przeciwko nim wszystkim. Sporo też innych informacji, których wartości na razie nie mogła oszacować, ale które na dłuższą metę powinny zaowocować jednym czy drugim wyrokiem skazującym. Jeśli prokuratura nie będzie innego zdania lub nie trzeba będzie uwzględnić innych okoliczności, ale na ten temat nie warto było spekulować.

Nie złożyła też żadnych większych obietnic, jeśli chodzi o złagodzenie oskarżenia czy umorzenie. Nie miała do tego oczywiście uprawnień, ale w końcu to policja decydowała, jakie informacje ujrzą światło dzienne, a jakie nie.

Czyli świetna robota, tej pochwały mogła chyba sobie udzielić. Resztą niech się zajmie Reinhart – inspektor Moreno zrobiła, co do niej należało, a nawet więcej.

– Pani policjantka wygląda na zadowoloną – skomentował też Lampe-Leermann, drapiąc się po zarośniętej piersi.

– To dlatego że wreszcie mogę stąd wyjść – odparowała Moreno.

– Nie ma ochoty na coś jeszcze?

Dwuznaczność – pewnie zamierzona – wprawiła ją we wściekłość, ale się opanowała.

– Co takiego?

– Smaczny kąsek. Frykasik na zakończenie. Ale najpierw muszę zajarać.

Moreno zawahała się. Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, co on do cholery ma w zanadru.

– Co masz w zanadru? – zapytała więc.

– Dokładnie to, co mówię. Jak zawsze. Smaczny kąsek. Ale najpierw fajka. Wszystko w swoim czasie

– Daję ci pięć minut – zdecydowała Moreno. – Ale lepiej, żebyś naprawdę coś miał, bo inaczej stracisz całą premię.

Lampe-Leermann wstał.

– Niech się panna nie martwi. Nie zwykłem zawodzić kobiet. Zastukał w drzwi i został wypuszczony do palarni.

– Jest więc ten pismak.

– Pismak?

– Dziennikarz. Nie czepiaj się, panna, słówek.

Moreno nie odpowiedziała.

– Ma ciekawą historyjkę. A ja mam jego nazwisko...

Postukał się dwoma palcami w czoło.

– ...i tego dotyczyłyby negocjacje.

Moreno kiwnęła głową, rzucając okiem na magnetofon, ale Lampe-Leermann zrobił przeczący gest ręką.

– Nie sądzę, żeby chciała to pani mieć nagrane. Myślę, że bez trudu pani zapamięta.

– Do rzeczy – ponagliła Moreno. – Dziennikarz, który coś wie?

– Zgadza się. Co panna myśli o pedofilach?

– Uwielbiam ich.

– Też byłbym dla nich bardziej wyrozumiały – przyznał Lampe-Leermann, drapiąc się pod brodą. – Pisze się o nich tyle złego... można powiedzieć, że trochę prześladowe. A są przecież wszędzie. Zwykli, porządni obywatele jak pani i ja...

– Do rzeczy!

Lampe-Leermann popatrzył na nią z miną, która zapewne miała przedstawiać ojcowską wyrozumiałość.

– ...jak powiedziałem, są wszędzie. A przecież nie można się wstydzić swoich skłonności, tak mawiała moja matulka... no, ale w dzisiejszych czasach to drażliwy temat, ludzie są wkurzeni po tym, co się działo. W każdym razie...

Zrobił sztuczną przerwę, przesuwając kciukiem i palcem wskazującym po swoich farbowanych wąsach, a Moreno pomyślała, że jeszcze nie widziała czegoś podobnego. Ani nie słyszała. Określenie „parszywiec” należało wręcz traktować jako komplement. Zacisnęła zęby, zachowując nieporuszoną twarz.

– ...w każdym razie spotkałem tego pismaka i dowiedziałem się, że wziął dziesięć tysięcy za trzymanie gęby na kłódkę.

– Trzymanie...?

– Tak.

– W jakiej sprawie?

– No tego pedofila. Że nie wypapla nazwiska.

– A kto to jest?

Franz Lampe-Leermann wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ja nie wiem. To pismak wie, ale ja znam nazwisko pismaka. Nadąza panna?

– Oczywiście – powiedziała Moreno. – I co?

– Sprawa jest interesująca przez stanowisko. Nie nazywałbym tego smacznym kąskiem, gdyby nie miejsce, w którym się zaszył. Ten gość ze skłonnościami. Jak myślisz, gdzie?

Moreno milczała. Odnotowała, że po raz pierwszy zwrócił się do niej per „ty”. Zastanawiała się, czy to coś oznacza.

– W samym gniazdku. Co na to powiesz? Kryminalny... u was. Uśmiechnął się, odchylając w tył.

– Co?

Lampe-Leermann pochylił się z powrotem w przód. Wyrwał sobie włos z nosa i ponownie się uśmiechnął.

– Powtarzam. W komendzie policji w Maardam pracuje pedofil. W kryminalnym. Zapłacił mojemu informatorowi dziesięć tysięcy guldenów, żeby nie zostać zdemaskowanym. Głupio tak płacić, jeśli się nie ma nic do ukrycia, nie uważa pani?

O czym, do cholery, on mówi, pomyślała Moreno.

Informacja nie mogła do niej dotrzeć, ale w końcu dotarła. Przedarła się ciężko i nieubłaganie przez jej pancerz ochronny z rozsądku, uczuć i doświadczenia, stając się zrozumiałym przekazem.

Czy raczej niezrozumiałym.

– Niech cię piekło pochłonie.

– Dziękuję – odparł Lampe-Leermann. – Pewnie w swoim czasie...

– Kłamiesz... zapomnij, że miałeś być potraktowany ulgowo. Przypilnuję, żebyś dostał osiem lat. Dziesięć! Ty bydlaku!

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Widzę, że panna się wzburzyła. Czyli pani też nie ma dla nich zrozumienia? Nawiasem mówiąc, nie wiem, czy wziął pieniądze z własnej kieszeni, czy ze środków publicznych, jak to się nazywa... zależy pewnie od pozycji, jaką ma, ale tego nie wiem. Jak powiedziałem. Ale pismak wie.

Zamilkł. Moreno wydało się, że pokój zakołysał się przez krótką chwilę, niewielki przechył – jakby w filmie, w którym grali, zabrakło nagle trzech klatek z dwudziestu czterech i nastąpił mały przeskok... coś takiego musieli odczuwać ludzie w pewnej odległości od epicentrum trzęsienia ziemi.

Trzęsienie ziemi?

Ta metafora nie pojawiła się chyba bez powodu. Moreno obrzuciła spojrzeniem rozluźnioną sylwetkę Franza Lampego-Leermanna po drugiej stronie stołu. Pomyślała, że w nieco mniej cywilizowanych okolicznościach – wystarczyłyby „nieco mniej” – nie zawahałaby się przed zabiciem go. Gdyby miała taką możliwość. Naprawdę. Jak karalucha pod obcasem. Ta myśl nie przeraziła jej ani trochę.

Potem przeraził ją ten brak przerażenia.

– Skończyłeś? – zapytała. Próbowwała nadać głosowi tak lodowate brzmienie, by do niego dotarło, że nie może oczekiwać żadnej łaski.

– Skończyłem – potwierdził. Uśmiech nieco przygasł, ale niewiele. – Widzę, że wiadomość do pani dotarła. Proszę się zgłosić, kiedy ją pani przetrawi.

Moreno wstała. Podeszła do tylnych drzwi i zastukała w nie pękiem kluczy. Zanim ją wypuszczono, Lampe-Leermann zdążył wyjaśnić jeszcze jeden szczegół.

– To właśnie ze względu na ten smaczny kąsek chciałem rozmawiać z policjantką. Nie myślała pani chyba nic innego? Nie chciałem ryzykować, że usiądę twarzą w twarz właśnie z... właśnie z tym policjantem. Lub z kimś, kto mógłby być wobec niego solidarny... piękne słowo, solidarny, choć w dzisiejszych czasach nieco wyszło z użycia. Hm.

To mi się tylko śniło, pomyślała inspektor Ewa Moreno. Ale z jakiegoś powodu jest mi niedobrze.

Pięć minut później zostawiła za sobą zarówno Franza Lampego-Leermanna, jak i lejnicki komisariat policji.

Przynajmniej tego dnia.

Aspirant Vegesack przeżegnał się i zapukał do drzwi.

Nie był wcale religijny, ani trochę, a już na pewno nie był katolikiem, ale już raz to żegnanie się okazało się skuteczne – zasnął w samochodzie podczas nocnej obserwacji (przy czym obserwowany, pośrednik gangu kokainowego, skorzystał z okazji, żeby się wymknąć) i następnego dnia komisarz Vrommel wezwał go na dywanik. Z braku czegoś lepszego, stojąc pod drzwiami, przeżegnał się (dokładnie tak jak włoski bramkarz w zeszłotygodniowym meczu Champions League przed karnym, którego potem obronił) i ku jego ogromnemu zdumieniu poskutkowało. Vrommel potraktował go niemal jak człowieka.

Najbardziej prawdopodobna przyczyna – że jeszcze tej samej nocy udało się pośrednika złapać – Vegesacka nie przekonywała. Od tego dnia zawsze żegnał się przed drzwiami szefa.

Na pewno nie zaszkodzi, myślał.

Vrommel między szafkami na akta wykonywał krążenia tułowia. Robił je codziennie przynajmniej dziesięć minut, żeby utrzymać się w formie, i nie musiało go to odrywać od pracy. Doskonale mógł przy ćwiczeniach załatwiać sprawy służbowe.

– Siadajcie – powiedział, kiedy aspirant Vegesack zamknął za sobą drzwi.

Vegesack usiadł na krześle.

– Notujcie – polecił Vrommel.

Komendant był znany z lakoniczności, a skupienie uwagi na gimnastyce powodowało, że musiał swoje wypowiedzi jeszcze trochę ograniczyć.

– Po pierwsze – powiedział

– Po pierwsze? – powtórzył Vegesack.

– Skurczybyk Lampe-Leermann ma być przewieziony do aresztu w Emsbaden dziś wieczorem albo jutro. Zadzwońcie i załatwicie.

Vegesack zanotował.

– Po drugie. Trzeba spisać z taśmy przesłuchanie, żeby inspektor Moreno mogła podpisać. Wy spiszecie.

Vegesack zanotował.

– Do jutra do dwunastej. Taśmy leżą tutaj.

Pokazał głową na biurko. Vegesack wziął obie kasety i schował do kieszeni marynarki. Komendant zrobił krótką przerwę przed zmianą kierunku obrotów.

– Czy coś jeszcze? – zapytał Vegesack.

– To bym powiedział – odparł Vrommel.

Kiedy Vegesack wrócił do swojego pokoju – dzielił go zresztą z posterunkowymi

Mojavicem i Heimem – rozważał, czy owej wymiany zdań nie wpisać do swojej czarnej książki. Tej, którą zaczął pisać pół roku temu i która miała być jego wielką zemstą na komisarzu Victorze Vrommlu. I która pozwalała mu wytrzymać w pracy.

Prawdziwa historia o komendancie policji w Lejnicach.

Napisał już ponad pięćdziesiąt stron, a tytuł, ku jakiemu skłaniał się w tej chwili, brzmiał: *Skunks w mundurze*.

Choć nie do końca porzucił *Karzącą mękę sprawiedliwości czy Nerona naszych czasów*.

Zajrzał do kalendarza, stwierdzając, że do urlopu zostało mu osiemnaście dni. Potem zadzwonił do Emsbaden i załatwił przewiezienie Lampego-Leermanna. Zajęło mu to pół godziny. Spojrzał na zegarek. Za piętnaście czwarta. Sięgnął po notes i długopis i włożył pierwszą kasetę do magnetofonu.

Jeśli dobrze pójdzie, będę gotowy o północy, pomyślał.

Kiedy opowiedziała do końca, uderzyło ją, że może powinna zachować to dla siebie.

Czy nawet bez tego „może”. Treść zeznania parszywca Lampego-Leermanna była takiego rodzaju, że nikt nie powinien być zmuszony się z nią zapoznawać. Czy się nią zajmować.

Zwłaszcza jeśli Lampe-Leermann blefował.

A oczywiście blefował. Inne wyjaśnienie było niedorzecznością.

Dlaczego więc opowiedziała Mikaelowi, zaraz jak tylko usiedli na werandzie portowej kawiarni? Dlaczego?

Nie znalazła żadnej zadowalającej odpowiedzi, zawahała się tylko przez krótką chwilę i ugryzła się w język.

– Aha? Ładne kwiatki – ocenił Mikael. – I co o tym sądzisz?

Potrząsnęła głową.

– Oczywiście wymysł, nic innego. Nie rozumiem tylko, co on spodziewa się na tym zyskać.

Mikael patrzył na nią w milczeniu, mieszając powoli w filiżance.

– A jeśli nie?

– Co nie?

– Jeśli to nie wymysł.

– To jest wymysł.

– Czyj?

– Nie rozumiem.

– Kto to wymyślił? Sam Lampe-Leermann czy ten dziennikarz?

Moreno zastanowiła się.

– Albo jeszcze ktoś inny. Zresztą nawet nie wiemy, czy ten dziennikarz naprawdę istnieje.

– Dopóki parszywiec nie wyśpiewa nazwiska?

– Właśnie – powiedziała Moreno. – A za darmo tego nie zrobi. Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Mikael patrzył na nią nadal z lekko uniesionymi brwiami, ale udawała, że tego nie widzi.

– Hipotetycznie... – odezwał się.

Nie odpowiedziała. Wahał się przez kilka sekund.

– Przyjmijmy... czysto hipotetycznie, że nie blefuje. Co wtedy? Moreno spojrzała na niego złym wzrokiem, zaciskając pięści. Wzięła głęboki oddech.

– Wtedy... wtedy okazuje się, że któryś z moich bliskich współpracowników jest skurwysynem i gwałci dzieci.

– Nie tak głośno – zmitygował ją Mikael, rozglądając się ostrożnie wokół. Ale przy sąsiednich stolikach nikt nic chyba nie usłyszał. Moreno pochyliła się do przodu, mówiąc dalej nieco bardziej stonowanym głosem.

– Wtedy znajdujemy się w sytuacji, która jest tak cholernie obrzydliwa, że nie będę mogła spać po nocach. To chyba oczywiste?

Mikael kiwnął głową.

– Raczej tak. Ilu wchodzi w grę? Ewentualnych podejrzanych... nadal oczywiście czysto hipotetycznie.

Moreno zastanowiła się. Zmusiła się do zastanowienia.

– Zależy – odpowiedziała. – Zależy, kogo zaliczy się do kryminalnego, niektórzy pracują na styku wydziałów, posterunkowi w kilku jednocześnie. Powiedziałabym, że ośmiu, dziesięciu... nie więcej niż dwunastu.

– Tuzin?

– Góra, tak.

Mikael dopił filiżankę cappuccino i otarł pianę z kącików ust.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytał.

Ewa Moreno nie odpowiedziała.

Nie było dobrej odpowiedzi.

Kiedy wrócili do Port Hagen i Czandali, była piąta. Na werandzie czekała na nich rudowłosa kobieta.

– Ojoj – mruknął Mikael. – Zupełnie zapomniałem.

Kobieta nazywała się Gabriella de Haan, kiedyś dziewczyna Mikaela, przysłała w związku z kotem. Ten z kolei wabił się Montezuma, była to ospała, ryza samica, około dziesięcioletnia. W oczach Moreno nie brakło podobieństw między obiema damami. Przeciwnie. Dopatrzeć się mogła niejednego już przy bardzo pobieżnej lustracji.

– Nie lubisz kotów? – zapytał Mikael, kiedy panna Haan oddaliła się po niecałych pięciu minutach.

– Owszem, nawet sama miałam kota kilka lat temu. Zaginął w tajemniczych okolicznościach. Ale ten tutaj...?

Pokazała głową na Montezumę, która wyciągnęła się na boku wstarym wypłowiałym hamaku i najwidoczniej czuła się jak u siebie w domu.

– Ten tutaj, tak – Mikael przez sekundę wyglądał na skruszonego, z czym było mu do twarzy. – Myślałem, że cię uprzedziłem. Będzie tu mieszkała kilka tygodni, bo Gabriella wyjeżdża do Hiszpanii. Nie bardzo mogłem odmówić, kupiliśmy ją, jak byliśmy razem, a po rozstaniu przypadła Gabrielli. Zresztą starej Montan dobrze zrobi morskie powietrze. Przez cały rok jest zamknięta w mieszkaniu... na pewno nie będzie nam przeszkadzać. Łagodna, że do rany przyłoż, nawet jeśli robi wrażenie trochę szorstkiej.

Pochylił się i zaczął drapać kotkę po brzuchu, co najwyraźniej sprawiało jej dużą przyjemność.

Moreno przyłapała się na tym, że się uśmiecha. Zamknęła szybko oczy, próbując wywołać obraz przyszłości. Za jakieś dziesięć lat... jak mogłoby wyglądać, gdyby podjęła pewne decyzje i konsekwentnie się ich trzymała.

Ona i Mikael. Dwoje dzieci. Duży dom. Dwa koty.

W zasadzie to było wszystko, ale obraz pojawił się niejako bez przeszkód i ogólnie rzecz biorąc, wydał się jej znośny. Co najmniej znośny.

Spadam, pomyślała później. Muszę zebrać nieco sił i stworzyć mechanizmy obronne, bo inaczej popłynę z prądem.

Wieczorem przeszli się do restauracji Wincklers leżącej na samym końcu przylądka po północnej stronie plaży i cieszącej się pewną renomą. Zjedli zupę rybną, popijając wodą mineralną, i sorbet cytrynowy ze świeżymi malinami. Przez cały czas unikali rozmowy o Franzu Lampem-Leermannie.

Aż do chwili, gdy wracając, zatrzymali się przed stertą meduz, które ktoś wyłowił z morza i wrzucił do dołu na plaży.

– Czy ten parszywiec jest równie obmierzły? – zapytał Mikael. Moreno zajrzała z odrazą do dołu.

– Brr. Tak, właśnie taki. Zresztą pies drapał, jaki jest. Żeby tylko nie wyskoczył z tym ostatnim.

– Nie myślę się, że inspektor miała w czasie deseru parszywe myśli?

Moreno westchnęła.

– Zgadza się, jak mogłoby mnie to nie prześladować? Powiedz mi, proszę. Siedzi, gdzie siedzi, i z której strony by na sprawę spojrzeć, oznacza przecież oskarżenie... straszne oskarżenie jednego z moich kolegów. Kogoś, z kim pracowałam, kogo szanowałam, o kim myślałam, że go znam i mogę mu zaufać. Jeśliby miało się okazać, że... nie, do cholery, to przecież tylko blef, ale ta myśl nie znika i mnie męczy. Ech! Jesteś w stanie mnie zrozumieć?

Mikael powiedział, że jest. Odwrócili się od dołu z meduzami i poszli dalej. Z początku w milczeniu, potem Mikael nawiązał do tematu i opowiedział o przedszkolu Szczęśliwa Panda w Leufsheim, kiedy rozeszła się pogłoska, że wśród personelu jest pedofil... mimo że przeprowadzono skrupulatne dochodzenie, które obaliło zarzuty w stu dziesięciu procentach i wszystkich oczyszczono, Szczęśliwą Pandę musiano zamknąć po kilku miesiącach, ponieważ rodzice nie chcieli posyłać tam dzieci.

I ponieważ dziewięć pracujących tam kobiet okazało się solidarnych wobec trzech swoich kolegów. Tak też można było to ująć.

Z jednym z tych mężczyzn Mikael przyjaźnił się od dzieciństwa; od tej historii minęły cztery lata, przyjaciel niedawno rozwiódł się i przekwalifikowywał się na maszynistę.

– Urocze – stwierdziła Moreno.

– Bardzo urocze – przyznał Mikael. – Choć fazę myśli samobójczych ma już za sobą. Ale chyba odbiegamy od tematu.

Moreno szła przez chwilę w milczeniu.

– Chcesz powiedzieć, że wystarczy, iż Lampe-Leermann zasiał ziarno we mnie? Że nie będę umiała się tego pozbyć?

– Mniej więcej. Prosta psychologia. Tak cholernie łatwo wyrządzić krzywdę, której nie

da się naprawić... jeśli nawet ty nie jesteś w stanie odrzucić takiego oskarżenia, jak, twoim zdaniem, miałyby to zrobić opinia publiczna? Jeśli sprawa wyszłaby na jaw. Nie ma dymu bez ognia. Szlag by to trafił!

Moreno nie odpowiedziała.

– Chociaż chciałbym wiedzieć, co myślisz w głębi serca – ciągnął po krótkiej pauzie. – Tak zupełnie szczerze. Łatwiej byłoby przedyskutować sprawę, gdybyś nie czuła się zmuszona chronić swoich kolegów. Czy to może być prawda? Czy istnieje prawdopodobieństwo – jakiegokolwiek prawdopodobieństwo – że nie jest to wyłącznie wymysł?

Moreno szła dalej, patrząc na szybko ciemniejące morze. Horyzontu nie mogła już rozróżnić, ale rząd świateł z kutrów rybackich, które wypłynęły na nocny połów, wydawał się zaznaczać jego linię.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała. – Po prostu nie mogę. Zaczęłabym raczej od drugiego końca. Od próby zrozumienia motywów... motywów Lampego-Leermanna. Co może na tym zyskać?

– Myślisz, że kłamie?

– Bardzo możliwe. Chcę w to wierzyć. Chociaż równie dobrze ten dziennikarz mógł podpuścić Lampego-Leermanna.

– W jakim celu?

Moreno wzruszyła ramionami.

– Pojęcia nie mam. Nie rozumiem tylko sensu zwierzania się takiemu typowi jak parszywiec. Jeśli nie zrobił tego po pijaku... co oczywiście wcale nie jest wykluczone. Nie należy przeceniać u ludzi z tych kręgów zdolności logicznego myślenia i trzymania się planu, powoli się tego nauczyłam.

– Przez przypadek? – zapytał Mikael. – Wyrwało mu się?

– Może. Istnieje coś w rodzaju szarej strefy. Komisarz... ten, o którym ci opowiadałam... mawiał, że wszystkie wydarzenia są podejrzaną mieszanką spodziewanego i niespodziewanego. Problemem jest ustalenie proporcji w poszczególnych przypadkach... czasami wynoszą one 8:2, czasami 1:9... może to wyglądać na puste dywagacje, ale różnica jest diabelna.

– Porządek czy chaos – powiedział Mikael, podnosząc puszkę po coca-coli, którą ktoś porzucił zgniecioną dwa metry od jednego z zielonych koszy, rozmieszczonych równomiernie na plaży przez służby oczyszczania. – I relacje między nimi... cóż, brzmi chyba sensownie. Rozmawialiśmy o tym już wcześniej. Chociaż samo zeznanie Lampego-Leermanna było

raczej dobrze zaplanowane?

– Bez wątpienia – westchnęła Moreno. – Bez wątpienia. Oczekuje konkretnej propozycji za nazwisko tego przekłętego pismaka. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że ów dziennikarz istnieje i że coś jest na rzeczy. Niestety.

– A co skłania cię do takiego przekonania?

– Pozycja Lampego-Leermanna w negocjacjach. Nawet taki łajdak jak on musi zdawać sobie z niej sprawę. Jeżeli coś byśmy mu obiecali, a okazałoby się, że blefuje, nic prostszego jak się z tych obietnic wycofać. Nie on dyktuje warunki.

Podczas gdy Mikael zastanawiał się nad jej słowami, minęli wzniesienie i spiczasty dach Czandali znalazł się w zasięgu ich wzroku.

– A jeśli chce żywą gotówkę? Mógłby chyba wyciągnąć od was niezłą sumkę... czy nie będzie trudno odzyskać pieniędzy leżących już gdzieś na koncie albo w materacu?

– Zgadza się. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nieważne, to nie moja działka. Muszę przekazać sprawę dalej... czy ja nie mam przypadkiem urlopu? Spokojne dni nad morzem z moim zdolnym młodym kochankiem?

– Trafiłaś w samo sedno – Mikael przyciągnął ją gwałtownie ku sobie. – Jak tylko wejdziemy do domu, zadzwonisz i przekażesz sprawę tym, którzy są na służbie.

– Hm, chyba jednak zaczekam co najmniej do jutra.

– Do jutra? – zdziwił się Mikael. – Dlaczego?

– Muszę pomyśleć, z kim mam najpierw porozmawiać.

Zastanawiał się przez trzy sekundy.

– Rozumiem, delikatna sprawa?

– Tak, bardzo delikatna.

Obudziła się o wpół do trzeciej. Przez dwadzieścia minut próbowała zasnąć, potem ostrożnie wstała i z kartką i długopisem usiadła przy dużym okrągłym stole w kuchni.

Wypisała po kolei nazwiska pojawiające się w jej pamięci.

Podkomisarz Münster

Komisarz Reinhart

Inspektor Rooth

Inspektor Jung

Podkomisarz deBries

Aspirant Krause

To było jej najbliższe otoczenie. Pracowała z nimi praktycznie na co dzień od sześciu

czy siedmiu lat.

Znała ich na wylot.

Znała na wylot? Czy któryś z nich...?

Pytanie niemal fizycznie ścisnęło ją za gardło. Kiedy próbowała przełknąć ślinę, skończyło się na próbie.

Zostawiła rozważania i wróciła do listy, zastanawiając się, dlaczego zadała sobie trud, by wypisać tytuły. Czy stanowisko służbowe mogło w takiej sprawie odgrywać jakąś rolę?

Podkomisarz le Houde

Asystent Bollmert

I jeszcze posterunkowi. Właściwie tylko luźno powiązani z kryminalnym, ale jednak.

Joensuu

Kellermann

Paretsky

Klempje

Odchyliła się do tyłu, patrząc na listę. Wszystkiego dwanaście nazwisk. Więcej nie mogła sobie przypomnieć. Więcej nie było. Heinemann odszedł na emeryturę. Van Veeteren zrezygnował.

Kto?, nurtowało ją. Kto mógłby...?

Pytanie przez kilka minut przesunęło się niczym czarna chmura przez jej świadomość. Potem postawiła je inaczej.

Do kogo? Do kogo mam zadzwonić?

Któremu z tych mężczyzn ufam najbardziej?

Podczas gdy usiłowała rozwikłać problem, zrobiło się piętnaście po trzeciej, potem wpół do czwartej – czuła coraz większe mdłości.

13 lipca 1999

– Jest zajęty – powtórzył po raz trzeci aspirant Vegesack. – Nie rozumie pani, co mówię? Musi pani albo poczekać, albo powiedzieć mi, o co chodzi.

Kobieta potrząsnęła zirytowana głową, rozkładając ręce. Przymierzała się, żeby ponownie zażądać rozmowy z komendantem – tak przynajmniej wyglądało – ale się rozmyśliła. Wypuściła tylko powietrze między zaciśniętymi zębami.

Trochę po czterdziestce, ocenił Vegesack. Przy kości, ale nie gruba. W jakiś sposób witalna... krótko obcięte, ciemnorude włosy, z pewnością farbowane.

Zdenerwowana.

Zdenerwowana jak cholera. Nie dało się jej nawet skłonić, żeby usiadła na krześle. Biegała po pokoju jak jamnik chcący wyjść na dwór. Aspirant Vegesack wychował się razem z jamnikiem, więc wiedział, o czym mowa.

– Gdyby przynajmniej mogła pani ujawnić, z czym pani przyszła? – spróbował. – Albo jak się pani nazywa?

Zatrzymała się. Podparła się pod boki, patrząc na niego taksująco. Bezwiednie jego lewa ręka powędrowała pod szyję, poprawiając węzeł krawata.

– Sigrid Lijphart – powiedziała. – Nazywam się Sigrid Lijphart i szukam córki, Mikaeli. Nie odzywa się od soboty.

Vegesack zanotował.

– Jest pani tutejsza? Nie pamiętam, żebym...

– Nie, nie jestem stąd – przerwała niecierpliwie. – Ale mieszkałam tu szesnaście lat temu. Komendant wie, dlaczego byłam zmuszona się wyprowadzić. To dlatego chcę rozmawiać z nim, żeby nie musieć wyjaśniać tysiąca rzeczy, o których ledwo mam siły myśleć... szlag by to trafił.

Opadła na krzesło i Vegesack nagle dostrzegł łzy w jej oczach.

– Tak, rozumiem... – szukał słów – Znaczy... komendanta naprawdę nie ma... – szybko rzucił okiem na zegarek. – Jest w Café Vronskij, rozmawia tam z inspektorem, która przyjechała z Maardam. Hm, tak. Powinien lada moment wrócić... najlepiej chyba po prostu poczekać. Znaczy... skoro woli pani opowiedzieć komendantowi. Napije się pani czegoś?

Sigrid Lijphart potrząsnęła głową. Wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła nos.

– Ile ma lat? – zapytał Vegesack. – To znaczy, pani córka?

Kobieta wydawała się rozważać, czy ma odpowiedzieć, czy nie. W końcu wzruszyła ramionami, ciężko wzdychając.

– Osiemnaście. Skończyła osiemnaście w piątek. Przyjechała tu, żeby spotkać się ze swoim ojcem... i nie wróciła. Mieszkamy w Moorhuijs, coś musiało się jej stać.

Vegesack zanotował: *Ojciec? Moorhuijs? Coś się stało?*

– Dlaczego pani myśli, że coś się stało? Czy ma pani kontakt z jej ojcem? Domyślam się, że jesteście rozwiedzeni?

Mikaela. 18, dopisał.

– Rozwiedzeni od bardzo dawna – powiedziała Sigrid Lijphart po kolejnym długim westchnięciu. – Nie, nie mam z nim kontaktu. Siedzi w zakładzie Sidonisu, jeśli panu to coś mówi.

– Ojej – wyrwało się aspirantowi. – Rozumiem.

– Naprawdę?

– Chyba tak... właściwie to nie.

Coś mi nie wychodzi, pomyślał, ponownie poprawiając krawat. Napisał *Sidonis* w notesie, starając się unikać wzroku kobiety.

– Nie zadzwoniła. Mikaela nigdy nie zapomniaby zadzwonić przez tak długi czas, wiem, co mówię. Coś się wydarzyło i to wasz psi obowiązek, żeby ją znaleźć.

– Nie mogłaby pani ujawnić trochę... trochę okoliczności? Przez ten czas, kiedy będziemy czekać na komendanta Vrommla. I tak musimy tu siedzieć.

– Vrommel – zachnęła się Sigrid Lijphart, znowu wstając. Na nowo zaczęła chodzić tam i z powrotem przed biurkiem Vegesacka, tak że przypomniał mu się oszalały niedźwiedź polarny, którego widział kiedyś w zoo w Aarlach.

Jako alternatywa dla jamnika.

– Niech pan nie myśli, że darzę pańskiego szefa jakąś wielką estymą – zastrzegła się pani Lijphart, przystając. – Ale chyba wciąż jeszcze należy zwracać się do policji, kiedy człowiek podejrzewa przestępstwo?

– Przestępstwo? – zdziwił się Vegesack. – Jakie przestępstwo?

– Jezus Maria! – jęknęła, wspierając się pod boki. – Na co my płacimy podatki? Chyba oszaleję.

Vegesack przełknął ślinę, desperacko myśląc nad jakąś rozładowującą napięcie repliką, ale nie zdążył żadnej wymyślić. Brzęknęły oszklone drzwi i kilka sekund później

pojawił się komendant w towarzystwie maardamskiej inspektor Moreno; całkiem przystojna, bez wątpienia. Sigrid Lijphart otworzyła torebkę i zaraz ją zamknęła. Aspirant wstał.

– No więc – powiedział. – Komendant Vrommel, inspektor Moreno... pani Lijphart. Państwo się już znają. To znaczy, państwo dwoje...

Zaczerwienił się, wskazując ręką na Vrommla i panią Lijphart.

– Dzień dobry. O co chodzi? – przeciął Vrommel.

– Pani Lijphart ma mały problem – wyjaśnił Vegesack. – Mówi, że jej córka zaginęła.

– Myślę, że mnie pan pamięta – powiedziała Sigrid Lijphart, wbijając wzrok we Vrommla.

– Jak brzmi pani nazwisko? – zapytała Moreno. – Lijphart?

Później – przez najbliższe tygodnie i jesienią, kiedy sprawa była już rozwiązana i odłożona do akt – Ewa Moreno wiele razy miała zadawać sobie pytanie, co skłoniło ją do takiej pasywności podczas tego pierwszego krótkiego spotkania Sigrid Lijphart z Vrommlem.

Co za mroczna intuicja kazała jej zadowolić się tylko słuchaniem?

Tylko obserwować i notować w pamięci – zamiast od razu i bez ogródek wyjawic, że nie tylko spotkała Mikaelę Lijphart, jadąc w sobotę pociągiem do Lejnic, ale i sporo z nią rozmawiała?

To chyba powinna być pierwsza reakcja? Opowiedzieć zaniepokojonej matce, że rozmawiała z jej zaginioną córką – co z tego, że kilka dni wcześniej.

A jednak milczała. Siedziała na krześle z boku za Sigrid Lijphart, pozwalając, by Vrommel sam się tym zajął. Zresztą ostatecznie był to jego obowiązek, a nie czyjś inny. Słóń w składzie porcelany.

Na początek wytarł łysinę chusteczką higieniczną.

– Chyba mnie pan pamięta? – powtórzyła Sigrid Lijphart.

Vrommel ocenił połysk czaszki w lustrze, które wisiało koło drzwi, wyrzucił chusteczkę do kosza i usiadł za biurkiem. Minęło pięć sekund.

– Oczywiście, że panią pamiętam. Nieprzyjemna historia.

– Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała tu wracać.

– Całkiem zrozumiałe.

Sigrid Lijphart zrobiła dwa głębokie wdechy, starając się opuścić ramiona. Ona też nie przepada za Vrommlem, pomyślała Moreno, ale próbuje udawać, że go szanuje.

– Niech pani opowie od początku – dodał Vrommel.

Sigrid Lijphart ponownie wzięła głęboki oddech.

– Mieszkamy obecnie w Moorhuijs. Przeprowadziłyśmy się po tym... no, po tym. Wyszłam też drugi raz za męża.

Vrommel wyjął długopis z czarnego przybornika.

– Mikaela, moja córka, skończyła w piątek osiemnaście lat. Tak jak zaplanowaliśmy, powiedzieliśmy jej, kto jest jej prawdziwym ojcem. Dzieci mają prawo się dowiedzieć... kiedy są odpowiednio dorosłe. Bez dwóch zdań.

Vrommel wcisnął długopis i zapisał coś w brulionie leżącym przed nim na biurku.

– Bez dwóch zdań – powtórzyła Sigrid Lijphart. – Mikaela natychmiast oświadczyła, że zamierza go odwiedzić, i następnego dnia... w sobotę... przyjechała tutaj, porannym pociągiem. To była jej decyzja, którą szanuję. Potem zaginęła.

– Zaginęła? – zapytał Vrommel.

– Zaginęła. Dzwoniłam do Sidonisu. Była tam, rozmawiała z nim mniej więcej od drugiej do wpół do piątej. Czyli po południu w sobotę. Potem już jej nie widziano.

Vrommel przeciągnął palcem wskazującym po wąsach.

– Hm, dziewczyny w tym wieku mogą przecież...

– Nonsens – przerwała Sigrid Lijphart. – Znam swoją córkę. Ona jest jak najdalej od takich zachowań. Planowała zostać tu jedną noc, nie dłużej. Coś się stało, wiem, że coś jest nie w porządku. Domagam się, żebyście jej szukali... na Boga, raz się nie objajcie! Moja córeczka zaginęła, znajdźcie ją, bo inaczej... bo inaczej...

Desperacja w jej głosie wezbrała nagle z otchłani, oceniła Moreno. Ledwie maskowana panika, która wypływała z najmakabryczniejszego z makabrycznych scenariuszy.

Matka, która nie może odnaleźć swojego dziecka. Co z tego, że dziecko ma osiemnaście lat. Co z tego, że minęło dopiero kilka dni. Moreno już miała się odezwać, ale przeszkodził jej komendant, który pstryknął długopisem i odchrząknął.

– Oczywiście, pani Lijphart. Oczywiście. Natychmiast to sprawdzimy. Proszę się tak nie martwić, tylko... jak to było? Czy rozmawiała pani także z nim, kiedy dzwoniła pani do Sidonisu? Mam na myśli jej ojca. Może powiedziała mu, jakie ma plany?

– Z Arnoldem? Czy z nim rozmawiałam?

– Tak. Bo przecież mówimy o Arnoldzie Maagerze?

– Sigrid Lijphart przez chwilę patrzyła w milczeniu w podłogę.

– Tak. Mówimy oczywiście o Arnoldzie. Nie, nie rozmawiałam z nim. Rozmawiałam z pielęgniarzem.

– Nie macie kontaktu?

– Nie.

– Żadnego?

– Żadnego.

– Rozumiem – powiedział Vrommel. – Gdzie pani będzie?

Widać było, że pani Lijphart nie zajęła się tym praktycznym problemem. Ściągnęła wargi, unosząc brwi.

– Kongershuus jeszcze jest?

Vrommel skinął głową.

– Zatrzymam się tam. Przynajmniej na jedną noc.

– Dobrze. Nie wie pani przypadkiem, gdzie miała nocować pani córka... skoro planowała zostać, jak pani twierdzi?

Sigrid Lijphart potrząsnęła przecząco głową. Vrommel wstał, dając znak, że rozmowa skończona.

– Znakomicie. Skontaktujemy się z panią, jak tylko czegoś się dowiemy.

– Dziś wieczorem?

– Dziś wieczorem lub jutro rano.

Sigrid Lijphart zawahała się przez chwilę. Potem, zaciskając zęby, kiwnęła głową i wyszła z lejnickiego komisariatu.

To nie moja sprawa, pomyślała inspektor Ewa Moreno. To absolutnie nie jest moja sprawa.

II

21 lipca 1983

– Jaki pomysł? – zapytała.

Nie odpowiedział. Objął ją tylko ramieniem i lekko do siebie przyciągnął. Poszli.

Z początku w stronę centrum, ale na wysokości wieży ciśnięć zamiast pójść prosto, skręcił w Brüggerstraat. On prowadził, ona go słuchała. Jak zwykle, przyszło jej na myśl. Może miała nadzieję, że wejdą do jakiejś kawiarni przy Polderplejn albo Grote Marckt, ale nie. W ostatnim czasie – właściwie od dwóch miesięcy, kiedy mu powiedziała, jak z nią jest – unikał takich miejsc. Zauważyła to już wcześniej. Nawet go pytała, ale powiedział, że chce mieć ją tylko dla siebie.

Podobało jej się to i nie podobało. Lubiła oczywiście, jak pieścił ją latem na dworze po zmroku. Lubiła odwzajemniać pieśczoćy, poruszać się na nim, opierając ręce na jego piersi, czując jego twarde członek głęboko w środku. Ale przyjemnie też było siedzieć w kawiarni. Palić, pić kawę i rozmawiać z ludźmi. Dobrze wyglądać i pozwalać im patrzeć. Może to dlatego, pomyślała. Może dlatego, że wiedział, jak ona się lubi pokazywać, skierował kroki w stronę Saar i boisk piłkarskich, a nie do centrum.

– Gdzie idziemy? – zapytała.

– Musimy trochę porozmawiać – odparł.

Doszli do tego parku za remizą strażacką, nie wiedziała, jak się nazywa. Może właśnie Park Strażacki. Trzymał teraz prawą rękę dość nisko na jej biodrze i domyślała się, że zaczyna być napalony. Minęło w sumie sporo czasu. Skręcił z nią do parku, usiedli na ławce, którą dość szczelnie zasłaniało kilka krzaków. Nie dostrzegła innych ludzi, ale wiedziała, że na drugim końcu, przy placu zabaw, powinny być jakieś pary. Sama baraszkowała tam kilka razy, ale nigdy z nim. Uśmiechnęła się lekko na tę myśl.

– Chcesz?

Wyciągnął ku niej butelkę, którą wyjął z torby przewieszanej przez ramię. Popiła łyk. Jakaś wódka. Była mocna i lekko piekła w gardle. Ale też słodka, smakowała czarną porzeczką lub czymś podobnym i przyjemnie rozgrzewała. Wypiła jeszcze jeden łyk i sięgnęła ręką do jego rozporoka. Tak jak się spodziewała, był już twardy.

Kiedy skończył, dopił resztę wódki i wypalił kilka papierosów. Nie mówił za wiele, na ogół nie lubił potem gadać. Czowała, że jest dość mocno pijana, ale wciąż tkwiła w niej jakaś dziwna powaga, domyślała się, że ma to związek z Arnoldem Maagerem.

I z dzieckiem.

– Jaki miałeś pomysł? – przypomniała sobie.

Zgasił papierosa i splunął dwa razy na żwir. Zorientowała się, że był chyba równie pijany jak ona. Pił już przecież wcześniej. Choć oczywiście miał mocniejszą głowę, jak to chłopacy.

– Maager – rzucił. – Powiedziałaś, że zmieniłaś zdanie. Co, kurwa, przez to rozumiesz?

Zebrała myśli.

– Nie chcę – powiedziała. – Nie chcę oszukiwać go w ten sposób. Ty i ja... to przecież ty i ja... nie, nie chcę.

Trudno było znaleźć właściwe słowa.

– Potrzebujemy pieniędzy. Dlatego to zrobiliśmy, nie rozumiesz? Przyciśniemy go.

– Rozumiem, ale mimo to nie chcę. Mam zamiar mu powiedzieć.

– Powiedzieć mu! Oszalałaś?

Potem mruknął coś, co zabrzmiało jak „głupia cipa”, ale z pewnością się przesłyszała. W każdym razie naprawdę był na nią zły, chyba po raz pierwszy, i poczuła, jak coś ją ściska w żołądku.

– Po prostu nie chcę – powtórzyła. – Nie mogę. To nie fair... parszywe świństwo.

Nie odpowiedział. Kopał nogą w żwirze, nie patrząc na nią. Nic ich w tej chwili nie łączyło. Bariera powietrza między nimi, chociaż przed chwilą się kochali i nadal siedzieli na tej samej ławce w tym samym cholernym parku. Czowała się dziwnie, zastanawiała się, czy czułaby się tak samo, gdyby nie była pijana.

– Kurde, to przecież nasz dzieciak. Nie chcę kłamać, że ktoś inny ma coś wspólnego z naszym dzieciakiem.

– Pieniądze – powiedział tylko. Zmęczony i zły. I pijany, on też.

– Wiem.

Nagle poczuła się przeraźliwie smutna. Jakby wszystko się błyskawicznie sypało. Minęło pół minuty. Nadal kopał nogą w żwirze.

– Mieliśmy plan – odezwał się w końcu. – Przecież się, kurwa, na niego zgodziłaś... nie możesz tak po prostu dać się skurwielowi zerznąć, a potem zmienić zdanie. Coś musi za to zapłacić, a może wolisz tego śliniącego się dziada ode mnie? Pieprzony profesorek, kurwa!

Nagle zebrało się jej na wymioty. Tylko nie teraz, pomyślała. Zaciśnęła zęby i oparła ręce na kolanach. Oddychała głęboko, ostrożnie, czując nadchodzące i odchodzące fale mdłości. Kiedy ustąpiły, rozplakała się.

Najpierw nie reagował na jej rozdzierający płacz, ale potem przysunął się trochę bliżej, obejmując ją ramieniem.

Przyjemne uczucie, pozwoliła więc łzom płynąć jeszcze przez dobrą chwilę.

Kiedy człowiek płacze, nie musi mówić ani myśleć, powiedziała kiedyś jej stara, i coś w tym było. Czasami ta jej beznadziejna matka potrafiła trafić w dziesiątkę.

Dzwony na Waldeskirke, w którym była confirmowana dwa lata temu, uderzyły trzykrotnie. Za piętnaście pierwsza. Wzięła od niego papierosa, bo zapalił dwa. Wyjął też z torby puszkę piwa.

Wypił najpierw sam kilka porządnych łyków, dopiero potem jej podał. Pijąc, myślała, że wódka była znacznie smaczniejsza. Piwo jakoś nie miało w sobie gorąca. Wódka i wino były lepsze, zawsze tak uważała. No i człowiek nie musiał zaraz gnać do toalety. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, potem on się odezwał:

– Mam pewien pomysł.

Przypomniała sobie, że dokładnie to samo powiedział przed kilkoma godzinami. Na plaży. Dziwne, że przez cały czas ma pomysł i nic o nim nie mówi.

Chociaż może teraz był to już inny pomysł.

– Jaki? – zapytała.

– Porozmawiamy z nim.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Teraz – sprecyzował. – Zadzwonisz do niego i się z nim rozmówimy. Wtedy się zobaczy.

Dopił puszkę piwa i wyciągnął nową.

– Ile tego masz?

– Jeszcze tylko jedną. No?

Zastanawiała się. Czowała, że musi się załatwić. I to natychmiast.

– Skąd?

– Tam jest budka.

Pokazał w stronę remizy.

– No?

Skinęła głową.

– Okej. Tylko najpierw zrobię siku.

Na wiadukcie kolejowym, pomyślała, wybierając numer w wąskiej kabinie. Dlaczego mamy się z nim spotkać właśnie na wiadukcie?

Nie zdążyła znaleźć żadnej odpowiedzi na to pytanie, bo odezwały się sygnały, a potem ktoś podniósł słuchawkę po drugiej stronie. Wzięła głęboki oddech, starając się, żeby głos brzmiał pewnie.

Żeby tylko nie odebrała jego żona, pomyślała.

Odebrała jego żona.

13 lipca 1999

Sigrid Lijphart dostała pokój w Kongershuus dzięki rezygnacji zgłoszonej telefonicznie, kiedy wciąż jeszcze stała przy recepcji, zastanawiając się, co ma zrobić. Trwał sezon urlopowy i o nocleg w Lejnicach i okolicy było niezwykle trudno. Przez chwilę zwątpienia rozważała, czy nie zwrócić się do któregoś ze znajomych z tamtych czasów – z poprzedniego życia; szesnaście lat temu i wcześniej – ale niemal od razu na tę myśl zrobiło się jej niedobrze.

Mimo że niewątpliwie miałyby w kim wybierać.

Zapewne wielu chętnie by ją ugościło. Jeśli nie bezinteresownie, to żeby wyrazić dawne współczucie i co nieco się dowiedzieć.

Ale co było, to było. Zostawiła tych ludzi – co do jednego – i ich środowisko, nie wahając się ani sekundy, i nigdy za nimi nie zatęskniła. Uznała więc, że świadomość płata jej figła, nasuwając taką myśl. Zupełnie nieproszoną. Że ma nawiązać z kimś kontakt. Nie wykorzystaby żadnej z tych minionych znajomości ani w normalnych okolicznościach, ani teraz. Miałyby uczucie, że... że dociera do niej smród czegoś, co gniło pod pokrywką przez szesnaście lat. Psiakrew.

Wolałabym spać na plaży, pomyślała, wsiadając do windy. Co za szczęście, że dostałam ten pokój.

Znajdował się na czwartym piętrze. Z balkonem, z którego rozciągał się całkiem piękny widok na zachód i południowy zachód. Na wydmy i długi, leniwy łuk wybrzeża. Aż do latarni morskiej Gordona na południu.

Kosztował za to 240 guldenów, ale więcej niż jedną noc nie miała zamiaru zostać, więc mogła sobie pozwolić.

Zadzwoiła do Vrommla, informując, gdzie ją może znaleźć. Potem wzięła prysznic. Zamówiła w recepcji dzbanek kawy i usiadła na balkonie.

Była druga godzina. Słońce pojawiało się i znikowało. Czy raczej chmury, ściśle rzecz biorąc, ale szybko zrobiło się na tyle gorąco, że mogłaby siedzieć nago. Widziana co najwyżej przez mewy i pilotów helikopterów. Mimo to została w majtkach i biustonoszu.

A także w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem i okularach przeciwsłonecznych.

Jakby ciekawskie oczy jednak gdzieś tam były.

Co teraz, pomyślała. Co, do cholery, mam teraz robić?

Panika zakradła się jak gorączka nocą.

Wina?

Dlaczego czuję się winna?, zastanawiała się.

Niepokój, strach i panika są zrozumiałe. Ale dlaczego czuję się winna?

Zrobiła tylko to, co musiała. Wtedy i teraz.

Zrobiła to, co było nieuniknione. Wcześniej czy później. Dziecko musi poznać prawdę o rodzicach. A przynajmniej zasadniczy jej aspekt. Miało do niej prawo, bezwzględne prawo, nie dało się tego obejść.

Wcześniej czy później, a że nastąpi to w osiemnaste urodziny, było postanowione od dawna.

Pomyślała o mrukliwych zastrzeżeniach Helmuta dzień wcześniej.

O Mikaeli i jej natychmiastowej reakcji, której chyba się przecież spodziewała?

Czy nie? Czy może wierzyła, że córka pójdzie za jej radą i po prostu zostawi całą sprawę? Nieruszoną, jak coś niemego, zwiędłego i zapomnianego? Nie próbując nawet podnieść pokrywki?

Czy wierzyła, że Mikaela do niego nie pojedzie?

Oczywiście, że nie. Mikaela to była Mikaela, nieodrodna córka swojej matki. Postąpiła tak, jak Sigrid spodziewała się, że postąpi. Jak postąpiłaby ona sama.

Czy ją obwiniała?

Czy Mikaela obwiniała swoją matkę, że nie powiedziała jej wcześniej? Albo że teraz jej powiedziała?

Nie, w obu przypadkach.

Może trochę o to, że nie ujawniła jej całej historii, ale kiedy ją pozna, zrozumie, dlaczego. Bez wątplenia. Musiała przecież zostawić coś do opowiedzenia Arnoldowi. A przynajmniej dać mu taką szansę.

A utarczka z Helmutem?

Nie ma o czym mówić. Jak zwykle.

Skąd więc to duszne poczucie winy?

Kupiła wcześniej na wszelki wypadek paczkę papierosów, którą odszukała teraz w torebce w pokoju. Wróciła na balkon, zapaliła papierosa i odchyliła się do tyłu na krześle.

Po pierwszym zaciągnięciu się poczuła zawrót głowy.

Arnold, pomyślała.

Czy jestem Arnoldowi coś winna?

Niedorzeczność. Zaciągnęła się jeszcze raz.

Zaczęła o nim myśleć.

Ani jednej rozmowy telefonicznej.

Ani jednego listu, ani linijki, ani słowa.

Ani od niego do niej, ani od niej do niego.

Gdyby umarł, może by w ogóle o tym nie wiedziała, uderzyło ją. Czy też nadal ciążył na nich obowiązek powiadomienia? Na Fundacji Sidonisu. Czy coś takiego podpisała? Czy mieli jej nazwisko i adres? Nie pamiętała.

Gdyby przenieśli go z zakładu, Mikaela może nigdy by go nie odnalazła?

Ale wciąż tam był. Dzwoniła wczoraj i sprawdziła. Tak, Mikaela przyjechała, jej ojciec nadal się tu znajdował. Nic się nie zmieniło.

Siedział pewnie w swoim cichym piekle przez wszystkie te lata. Szesnaście. I czekał. Może czekał na nią? Na pojawienie się Mikaeli? Albo utraconej żony?

Chociaż raczej nie. Raczej jego wspomnienia uległy zatarciu. Nie był zdrowy, kiedy zabrała córkę i go opuściła. Nie było mowy o wsadzeniu go do więzienia. Z tego, co zrozumiała, w każdym razie.

Obląkany. Całkowicie zamroczony. Zsikał się nawet w czasie rozprawy, z jakiegoś powodu akurat ten szczegół pamiętała z niemiłosierną ostrością... siedział na krześle w sali sądowej i z nieporuszoną miną patrzył, jak kapie... nie, Arnold przekroczył granicę wówczas, szesnaście lat temu, i nie było już drogi powrotu.

Żadnej drogi, żadnych mostów. Tylko zapomnienie i nowe wewnętrzne krajobrazy. Im bardziej pustynne, tym zapewne lepiej.

Zgasła papierosa. Za dużo słów, pomyślała. Za dużo słów roi mi się w głowie, przeszkadzają mi jasno myśleć.

Arnold? Mikaela?

Ale pod rojowiskami słów płynęła panika, wiedziała o tym i nagle pożałowała, że nie wzięła ze sobą Helmuta.

Helmuta skałę, Helmuta opokę.

Zaoferował się, że pojedzie z nią, w jakiś sposób nalegał, ale mu się oparła.

To nie była jego sprawa. Nie brał w tym udziału. To były rozliczenia między Mikaelą a jej ojcem. I może nią samą.

Rozliczenia, pomyślała. Co ja mówię? Co przez to rozumiem? I co się stało?

Dopiero, gdy wypaliła drugiego papierosa do połowy i spostrzegła, że zmoczyła go łzami, weszła do środka i zadzwoniła.

Helmuta nie było w domu, ale w końcu przypomniała sobie numer komórki i złapała go.

Opowiedziała, że rozmawiała z policją i że z pewnością wyjaśnią sprawę przed wieczorem.

Wzięła jednak do jutra pokój w hotelu, tak na wszelki wypadek. No i byłoby trochę męczące wracać samochodem zaraz tego samego dnia.

Helmut nie miał wiele do powiedzenia na ten temat. Zakończyli rozmowę. Wyszła ponownie na balkon. Usiadła na krześle i pomodliła się do Boga po raz pierwszy od piętnastu lat.

Wątpiła, że słuchał.

14 lipca 1999

Na koniec wybrała Münstera.

Powód był prosty, ale na szczęście nie musiała go ujawniać. Ani Mikaelowi, ani nikomu innemu.

A sprawa miała się tak, że inspektor Moreno była zakochana w podkomisarzu Münsterze i do romansu niewiele brakowało.

Nie, nie zakochana, poprawiła się. Za mocne słowo. Uczucie tego samego rodzaju, ale... ale mniejszego kalibru, zadecydowała. Znacznie mniejszego. W każdym razie myśl, że mogłaby... gdyby okoliczności nie stanęły na przeszkodzie... mogłaby nawiązać romans z mężczyzną o pedofilskich skłonnościach, wydała jej się tak absurdalna, tak całkowicie niedorzeczna, że niejako zawierała wewnętrzną sprzeczność. Sama myśl. Odrzuciła ją kobiecą intuicją. Münster był nie do pomyślenia w tej roli. Wykluczone.

Wprawdzie równie wielkie kłopoty miała z wyobrazeniem sobie, by inny z jej kolegów gwałcił dzieci, ale w żadnym się nie podkochiwała (nawet odrobinę). Nie było więc w tym sprzeczności *per se*.

Tak to chyba sformułowano w podręczniku filozofii w liceum.

Czyli Münster. Stuprocentowo pewna karta.

Na szczęście nigdy nie zapytał, dlaczego zwróciła się właśnie do niego.

Miał za to sporo innych pytań.

Czy jest przy zdrowych zmysłach? Na przykład.

Co u diabła wygaduje?

Jak może wierzyć takiej kanalii jak Franz Lampe-Leermann?

Moreno wyjaśniła sucho, że nie wierzy Lampemu-Leermannowi bardziej niż horoskopom w czasopiśmie dla dziewcząt, ale czysto formalnie chciała przekazać sprawę, ponieważ jest na urlopie.

Münster przyjął to wyjaśnienie, miał jednak dalsze uwagi i Moreno słyszała, że coraz bardziej waha się w swoim początkowym, wynikłym z szoku sceptycyzmie.

Dokładnie tak jak ona. Dokładnie tak jak Lampe-Leermann, ten sukinsyn, zapewne

przewidywał.

– Ma jakiegoś asa w rękawie?

– Nie wiem.

– Musi mieć chyba jakiś powód, żeby wyjeżdżać z czymś takim?

– Można tak sądzić.

– A ty do jakich wniosków doszłaś?

– Do żadnych, ale źle spałam.

– Nie wątpię. Jak się do cholery do tego zabrać?

– Na pewno nie można iść do Hillera – powiedziała Moreno.

– Dzięki za radę – odparł Münster. – Masz jeszcze jakąś?

– Jest tylko jeden sposób.

– Jaki?

– Musisz porozmawiać z parszywcem.

– Z kim?

– Przepraszam. Z Lampem-Leermannem.

– Hm. Gdzie on teraz jest?

– Emsbaden. Czeka tam na ciebie. Proponuję, żebyś sam zajął się sprawą, zachowując daleko posuniętą dyskrecję.

Münster milczał przez kilka sekund.

– Odezwę się – obiecał. – Dzięki, że zadzwoniłaś. Przyjemnego leniuchowania, co byś w sierpniu znowu była skutecznym gliną.

– Postaram się – powiedziała inspektor Ewa Moreno.

Po południu wybrali się promem na wyspy. Przez godzinę brodzili w płytkiej wodzie wzdłuż plaż Werkeney, a potem popłynęli małym statkiem na Doczum, która była rezerwatem ptaków. Zjedli tam obiad w gospodzie przy rynku wśród brzuchatych turystów i wyondulowanych turystek, zaawansowanych wiekowo i wagowo.

Wycieczka na wyspy jest latem obowiązkowym punktem, wyjaśnił Mikael, kiedy Moreno sceptycznie zaczęła rozglądać się dookoła. Przyjeżdżał tu co roku, odkąd pamiętał, z wyjątkiem 1988, kiedy studiował z wymiany w Bostonie.

– Spędzałeś w Lejnicach... czy raczej w Port Hagen... każde lato przez całe życie?

– Poza tym jednym, tak. Dlaczego pytasz?

Moreno nie odpowiedziała.

Nie, pomyślała. Już przecież zdecydowałam, że to nie moja sprawa.

Nie moja, a tym bardziej nie Mikaela.

Przeciągnęło się więc aż do wieczornego powrotnego promu do Lejnic, zanim podjęli ten temat. I tym razem też nie była to jej wina.

– Przez cały dzień nie powiedziałaś słowa o parszywcu – stwierdził Mikael.

– Zgadza się. Sprawa zamknięta.

Mikael uniósł brwi.

– Tak? W jaki sposób?

– Przekazałam dalej. Mam urlop.

Brwi pozostały uniesione. Nagle przyszło jej na myśl, że wygląda jak drugoplanowy aktor w telenoweli, którą ktoś zapomniał wyłączyć. Czy maska zaczęła w końcu schodzić?

– Co z tobą jest? – zapytała. – Głupio wyglądasz.

– To nie ze mną coś jest – odparł, przyjmując tym razem jakąś belferską minę – tylko z tobą. Jeżeli Lampe-Leermann to zamknięty rozdział, chciałbym wiedzieć co, do cholery, cię męczy.

– Męczy? Mnie? Co ty gadasz?

Poczuła, jak wzbiera w niej coś, co musiało być mieszanką zniechęcenia i irytacji. Może złości. Na jego przemądrzałość. Co on sobie myśli, że z kim rozmawia?

Chyba odnotował jej reakcję i przez chwilę siedział w milczeniu. Patrzył na morze, bębniąc palcami na kolanach. Ten nawyk zauważyła u niego już dawno, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że właściwie to przywara.

– Męczy – powtórzył. – Nie zgrywaj się. Albo zaczynasz mieć mnie dosyć, albo jest coś jeszcze. Przedkładałbym tę drugą ewentualność nad pierwszą. Nie jestem idiotą.

Od razu była skłonna się z nim zgodzić. Mikael Bau nie był idiotą. Claus Badher, na którego zmarnowała pięć lat, był idiotą, więc miała pewne doświadczenie. Mogła porównać i wiedziała, o czym mowa.

Trzeba wiedzieć, kiedy człowiek zamyka pierwszy etap związku i wchodzi w drugi, gdzieś to przeczytała i zapamiętała. Diabli nadali. Czy nigdy nie można oderwać się od pracy? Czy praca musi zatruwać wszystko inne?

Natychmiast otrzymała odpowiedź od drugiego wewnętrznego głosu.

To nie ma związku z twoją pracą. To jest kwestia współczucia i ludzkiej troski. Zaginiona dziewczyna i zrozpaczona matka.

Mikael nadal bębnił palcami. Wieczne słońce przedarło się przez chmurę; zamknęła oczy przed niemal poziomymi promieniami, zastanawiając się przez chwilę.

– Dziwna rzecz wydarzyła się w komisariacie. Bębnienie ustało. Potem wybuchnął śmiechem.

– *Wśród jezior i gór Kanady* – powiedział.

– Co, na Boga, Kanada ma z tym wspólnego?

Pokręcił głową.

– Bohater nigdy nie odpoczywa. Nigdy nie śpi. Dlaczego kobiety tak rzadko mają jakieś pojęcie o literaturze?

Opowiedzenie historii zajęło pięć minut.

Niewiele tego było. Płacząca dziewczyna w pociągu. Nieznany tata w zakładzie.

Przestraszona matka w komisariacie policji.

Jakieś odległe w czasie wydarzenie.

Kiedy skończyła, prom dobijał właśnie do brzegu. Spostrzegła, że na czole Mikaela pojawiła się pionowa zmarszczka, której zwykle nie miał. W jakiś sposób było mu z nią do twarzy, ale jej znaczenia Moreno nie potrafiła odgadnąć.

Nie komentował, aż do zejścia na ląd. A kiedy w końcu odłączyli się od brzuchaczy i ondulowanych fryzur, całą uwagę skupili na przypominaniu sobie, gdzie zostawili samochód. Rano świeciło słońce, a teraz nad parkingiem wisiała wilgotna szarówka, która w dziwny sposób zmieniała i przesuwała perspektywę.

– Tam – pokazała Moreno. – Poznaję tę mewę na budce.

Mikael kiwnął głową i zakręcił kluczykami na palcu. Potem zaczął sobie przypominać. Powoli, jak pacjent z demencją w deszczowy poniedziałek.

– To musi... tak... jeśli się nie mylę, to musi chodzić o to. Chyba nic innego nie wchodzi w grę?

Moreno czekała.

– Jak ona, u licha, się nazywała? Spokojnie, zaraz sobie przypomnę... Winnie jakaś tam? Tak, Winnie Maas, zgadza się. Musiało minąć... ile mówiłaś? Jak dawno temu?

– Szesnaście lat. Chcesz powiedzieć, że znasz tę historię?

– Hm. Chyba tak. Przyjeżdżałem tu przecież na każde lato... 1983, mówisz? To by się zgadzało.

– Miała dwa lata, kiedy jej mama zostawiła ojca. A w piątek skończyła osiemnaście. Przynajmniej tak twierdziła.

– Winnie Maas – powtórzył Mikael, potwierdzając sobie skinieniem głowy. – Tak, bardzo nieprzyjemna historia. Byliśmy chyba rówieśnikami. Chociaż nie znałem jej, nie nawiązywaliśmy jakichś bliższych kontaktów z tubylcami... tak ich nazywaliśmy. Z drobnymi wyjątkami, oczywiście. Była nas chyba szóstka kuzynostwa, więc na brak towarzystwa nie narzekaliśmy, raczej odwrotnie. Jak człowiek chciał zostać sam, musiał iść do wychodka albo

zagrzebać się w wydmie.

– Kim była Winnie Maas? – zapytała niecierpliwie Moreno. – Jeśli wybaczysz, twoi kuzyni mało mnie obchodzą.

Odnaleźli starego trabanta Mikaela między błyszczącym srebrnym mercedesem a błyszczącym czerwonym bmw. Jak ledwie dychająca kawka między dwoma orłami, pomyślała Moreno. Ale jeszcze żywa. Wcisnęli się do kawki. Mikael zapalił przy pewnym zadymieniu i zaczęli wypłatywać się z parkingu. Chyba skorzystał z okazji, by osiągnąć efekt zawieszenia głosu.

– Winnie Maas to dziewczyna, którą zamordowano tamtego lata – wyjaśnił w końcu, włączając światła. – Znalaziono ją martwą na torach pod wiaduktem... będziemy nim przejeżdżać za dwie minuty, więc pani inspektor będzie mogła dokonać wizji lokalnej.

Zaśmiał się, ale sam zauważył, że żart był nie na miejscu.

– Przepraszam. No więc leżała martwa na torach, a morderca siedział koło niej. Taka jest przynajmniej oficjalna wersja.

– Oficjalna? Chcesz powiedzieć, że są inne?

Wzruszył ramionami.

– Kto wie? Pamiętam, że mówiło się to i owo, ale może nie ma w tym nic nadzwyczajnego. To jedyne morderstwo w okolicy w ostatnich trzydziestu, czterdziestu latach... wcześniej, pod koniec lat pięćdziesiątych, jakiś kowal zabił swoją żonę łomem... nic dziwnego, że pojawiły się spekulacje. Dochodził tu jeszcze aspekt... jakiegoś skandalu, który wzburzył całą społeczność... pewnie wiesz, jak to może wyglądać?

Moreno kiwnęła głową.

– A kto był mordercą?

– Nie pamiętam, jak się nazywał. Ale bardzo możliwe, że był nim Maager. W każdym razie nauczyciel ze szkoły, co oczywiście nie poprawiało sytuacji. Dziewczyna była jego uczennicą i... najpewniej też kochanką.

– Naprawdę? – zdziwiła się Moreno, a obraz pedofila lubieżnika szybko przemknął jej przez głowę. Szesnaście lat? Musiało jednak mieścić się w granicach prawa, pomyślała jako policjantka. W tamtym czasie.

Ale nie w granicach moralności, sprzeciwiła się jako kobieta i człowiek. W żadnym czasie. Nauczyciel z uczennicą, kurestwo, ale bynajmniej nie nowa kombinacja.

– Zdaje mi się, że była też w ciąży, tak, pieprzu w tej historii nie zabrakło, jeśli tak pomyśleć... dojeżdżamy na miejsce.

Skręcili na długi łuk podjazdu i wjechali na wiadukt przebiegający nad torami. Dobre

dwadzieścia metrów wysokości, oszacowała Moreno. Niezwykle wysoko, ale pewnie nie bez przyczyny. Mikael zwolnił, pokazując palcem.

– Tam na dole, jeśli dobrze pamiętam. Miał ją zepchnąć tutaj z góry... barierka nie była wtedy tak wysoka. Chyba nową postawiono właśnie po tym zdarzeniu.

Podjechał blisko barierki i zatrzymał się.

– Chociaż mogła też sama skoczyć – dodał.

Moreno opuściła szybę i wyjrzała. Starła się trzeźwo i rzeczowo analizować. Obecnie trudno byłoby wyrzucić kogoś na tory. W każdym razie kogoś dającego oznaki życia i zdolnego stawiać choćby minimalny opór. Barierka miała blisko dwa metry.

– Nie ma w każdym razie pamiątkowej tabliczki – stwierdził Mikael. – Na szczęście...

Puścił sprzęgło i pojechali dalej. Moreno zamknęła okno, spostrzegając, że ma na przedramieniu gęsią skórę.

– Nie pamiętam, jak sprawa potoczyła się później, jaki był wyrok i tak dalej. Proces musiał odbywać się jesienią, kiedy już wróciliśmy do Groenhejm.

– Ale on to zrobił? – zapytała Moreno. – Ten nauczyciel... przyznał się?

Mikael bębnił przez chwilę palcami po kierownicy, zanim odpowiedział.

– Z pewnością on, kto inny? Zwariował od tego. Siedział koło dziewczyny, kiedy ją znaleziono, już mówiłem. Nie próbował się z tego wywinąć, ale nic sensownego z niego nie wydobyto... ale co ma z tym wspólnego ta zaginiona dziewczyna i jej matka, możesz mi powiedzieć? Chyba te sprawy się nie łączą?

Moreno nie odpowiedziała od razu. Spróbowała najpierw ponownie szybko uporządkować fakty w głowie, ale trudno było jej wyciągnąć inny wniosek niż ten, który już sformułowała.

– Nie wiem. W jakiś sposób chyba jednak tak. Mikaela Lijphart jechała odwiedzić swego ojca, którego z jakiegoś powodu nie widziała od szesnastu lat. Coś się wtedy wydarzyło, tak to ujęła... coś się wydarzyło! Jej ojciec przebywa w zakładzie koło Lejnic. Tyle zbieżności, że te historie wydają się łączyć. Nie wiesz, czy ten nauczyciel miał dzieci? Na przykład córeczkę... w wieku dwóch lat albo coś koło tego?

– Nie mam pojęcia – odparł Mikael. – Skąd miałbym wiedzieć? Ale pamiętam, że czytałem coś o procesie... później, już w trakcie rozprawy. Nie mogli go przesłuchać. Albo się załamywał i płakał, albo milczał jak grób... pewnie pamiętam, bo dziennikarz użył tego właśnie sformułowania. Milczał jak grób.

– Musiał trafić do zakładu psychiatrycznego bez względu na wyrok?

– Najprawdopodobniej. Mówiłaś o Sidonisie?

Moreno kiwnęła głową.

– Znasz ten zakład?

– Tylko z nazwy – przyznał Mikael. – Chyba wszystkie dzieci wiedzą, jak się nazywa najbliższy dom wariatów.

– Zgadza się. No to mamy jasność. Ładna historia.

Przez pół minuty jechali w milczeniu.

– Ergo... – odezwał się Mikael – popraw mnie, jeśli jestem w błędzie... dziewczyna przyjeżdża odwiedzić swego ojca mordercę, którego nie widziała, odkąd skończyła dwa lata. Spotyka się z nim, rozmawia kilka godzin, a potem znika. To cię męczyło cały dzień?

– Niezupełnie. Od ciebie dowiedziałam się, że ojca można określić mianem mordercy... dopiero teraz. Ze świeżą pamięcią nie najlepiej?

– Mikael nie odpowiedział. Zmienił rytm bębnienia i jeszcze przez chwilę milczał.

– Co będziemy robić? – zapytał w momencie, gdy mignęła jej tablica z napisem Port Hagen 6.

Krótko się zastanowiła.

– Zawróć.

– Co?

– Zawróć. Musimy pojechać porozmawiać z Vrommlem.

– Teraz? Jest blisko wpół do dziesiątej. Nie można tego odłożyć do jutra? Obawiam się, że on też nie czytał *Wśród jezior i gór Kanady*.

Moreno zagryzła dolną wargę, rozważając.

– Dobra – westchnęła. – Jutro.

15 lipca 1999

Vrommel ćwiczył stawanie na palcach.

– Ściągnij Achilleśa i łydki – wyjaśnił. – Trzeba też dbać o kondycję. Myślałem, że w taki dzień inspektor będzie leżeć na plaży.

– Po południu – odparła Moreno. – Chciałam się tylko dowiedzieć, czy córka Lijphart się znalazła.

Komendant trzykrotnie powoli uniósł się na palcach, dopiero potem odpowiedział.

– Niestety.

– Niestety nie?

– Niestety nie.

– Moglibyśmy usiąść na chwilę? – zaproponowała Moreno. – Spotkałam tę dziewczynę w pociągu, więc może...

– Rutynowa sprawa – przerwał Vrommel. – Nic, czym musiałyby zawracać pani sobie głowę. Jeśli dzisiaj się nie odezwie, jutro roześlemy komunikat o zaginięciu.

Nadal z zawzięciem podnosił się i opuszczał na palcach. Za każdym razem wydawał krótki gardłowy dźwięk, a kolor twarzy świadczył o tym, że nie markuje, tylko naprawdę daje z siebie wszystko.

On jest niepoczytalny, pomyślała Moreno, opierając się o brzeg biurka. Jeszcze jeden.

– Jak pan myśli, co się wydarzyło?

Vrommel opuścił się na pięty i w tej pozycji już został. Zrobił dwa głębokie wdechy i przeszedł do obrotów głowy. Od prawej do lewej. Od lewej do prawej. Powoli i metodycznie.

– Nic.

– Nic? – zdziwiła się Moreno. – Przecież dziewczyna zniknęła.

– Dziewczyny znikają – stwierdził Vrommel. – Zawsze znikają. Zawsze będą znikać.

Wracają z zaczerwienionymi policzkami.

Co, do cholery... pomyślała Moreno, ale zdołała zacisnąć usta w coś, co przy dobrej woli można było zinterpretować jako uśmiech. Niech będzie, że sztywny. Niech będzie, że szybko przepadł.

– Nie uważa pan, że to może mieć coś wspólnego z tą starą historią?

– Czyli pani ją zna?

– Trochę. Najwyraźniej była dość spektakularna?

Vrommel nie odpowiedział.

– Można podejrzewać, że coś te sprawy łączy... w jakiś sposób?

– Nie sędzę.

– Nie? Ale czy nie należałoby przesłuchać personelu Sidonisu? Jak przebiegło spotkanie między ojcem a córką... dokąd się później udała i takie rzeczy?

– Już załatwione.

– Aha?

Milczenie. W prawo, w lewo. Wydech, wdech.

– Vegesack rozmawiał z nimi wczoraj wieczorem. Co pani inspektor sobie wyobraża, wściubiając w to nos? Myśli pani, że nie wiem, jak mam wykonywać swoją pracę?

– Przepraszam. Oczywiście, że tak nie myślę. Tylko polubiłam trochę tę dziewczynę. Spotkałam ją w pociągu, kiedy tu jechałam... to pan prowadził wtedy dochodzenie, szesnaście lat temu?

– Któżby inny? Jak u pani jest z fizycznym treningiem?

Płynna zmiana tematu, pomyślała Moreno bliska prawdziwego uśmiechu.

– Dziękuję, doskonale. Biegam i chodzę na fitness.

– Fitness! – zachnął się Vrommel. – Idiotyczny wymysł.

Moreno postanowiła nie wszczynać dyskusji.

– I co powiedział Vegesack? – zapytała w zamian.

– Nic a nic – odparł komendant, skracając głowę tak mocno w prawo, że Moreno usłyszała chrzęst kręgow szyjnych.

– Nic a nic?

– Jeszcze nie dostałem jego raportu – uściślił Vrommel. – W czwartki ma wolne przed południem. Opiekuje się swoją starą matką czy coś w tym rodzaju. Też idiotyczny wymysł.

Moreno nie umiała rozstrzygnąć, czy komendant ma na myśli samo macierzyństwo, czy fakt, że nadal są ludzie, którzy czują się odpowiedzialni za swoich rodziców. Poczula też, że jeśli zostanie dłużej w gabinecie, będzie miała trudności z opanowaniem się, żeby nie kopnąć Vrommła między nogi lub nie posłać go do diabła... odchrząknęła więc i wstała. Podziękowała za uprzejmość. Niezwykłą uprzejmość.

– Nie ma za co – odparł Vrommel. – Kodeks honorowy. Niech się pani położy na słońcu. Podejmiemy wszelkie przepisowe działania.

Pocałuj mnie, pomyślała Moreno, kiedy wyszła na słońce. Kodeks honorowy! Przepisowe działania! Jasne. Ani przez sekundę nie wątpiła, że komendant Vrommel miał w małym palcu, jak należy działać w takiej sytuacji.

W przypadku dziewcząt, które znikwały i wracały z zaczerwienionymi policzkami.

Przebieła rynek i usiadła w ogródku Café Darm po przeciwległej stronie. Zamówiła cappuccino i świeży sok pomarańczowy, zastanawiając się, co ma robić do pierwszej – dowiedziała się w sekretariacie od pani Glossmann, że Vegesack nie pojawi się w komisariacie przed pierwszą – kiedy nagle spostrzegła Sigrid Lijphart siedzącą kilka stolików dalej.

Zawahała się chwilę. Potem, wzięwszy swoją filiżankę i szklankę, podeszła do niej z pytaniem, czy może się dosiąść.

Sigrid Lijphart pozwoliła. Nie wyglądała na osobę, która dobrze spała zeszłej nocy, zresztą byłoby to dziwne. Oczy miała zaczerwienione chyba też od płaczu, stwierdziła Moreno, powstrzymując się od położenia jej ręki na ramieniu.

Właściwie nie wiedziała, co ją powstrzymało, ale raczej oczywiste, że wyjaśnienia trzeba było szukać w jej naturze policjantki, nie kobiety. Mieszczenie w sobie tych dwóch natur nie zawsze należało do łatwych. Myślała o tym już wcześniej. Wiele razy.

– Jak się pani czuje? – zapytała ostrożnie.

Sigrid Lijphart wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

– Złe – powiedziała.

– Rozumiem.

– Naprawdę? Ma pani dzieci?

Moreno potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie.

Jeszcze nie? Drgnęła, zastanawiając się, dlaczego właśnie takie sformułowanie wydobyło się z jej ust. Stwierdziła, że na pewno nie była to policyjna formułka, raczej coś na kształt freudowskiego przejęzyczenia, czyli równowaga między naturami wydawała się przywrócona.

– Boję się – Sigrid Lijphart brzęknęła filiżanką o spodek. – Tak potwornie się boję. Coś musiało... coś musiało się jej stać. Mikaela nigdy by nie... nie, minęło za dużo czasu...

Głos się jej załamał, wstrząsnął nią silny dreszcz – jak po ataku płaczu, pomyślała Moreno – potem wyprostowała jednak plecy, starając się zebrać w sobie.

– Przepraszam. Po prostu jest mi ciężko.

– Rozumiem – powtórzyła Moreno. – Jeżeli coś mogę dla pani zrobić, chętnie pomogę.

Sigrid Lijphart spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Pani jest... jest też z policji tutaj w Lejnicach?

Moreno uśmiechnęła się pośpiesznie.

– Nie, w Maardam. Jestem tu na urlopie. Miałam tylko sprawę do komendanta.

– Aha.

Na chwilę zamilkły i Moreno zdążyła zadać sobie pytanie, co owo „aha” miało właściwie znaczyć. Jeśli się nie myliła, zawierało przynajmniej pewną aprobatę, że nie należy do stałej ekipy Vrommla.

Raczej dość zrozumiałe nastawienie.

– Próbowала pani coś zrobić na własną rękę? – zapytała.

Sigrid Lijphart potrząsnęła głową.

– Nie. Mam się spotkać z Vrommlem i tym aspirantem o pierwszej... nie, czuję, że nie mogłabym przejść się po ludziach i z nimi rozmawiać. Nie po tym, co się wydarzyło, odwróciłam się niejako do wszystkiego plecami... zostawiłam za sobą. Po prostu nie dałabym rady, gdybym jeszcze raz miała to zobaczyć w twarzach ludzi.

– Nie wie pani, gdzie Mikaela chciała przenocować?

Sigrid Lijphart wyglądała niepewnie.

– Nie mam pojęcia. Wyjeżdżając, nic nie mówiła. Oczywiście... oczywiście wymierzyła mi w ten sposób jakąś karę za to, że nie powiedziałam jej wcześniej, tak to interpretuję. Może też Helmutowi. To mój mąż, ojczym Mikaeli. Rodzaj demonstracji. Powiedziała tylko, że zamierza tu przyjechać i się z nim spotkać, potem pojechała. Ale wiem, że nie zamilkłaby na tak długo. Na pewno nie wszyscy znają swoje dzieci, ale ja akurat znam.

– A nie może to też być rodzaj demonstracji? Żebyście się poważnie zaczęli martwić?

– Nie – Sigrid Lijphart potrząsnęła energicznie głową. – Wykluczone. Byłam oczywiście przygotowana, że nie będzie jej przez jeden dzień, może jedną noc, ale nie tak długo. Przecież... tak, przecież minął już prawie tydzień. Boże święty, dlaczego ten cholerny Vrommel nic nie robi?!

Moreno nie miała ochoty tego komentować, milczała więc przez chwilę, starając się o przychylnie neutralną minę.

– Nie chciałyby pani porozmawiać ze swoim byłym mężem? – zapytała potem.

Sigrid Lijphart wzdrygnęła się, jakby się sparzyła.

– Z Arnoldem? Porozmawiać z Arnoldem? Nie, nie wiem po co.

– Mogłaby się pani na przykład dowiedzieć, o czym rozmawiali – naprowadziła ją Moreno. – Mikaela i on.

Sigrid Lijphart najpierw nie odpowiedziała. Ściągnęła kąciki ust, jakby rozważała różnice między dżumą a cholera.

– Nie – zdecydowała się. – Bez względu na to, co się stało, nie sędzę, żeby miał z tym coś wspólnego. No i przecież ten aspirant go przesłuchiwał, więc chyba nie ma potrzeby.

– Co się właściwie wydarzyło?

– Kiedy?

– Szesnaście lat temu. Co się wówczas stało?

Sigrid Lijphart wyglądała na szczerze zdziwioną.

– Przecież pani wie.

– Tylko tyle, ile usłyszałam w komisariacie – skłamała Moreno.

– Pani nie jest stąd?

– Z Maardam, jak mówiłam.

Sigrid Lijphart wygrzebała z torebki papierosa. Włożyła go do ust i zapaliła tak niezdarnymi ruchami, że Moreno domyśliła się, że nie jest nałogową palaczką.

– Spotykał się z szesnastolatką – powiedziała, zaciągawszy się. – Z uczennicą.

Moreno czekała.

– Zrobił jej dziecko, a potem zabił. Mój mąż. Mówię o człowieku, za którego wysłałam, o ojcu Mikaeli. Proszę wziąć to pod uwagę.

– Potworne. Musiało to być dla pani niesłychanie traumatyczne przeżycie.

Sigrid Lijphart patrzyła na nią przez kilka sekund taksującym wzrokiem.

– Mogłam zrobić tylko jedno – powiedziała potem. – Zamknąć drzwi i zacząć od nowa. I tak zrobiłam, zrozumiałam, że muszę zbudować sobie nowe życie... dla siebie i dla córki. Jeśli miałyśmy przetrwać. Są rzeczy, z którymi człowiek sobie nie poradzi. Trzeba je zostawić za sobą. Mam nadzieję, że pani rozumie, o czym mówię?

Moreno lekko skinęła głową. Zastanawiała się, czy rzeczywiście rozumie. Czy zgadza się z tą ciężko doświadczoną kobietą, że z pewnymi rzeczami nie można – nie powinno się – zmagać. Pojmując je lub przebacząc. Trzeba było zapomnieć.

Może, pomyślała. Ale może nie. W każdym razie przed podjęciem decyzji trzeba znać okoliczności. Wszystkie okoliczności.

– Dlaczego powiedziała pani córce?

– Bo musiałam – odparła natychmiast Sigrid Lijphart. – Mimo wszystko wiedziałam, że pewnego dnia będę zmuszona. Wiedziałam to od zawsze. Nie dało się tego obejść, więc zdecydowałam się właśnie na ten dzień. Na osiemnaste urodziny. Łatwiej, jeśli trudne sprawy załatwi się w porę... nie wiem, czy pani też o tym myślała.

Moreno nie była pewna, czy dostrzega w tym logikę, ale widziała wyraźnie, że Sigrid Lijphart wierzy w to, co mówi.

– Ta dziewczyna? – spróbowała Moreno. – Ta, z którą..

– Mała dziwka – przerwała Sigrid Lijphart równie zdecydowanie. – Niektóre się chyba do tego rodzą, nie jestem uprzedzona, tylko patrzę realistycznie. Arnold nie był pierwszym, z którym poszła do łóżka, to pewne. Nie, proszę mi wybaczyć, nie chcę o tym rozmawiać.

– Jak się nazywała? – zapytała Moreno.

– Winnie – Sigrid Lijphart skrzywiła usta w wyrazie wstrętu. – Winnie Maas. Mój mąż od tego oszalał, chyba pani wie? W jednej minucie.

– Domyśliłam się z pani rozmowy z Vrommlem – przyznała Moreno, rzucając okiem na zegarek. – Ojej, jestem spóźniona. Przepraszam, jeśli się narzucam, ale jeśli będę mogła w czymś pomóc, proszę zadzwonić... mam ze sobą komórkę. Naprawdę bardzo mi przykro, mam nadzieję, że Mikaela szybko się odnajdzie.

Podala swoją wizytówkę, Sigrid Lijphart popatrzyła na nią, po czym schowała do torebki.

– Dziękuję – powiedziała. – Jutro w każdym razie jadę do domu. Więcej niż dwie noce w tym mieście nie dam rady... doceniam, że się pani angażuje, dobrze było z panią porozmawiać.

– Nie ma za co – Moreno wstała. – Muszę gnać. Narzeczoney na mnie czeka, a przynajmniej powinien.

Narzeczoney (kochanek? chłopak? samiec?) nie czekał, jak się umówili, w Donnersparku na ławce. Leżał na plecach pod kasztanowcem z głową opartą na korzeniu i próbował jeść loda tak, by nie umazać sobie twarzy.

– Spóźniłaś się – oznajmił, kiedy Moreno usiadła koło niego. – Ale nie szkodzi. Pierwszy przywilej kobiety, więc mimo to pożądam cię równie mocno.

– Świetnie. Ty pewnie też jesteś godzien trochę pożądania w oczach niektórych. Masz pecha, że trafiłeś na taki twardy orzech jak ja. Ale nie poddawaj się. Jak poszło?

Mikael podniósł się do pozycji półsiedzącej i oparł się o pień. Podał jej rycersko ostatnią jedną dziesiątą loda i wytarł ręce o trawę.

– Nie tak źle. W każdym razie jeśli wziąć pod uwagę, że jestem amatorem w tych dziedzinach sztuki. Dowiedziałem się o adres pani Maas... nadal tutaj mieszka. W mieszkaniu na Goopsweg. W samym centrum z grubsza rzecz biorąc. No i zagadka noclegu się wyjaśniła.

– Zagadka noclegu? Czyli Mikaela Lijphart jednak się tutaj zatrzymała?

– Tak. W schronisku, jak myśleliśmy. W Missenraade. Chociaż niestety tylko z soboty na niedzielę. Około dziesiątej rano w niedzielę wzięła plecak i pojechała autobusem do miasta... tam na razie ślad się urywa. Rozmawiałem z jedną z dziewczyn w recepcji w schronisku. Twierdzi, że bardzo dobrze pamięta Mikaelę, ale nie ma pojęcia, dokąd się udała. Mają tam latem komplet gości... wydawało jej się, że Mikaela już w sobotę wieczorem pojechała do Lejnic. I wróciła... właściwie to nie wiem, do czego nas to prowadzi. Pewnie do niczego?

– Nigdy nie wiadomo – Moreno westchnęła. – Na tym polega problem. I może urok... oczywiście dość mroczny urok, ale tak to na ogół wygląda. Mnóstwo rozrzuconych tropów, które prowadzą prosto w ciemność... obawiam się, że chyba znowu cytuję Van Veeterena... i nagle coś zaskakuje, a potem w zasadzie idzie błyskawicznie... hm, po co ja o tym gadam? Pewnie z gorąca.

Mikael spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Lubisz to – stwierdził. – Gorąco nie ma tu nic do rzeczy... nie musisz się wstydić, że lubisz swoją pracę.

– Lubię, nie lubię. Po prostu trzeba się starać, żeby postrzegać sprawy ze znośnej perspektywy. Nie sądzisz? W opiece społecznej też chyba nie jest cały czas idyllicznie?

Mikael podrapał się po trzy – lub czterodniowym zaroście.

– Trzeba być optymistą, choć człowiek jest właściwie pesymistą? Cóż, wcale niegłupia zasada. Wiesz, kto ma największe poczucie humoru? Grabarze. Grabarze i patolodzy. Pewnie nie bez kozery. No, chcesz się bawić w prywatnego detektywa cały urlop czy pojedziemy na chwilę położyć się na plaży?

– Plaża – powiedziała Moreno. – Przynajmniej kilka godzin. Chciałabym jeszcze tylko zamienić kilka słów z Vegesackiem, zanim się poddam, ale nie ma pośpiechu. Zresztą może Vrommel ma rację. Może po prostu uciekła. Zobaczymy, kiedy jutro roześlą komunikat o zaginięciu. Wcale nie jest tak łatwo się ukrywać, jak to się wielu wydaje.

W drodze nad morze w jej głowie pojawiło się inne pytanie.

A propos dzieci. I najpewniej w związku z rozmową o optymizmie i pesymizmie.

Czy nie lepiej w ogóle nie mieć dzieci, niż przeżywać, że któregoś dnia znikają?

Albo spadają z wiaduktu na tory kolejowe?

Jeszcze jedno pytanie bez odpowiedzi. Nie zadała go Mikaelowi.

– Kawy? – zapytał Vrommel.

– Nie, dziękuję – odmówiła Sigrid Lijphart. – Właśnie piłam.

Aspirant Vegesack miał na końcu języka, że filiżanka kawy dobrze by jej zrobiła, ale się opamiętał.

– No? – ponaglił Vrommel, siadając za biurkiem. – Z Arnoldem Maagerem? Jak poszło?

Vegesack odchrząknął, wertując szybko notes.

– Nie dało za wiele – przyznał. – Dość... zamknięty typ.

– Zamknięty?

– Zamknięty w sobie, jeśli można tak... – próbował wyjaśnić Vegesack. – No, oczywiście jest chory, nie było łatwo coś z niego wydobyć.

– Powiedział mu pan, że Mikaela zaginęła? – zapytała Sigrid Lijphart.

Jej głos przypominał Vegesackowi brzęk struny skrzypiec.

– Oczywiście – kiwnął głową. – Niemal od razu... może powinienem był trochę się z tym wstrzymać. Niejako oniemiał, kiedy mu powiedziałem.

– Oniemiał? – zapytał Vrommel.

– Zrobił się bardzo milczący w każdym razie. Próbowałem dowiedzieć się, o czym rozmawiali, kiedy go odwiedziła w sobotę, ale tylko potrząsał głową. W końcu zaczął płakać.

– Płakać? – zapytał Vrommel.

Czy ten idiota musi powtarzać po jednym słowie z każdego mojego zdania?, pomyślał Vegesack, ale opamiętał się jeszcze raz. Rzucił okiem na kobietę obok. Pani Lijphart siedziała wyprostowana jak pogrzebacz, z rękami na kolanach, w jakiś sposób nieobecna. Niemal jakby była pod wpływem narkotyków.

Dziwni ludzie mnie otaczają, pomyślał Vegesack. Arnold Maager. Komendant Vrommel. Sigrid Lijphart. Prawie jak karykatury. Postaci z komiksu.

Czy też wszyscy ludzie są tacy, jeśli przyjrzeć im się nieco bliżej? Może warto się nad tym zastanowić z myślą o książce. Psychologiczny realizm, tak to się nazywa. Przewrócił kartkę w notesie.

– Rozmawiałem też z pielęgniarzem i lekarzem. Powiedzieli, że to dość typowe dla

Maagera zachowanie. Zaburzenie konfliktowości, tak je nazwali. Polega na tym, że człowiek unika wszelkich nieprzyjemności i zamyka się w sobie, zamiast konfrontować...

– Dziękujemy – przerwał Vrommel. – Rozumiemy, o co chodzi. Nie spotkaliście nikogo, kto rozmawiał z dziewczyną, kiedy tam była?

– Jednego pielęgniarza, nazywa się Proszka. Przyjął ją i pokazał drogę, tylko tyle. Nie widział, niestety, kiedy wyszła z Sidonisu. Tak, obawiam się, że niespecjalnie nam to pomoże... jeśli chodzi o zaginięcie Mikaeli.

Sigrid Lijphart ciężko westchnęła i odrobinę się skuliła.

– Coś się stało – powiedziała. – Wiem, że coś jej się przytrafiło. Musicie... musicie coś zrobić.

Vrommel odchylił się na fotelu, próbując zmarszczyć czoło.

– Dobrze. Damy komunikat. Nie jestem tak pewien jak pani, że po prostu nie ukrywa się z własnej woli, ale niech będzie. Radio, telewizja, gazety... zwykły chórek. Vegesack, zajmiecie się tym.

– Nie powinniśmy sprawdzić jej znajomych? – zapytał Vegesack.

– Znajomych?

– Tak, przyjaciółek... albo kolegów. Mimo wszystko trzeba brać pod uwagę, że postanowiła się gdzieś przyczaić i powiadomiła kogoś ze znajomych.

– Nie wierzę – powiedziała Sigrid Lijphart.

Vegesack zamknął notes.

– Może nie, ale chyba powinniśmy to sprawdzić?

– Oczywiście – rozstrzygnął Vrommel. – Pani Lijphart, usiądzie pani z aspirantem Vegesackiem i ustali, jakie nazwiska mogą wchodzić w grę. Od tej chwili całkowita mobilizacja. Pracujemy na pełnych obrotach.

Boże święty, pomyślał Vegesack.

– Tak?

– Potem zadzwonicie do wytypowanych osób. Czy ma pani coś przeciwko temu?

Pogładził swój mikroskopijny wąs, spoglądając na panią Lijphart. Ta nie odwzajemniła spojrzenia. Patrzyła na swoje splecione dłonie wciąż spoczywające na kolanach. Minęło kilka sekund, zanim odpowiedziała.

– Ależ nie. Skąd. Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu?

Ewa Moreno, pokonując na piechotę krótki odcinek od Grote Marckt, gdzie Mikael ją wysadził, do Goopsweg, zastanawiała się, dlaczego, do jasnej Anielki, nie machnie na to po prostu ręką.

Dlaczego odrzucała od siebie myśl, by przestać się zajmować zaginięciem Mikaeli Lijphart.

Albo rzekomym zaginięciem. Bo prawdopodobieństwo, że dziewczyna rzeczywiście skorzystała z okazji, by zniknąć na parę dni (może zachłyszawszy się świeżo osiągniętą pełnoletnością) i w ten sposób wzbudzić u rodziców (czy u Arnolda Maagera też?) poczucie winy... tak, prawdopodobieństwo było mimo wszystko chyba dość duże.

Czy nie?

Czy Mikaeli Lijphart coś się przytrafiło? – żeby użyć eufemizmu matki. *Coś się przytrafiło?*

Co w takim razie?

A ta stara historia? Jej ojciec – nauczyciel Arnold Maager – który miał romans ze swoją uczennicą. Zaszła z nim w ciążę. Zabił. Zwariował od tego.

Czy rzeczywiście tak to wyglądało? Tak prosto?

Historia była oczywiście przerażająca, ale, zdaniem Moreno, w jakiś sposób nazbyt sterylna. Sterylna, w gotowym opakowaniu. Faceta wsadzono do zakładu, dziewczynę zabrano. Opuszczono wieko na szesnaście lat i... no właśnie, co?

Wiedziała jednak, że nie ciekawość ją motywowała. Były w tej historii smaczki, Moreno pierwsza by to przyznała, ale istniały również inne przyczyny.

Inne powody, za sprawą których nie chciała porzucić śladu. Przez które nie mogła machnąć na to wszystko ręką.

Etyczne? Tak, w rzeczy samej. Ktoś kiedyś powiedział, że tylko na urlopie ma się czas na etykę. Nie pamiętała, kto. Przypuszczalnie Reinhart albo Van Veeteren... nie, raczej na pewno nie Van Veeteren – jeśli ktoś nigdy nie tracił z oczu aspektu etycznego, to właśnie on. Nawet jeśli mógł na tym dużo zyskać. Czy dlatego przedwcześnie zakończył karierę? Czy dlatego miał dosyć? Zastanowiła się nagle.

W każdym razie coś w tej myśli było. Tej o czasie wolnym i etyce. Bo gdy pędzimy w naszym zwykłym kieracie, obojętnie mijamy ślepych żebraków (czy przerażone dzieci lub posiniaczone kobiety). Lecz gdy spotkamy jednego z nich, spacerując brzegiem morza... wtedy sytuacja jest inna.

Etyka wymaga czasu.

A teraz miała czas. Czas, żeby przypomnieć sobie płaczącą dziewczynę z pociągu.

Czas, żeby zastanowić się zarówno nad nią, jej historią, jak i przestraszoną matką.

I nad nauczycielem Maagerem.

Czas, żeby nadłożyć drogi, poświęcić godzinę w słoneczne przedpołudnie – kiedy Mikael pojechał uzgadniać z robotnikami jakieś prace, które trzeba było wykonać w Czandali... bodajże rynny dachowe.

Skręciła w Goopsweg i zaczęła szukać podanego numeru: 26... był tam. Dwupiętrowa kamieniczka. Ponure lata siedemdziesiąte w szarej cegle i poznaczonym wilgocią betonie, lecz coś takiego musiało się oczywiście znaleźć wśród tej lekko sfatygowanej sielankowości, pomyślała.

Dziennikarka, przypomniała sobie. Muszę pamiętać, żeby zachowywać się jak dziennikarka. Być uprzedzająco grzeczna i pilnie notować. Lepszego pretekstu do rozmowy z kobietą o jej zamordowanej córce nie zdołała wymyślić.

A o zezwolenie od komendanta Vrommla nie chciała się ubiegać. W każdym razie jeszcze nie.

Przebiegła ulicę. Weszła na podwórko, bez trudu znalazła właściwą bramę. Schodami na drugie piętro.

Przed drzwiami zbierała się na odwagę z pół minuty, zanim zadzwoniła.

Brak reakcji.

Odczekała chwilę i zadzwoniła jeszcze raz. Przyłożyła ostrożnie ucho do drzwi, nasłuchując.

Ze środka nie dochodziły żadne dźwięki. Cicho jak w grobie.

No to z głowy, pomyślała Moreno. Naprawdę próbowałam.

Kiedy ponownie wyszła na słońce, poczuła jednak, że do tej etycznej poprzeczki kawałek jej brakuje. Jakby jeszcze nie miała prawa porzucić sprawy zaginięcia dziewczyny.

Gdyby wszyscy obywatele mieli takie poczucie odpowiedzialności jak ja, stwierdziła, omal nie potykając się o czarnego kota, który wybiegł z dziury w płocie, w jakimż pięknym świecie byśmy żyli.

Potem wybuchnęła śmiechem, aż przestraszony kot odwrócił się i zniknął w tej samej dziurze.

Sigrid Lijphart akurat zdążyła na pociąg, który odjeżdżał z dworca w Lejnicach o 17.03. Ruszył w chwili, gdy usiadła na siedzeniu przy oknie w na pół pustym wagonie. Niemal natychmiast ogarnęło ją uczucie, że porzuciła córkę.

Zapaliła papierosa, żeby powstrzymać ataki sumienia. Rozejrzała się ostrożnie, po

czym dopiła ostatnie krople z piersiówki, którą miała w torebce.

Niewiele pomogło. Ani nikotyna, ani alkohol. Kiedy pociąg nabrał prędkości, zrozumiała, że popełniła błąd, wyjeżdżając. Wracając do domu bez Mikaeli.

Jak mogła złożyć swój los – i los córki – w ręce komendanta Vrommla? Zadawała sobie to pytanie. Czy cokolwiek przemawiało za tym, że znajdzie Mikaelę? Vrommel! Pamiętała, że już przed szesnastu laty uważała go za wyjątkowo nieokrzesanego chama, a nic nie wskazywało, by od tamtego czasu nabrał szczególnej ogłady. W każdym razie nic, na co by zwróciła uwagę, będąc w Lejnicach.

A teraz miał ustalić, co się przytrafiło Mikaeli. Komisarz Vrommel! Jak mogła – jako matka i myśląca kobieta – na to pozwolić? Scedować odpowiedzialność na takiego arcykretyna!

Zgasiła papierosa, wyglądając przez okno na pogrążone w słońcu poldery. Kanały. Upstrzone czarno-białe pasące się bydło. Skupiska niskich murowanych domów z wieżą kościelną wystającą jak antena lub w niezdecydowanej próbie nawiązania kontaktu z olbrzymim niebem.

Co mi się snuje po głowie, pomyślała nagle. Na co się gapię? Przecież nie ma znaczenia, czy to Vrommel, czy ktoś inny. Chodzi o Mikaelę. Gdzie ona jest? Co się stało? Arnold... a jeśli mimo wszystko Arnold coś wie?

I jeszcze raz te niezrozumiałe wyrzuty sumienia dosięgły ją swymi pazurami. Niezrozumiałe i irytujące jak otarcie duszy. Dlaczego? Dlaczego Sigrid Lijphart, dawniej Sigrid Maager, miałyby sobie coś zarzucać? Zrobiła przecież więcej niż ktokolwiek mógłby od niej wymagać... znacznie więcej. Opowiedziała Mikaeli o Arnoldzie, mimo że dużo łatwiej byłoby milczeć. Równie dobrze mogła zdecydować się na zatajenie całej sprawy. Teraz i na zawsze; tak chciał postąpić Helmut – oczywiście nie powiedział tego wprost, ale Helmut mało co mówił wprost.

Milczeć, zostawiając dawne sprawy pogrzebane. Mogła tak zrobić. Nikt nie miałby prawa wymagać od niej więcej i nikt nie wymagał.

Więc dlaczego? Dlaczego, na litość boską, raz nie wybrała tej najprostszej drogi? Skąd ten bezwzględny wymóg szczerości?

Ledwie sformułowała te pytania, gdy odezwał się z przeszłości jego głos:

„Motywy. Zafalszowujesz swoje motywy”.

Nie pamiętała, w jakiej sytuacji to powiedział, ale nie miało to znaczenia. I tak nie rozumiała, o co mu chodziło.

Wtedy nie rozumiała i teraz też nie, dwadzieścia lat później. Dziwne, że pamiętała te

słowa. Dziwne, że się pojawiły. Motywy?

Westchnęła, zapalając kolejnego papierosa. Zmieniła paczkę i wyrzuciła do kosza, mimo że zostało w niej jeszcze cztery czy pięć papierosów.

Wystarczy, pomyślała. Nie chcę przyjechać do Helmuta śmierdząca tytoniem. Trzeba zachować klasę.

Ale potem stało się to nie do zniesienia. Pytanie, którego nie ważyła się nawet milcząco sformułować głęboko na dnie świadomości, krążyło w niej nadal, całkowicie pozbawione słów, przepędzając wszystkie inne myśli.

To pytanie.

16 lipca 1999

– Myślisz, że nie żyje?

Ewa Moreno nie odpowiedziała od razu. Wsiadła z samochodu i przeszła na jego stronę, chcąc go pocałować w policzek, ale doszła do wniosku, że chyba nie wypada i zrezygnowała. W zamian położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie wiem. Dałby Bóg, żeby żyła, ale naprawdę nie mam pojęcia. Po prostu muszę to pociągnąć. Muszę bliżej się temu przyjrzeć, zanim będę potrafiła odpuścić. Rozumiesz?

Mikael kiwnął głową.

– Delikatnie z dyrektorem – upomniał. – Ma ponad osiemdziesiąt lat, pamiętaj o tym. Godzina, tak się umawiamy?

– Plus – minus pół. Usiądź w kawiarni w porcie, żebyś się niepotrzebnie nie irytował.

Odczekała, aż odjechał, potem otworzyła pomalowaną na biało furtkę i po kamiennych płytach ruszyła w stronę domu. Wyglądał okazale i bogato. Solidna jednopiętrowa willa z żółtobiałego nadmorskiego kamienia; na górze balkony, na dole tarasy i imponujące panoramiczne okna wychodzące na morze. Musi być warta milion, pomyślała Moreno. Zwłaszcza biorąc pod uwagę położenie i ogród. Duży trawnik był świeżo przystrzyżony, rabaty, krzewy i drzewa owocowe starannie przycięte, a ogrodowe meble pod pomarańczowymi parasolami wyglądały na dostarczone przez stolarza dwie godziny wcześniej.

Dyrektor Salnecki siedział w jednym z tych wygodnych foteli, z tym że był od nich dużo starszy.

Białe spodnie, biała koszula, biała bawełniana kamizelka. Sportowa żółta cyklistówka i niebieskie tenisówki. Nie pomagało. Wyglądał starzej niż sękaty jabłonie. Nie mogło mu zostać dużo czasu, skonstatowała Moreno. Pewnie jego ostatnie lato. Miejmy nadzieję, że zachował przytomność umysłu.

Zachował.

Niezwykłą, co stwierdziła po kilku zaledwie chwilach. Po kilku zdaniach. Młoda opalona kobieta o jasnych włosach przyniosła tacę z karafką i kieliszkami. I paluszki

chlebowe.

– Czerwone i białe – wyjaśnił dyrektor Salnecki, nalewając. – Życie i śmierć, symbolizowane przez porzeczkę i Rieslinga. Nie muszę chyba pani mówić, że w wielu kulturach biel jest kolorem śmierci. Na zdrowie i na powitanie.

– Na zdrowie – powiedziała Moreno. – Dziękuję, że pan mnie przyjął.

– Córka mojej siostrzenicy... – pokazał głową w stronę kobiety, która właśnie zniknęła za węglem. – Dogląda mnie. Píše pracę o grupie Klimkego i korzysta z mojej biblioteki. Sylvia, miła dziewczyna, złote serce... moja żona zmarła przed kilkoma laty, potrzebuję kogoś, żeby się mną opiekował... ale pani miała jakąś sprawę?

Moreno odstawiła kieliszek na stół i odchyliła się w tył.

– Maager – powiedziała. – Arnold Maager. Pan był nadal dyrektorem w szkole Voellera, kiedy to się wydarzyło, zgadza się?

– Tak podejrzewałem – rzekł Salnecki.

– Podejrzał pan? Co?

– Że o tym chce pani mówić. Widzi pani, przez całe życie pracowałem w szkole, zapewne nieprawidłowości się zdarzały, ale jeśli inspektor kryminalny na urlopie prosi o rozmowę, mogę wyciągnąć tylko jeden wniosek. Nie była to przyjemna historia, ta sprawa Maagera.

– Już się zorientowałam.

– Dlaczego chce ją pani odgrzebywać? Czy nie lepiej pewne sprawy pozostawić zapomniane?

– Może tak – odpowiedziała Moreno. – Ale nowe okoliczności wyszły na światło dzienne.

Salnecki zaśmiał się.

– Wyszły na światło dzienne? Nie ma co. Pani inspektor wysławia się raczej jak adwokat, jeśli pani wybaczy, że to powiem. Ale oczywiście rozumiem, że dyskrecja jest cnotą, a moja naturalna ciekawość osłabła z wiekiem... nie wiem, czy mam się z tego powodu cieszyć, czy smucić... chyba za dużo mówię. Co chciałaby pani wiedzieć?

Moreno powstrzymała uśmiech.

– Co się wydarzyło. Jaka była pana opinia o Maagerze, *et cetera*.

– Nie zna pani historii w szczegółach?

– Tylko pobieżnie – przyznała Moreno.

Dyrektor Salnecki dopił wino i energicznie odstawił kieliszek na stół.

– Tragedia. Po prostu. A zarazem tak piekielnie banalna historia. Maager był dobrym

nauczycielem. Lubianym przez uczniów i kolegów. Młody, z inicjatywą... no i wskakuje do łóżka z tą smarkulą. Niepojęte. Nauczyciel mężczyzna musi umieć sobie radzić z dojrzewającymi dziewczętami pod wpływem hormonów, to jedna z pierwszych rzeczy, jakich powinien się nauczyć.

– Nie tylko wskoczył do łóżka – zauważyła Moreno. – Jeśli dobrze zrozumiałam.

Salnecki potrząsnął głową i nagle spochmurniał.

– Nie tylko. Ale od tego się zaczęło. W jakiś sposób historia z morałem... że za wszystko trzeba zapłacić.

Moreno uniosła brwi.

– Chce pan powiedzieć, że to Maager zapłacił? Dziewczyna przecież też, i to słono...

– Oczywiście, oczywiście – pośpieszył Salnecki z zapewnieniem. – Właśnie dlatego mówię o tragedii. Wszyscy płacą za chwilę nierozwagi. Niektórzy życiem, niektórzy postradaniem rozumu... można odnieść wrażenie, że bogowie czasami przesadzają z odpłatą.

Moreno zastanawiała się przez chwilę. Gospodarz zdjął cyklistówkę, wyjął z tylnej kieszeni grzebień i przesunął nim kilkakrotnie po rzadkich siwych włosach.

– Jak ludzie zareagowali? – zapytała Moreno. – Musieli być dość wzburzeni?

– Histerią – westchnął Salnecki, nakładając z powrotem nakrycie głowy. – Jakby dostali szału, niektórzy chcieli go zlinczować, dzwoniło do mnie nawet w nocy. Szczęście w nieszczęściu, że wydarzyło się to w wakacje, inaczej z pewnością bylibyśmy zmuszeni zamknąć szkołę. Nawiasem mówiąc, to był mój ostatni rok. Skończyłem w grudniu. Żałowałem, że nie odszedłem w czerwcu... chociaż z drugiej strony nic przyjemnego dla nowego dyrektora zaczynać urzędowanie od takiego skandalu.

– Ich romans? Maagera i tej dziewczyny... długo trwał? Czy inni uczniowie o tym na przykład wiedzieli?

– Romans! – zachnął się Salnecki. – Dziewczyna raz go pokokietowała i wylądowali w łóżku. Chyba oboje byli pijani. Maager miał przecież rodzinę... żonę i córeczkę.

– O tym wiem. Co się potem stało z Maagerem? Miał pan z nim jakiś kontakt?

Salnecki znowu spochmurniał. Ma chyba trochę wyrzuty sumienia, oceniła Moreno. Jakby był w stanie wkroczyć i zapobiec nieszczęściu. Salnecki pochylił się w przód i nalał do kieliszków z karafki.

– Nie – odpowiedział. – Żadnego. Oszalał. Siedzi w pobliskim zakładzie. Niektórzy koledzy odwiedzali go w pierwszych latach. Nie wydobyli z niego słowa... złamało go to na całe życie.

– Jak wyglądało ich... spotkanie, Maagera i tej dziewczyny? Powiedział pan, że był to

jeden raz?

Salnecki wzruszył ramionami.

– Z tego, co wiem, było to po szkolnej dyskotecie. Maager pilnował zabawy z kilkoma innymi nauczycielami. Potem poszli do nauczyciela ZPT – kawaler, mieszkał sam – trochę pili i rozmawiali. Do końca semestru został raptem tydzień... nad ranem przyszła grupka uczniów. Nauczyciele oczywiście nie powinni, ale ich zaprosili, no i skończyło się, jak się skończyło. Maager wskoczył do łóżka z Winnie Maas i...

– ...ona zaszła w ciążę, a on ją zabił – dokończyła Moreno. – Sześć, siedem tygodni później?

– Z grubsza rzecz biorąc, tak. Koszmarna historia – rzekł Salnecki. – Napijmy się.

Wypili. Moreno zdecydowała się zmienić trop.

– Ta dziewczyna, Winnie Maas, była... nad wiek dojrzała, zgadza się?

Salnecki odchrząknął, szukając w pamięci sformułowania.

– *De mortuis nihil nisi bene*. Powiedzmy, że nad wiek dojrzała.

– Dlaczego ją zabił?

Salnecki zastanawiał się, pociągając się lekko za ucho.

– Najpewniej stracił panowanie nad sobą. Chyba po prostu. Dziewczyna przypuszczalnie nie chciała się zgodzić na usunięcie. Chciała urodzić... może domagała się sporych pieniędzy za milczenie. Albo też żądała, żeby uznał ojcostwo... tak, zgaduję, że stawiała takie mniej więcej warunki. Zadzwoiła do niego tamtej nocy. Spotkali się na wiadukcie i stracił panowanie nad sobą. Do tego oszalał. Można się zastanawiać, czy postradał zmysły, zanim ją zepchnął, czy też po... zresztą zastanawiano się. To była niejako kluczowa kwestia procesu. Chodziło o odpowiedzialność i poczytalność... czy w chwili zabójstwa zdawał sobie sprawę, co robi, czy nie. Cóż, z kruchym urządzeniem mamy tu do czynienia...

Uderzył lekko dwoma palcami w prawą skroń. Moreno nieznacznie się uśmiechnęła.

– ...chociaż akurat u mnie wytrzymało osiemdziesiąt jeden lat – dodał z pokornym uśmiechem.

– A rodzina tej dziewczyny? – zapytała Moreno.

– Hm – mruknął Salnecki. – Matka wychowywała ją samotnie. Nie miała innych dzieci. Strasznie to przeżyła. Była w tłumie, który domagał się linczu, można powiedzieć. Potem się załamała. Ale nadal mieszka tu w mieście, widuję ją od czasu do czasu... biedna kobieta, jakby nie miała już siły. Ale teraz moja kolej, żeby zapytać, czy jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie. Do czego pani zmierza? Musi istnieć jakiś powód, dla

którego interesują panią te dawne nieszczęścia?

Moreno zawahała się. Spodziewała się, oczywiście, tego pytania. Miała również przygotowanych kilka mniej lub bardziej wiarygodnych odpowiedzi, ale było jej nieporęcznie wykręcać się półprawdami wobec szczerości starego pedagoga. Zdecydowanie byłoby to nie w porządku.

Żeby nawiązać do etyki.

Rozważała przez kilka sekund, pijąc trochę czerwonego i białego. Życie i śmierć. Potem opowiedziała zgodnie z prawdą.

– O bogowie! – wykrzyknął dyrektor Salnecki, kiedy skończyła. – Co to u licha wszystko znaczy?

– Właśnie usiłuję się dowiedzieć – oznajmiła Moreno.

Kiedy Moreno rozmawiała z dyrektorem Salneckim, Mikael Bau robił zakupy na targu, który od niepamiętnych czasów odbywał się w każdą sobotę na Grote Marckt. Już z samego rana oboje – a zwłaszcza Ewa – wyrażali pewne niezdecydowanie w kwestii kąpieli w morzu, więc kiedy później oczekiwany i zapowiadany zimny front zaczął nadciągać z południowego zachodu, przyjęli go niemal z ulgą... Zamiast obowiązkowo leżeć wyciągnięci pod niemiłosiernym słońcem, z czystym sumieniem mogli poświęcić czas i uwagę ratatouille z curry, indyjskim kminkiem i gęstą śmietaną, potrawie, którą zjedli na oszklonej werandzie przy deszczu zacinającym o szyby i blaszany dach.

Do tego czerwone włoskie wino. Ser malevoli z plasterkami gruszki na deser. Oraz kieliszek starego porto z zakurzonej butelki bez etykiety; Mikael utrzymywał, że pochodzi z zapasów, które już znajdowały się w domu, kiedy jego rodzina wprowadzała się w latach dwudziestych. Moreno nie wiedziała, czy ma mu wierzyć. W każdym razie było smaczne. Jak słodki zamrożony ogień.

Później usiedli w bujanych fotelach przed kominkiem, a Montezuma okazała Ewie połowiczne uznanie, kładąc się na jej kolanach. Kiedy Moreno przetrawiała posiłek i drapała ospałą kocicę za uchem, Mikael skorzystał z okazji, żeby pstryknąć im dwadzieścia cztery zdjęcia.

– Piękne – skomentował. – Szalenie piękne. Ogień, kobieta i kot.

Była zbyt najedzona, żeby protestować.

– Widzisz w niej własne dziecko, prawda? – zapytał, odłożywszy aparat.

– W kim? W Montezumie?

– W Mikaeli Lijphart. Przejmujesz macierzyńską odpowiedzialność za nią... bo nie

masz własnych dzieci.

– Psychologia za dychę – powiedziała Moreno.

Czy ma rację? Pomyślała. Dlaczego do cholery to wyciąga?

– Dycha też pieniądz – stwierdził Mikael. – Co właściwie ci się wydaje? Że w tym starym skandalu jest drugie dno?

– A tobie co się wydaje? – skontrowała Moreno, odnotowując nutę irytacji we własnym głosie. – Przyznaj, że to nieco dziwne, że dziewczyna znika w takiej chwili. Akurat kiedy po raz pierwszy odwiedziła swojego szalonego ojca. Po tym jak w końcu dowiedziała się, dlaczego dorastała bez niego...

– Zgoda – powiedział Mikael po chwili milczenia. – Myślałem tylko, że masz dosyć takich historii na co dzień.

– Czyli uważasz, że powinnam się na to wypiąć?

Zacisnął szczęki. Nagle wyglądał na rozzłoszczonego, chyba po raz pierwszy.

– Nonsens. Uważam, że postępujesz słusznie. Nie musisz się bronić. Tyle że różnica poglądów jest bardziej rozwijająca.

O co mu, cholera, chodzi? Pomyślała Moreno, dając Montezumie klapsa, tak że ta pacnęła na podłogę.

– Posłuchaj. Nie jestem specjalnie w nastroju do psychologizowania na temat moich motywów. Jutro albo pojutrze będę miała okres, więc zawsze mamy na co zwalić. Po prostu nie mogę przestać myśleć o tej biednej dziewczynie... a skoro o niej myślę, równie dobrze mogę coś zrobić. Jeśli ci nie pasuje, powiedz wprost. Proszę jednak bez niedomówień.

Teraz się rozleci, pomyślała. Mogę się pakować i nocować dzisiaj w hotelu.

Ale wyglądał tylko na zasmuconego.

– Do jasnej cholery. Co ty gadasz? Czy w czasie okresu krew odpływa z mózgu? Przecież mówię, że uważam, że postępujesz słusznie. Jeśli sama masz wątpliwości, nie wkładaj mi ich w usta... bo właśnie to robisz. Kontynuujmy. Co zrobiła Mikaela po odwiedzeniu ojca w Sidonisie?

– Udała się do schroniska – powiedziała Moreno.

Wspaniale, że nie muszę się pakować, pomyślała.

– A potem?

– Pojechała do Lejnic autobusem i wróciła. W sobotę wieczorem.

– Po co?

– Nie wiemy. Potem pojechała do miasta jeszcze raz w niedzielę... i odtąd zaginęła.

Mikael kiwnął głową.

– Jak poszło z komunikatem o zaginięciu?

– Dzisiaj został ogłoszony. Jeśli ktoś ją widział, w komisariacie mogą już wiedzieć... chociaż Vegesack obiecał, że zadzwoni.

Mikael spojrzał na zegarek.

– Dlaczego sami nie zadzwonimy i nie zapytamy?

– Nie wiem – odpowiedziała Moreno. – Zjadłam za dużo.

Nie od razu udało się jej porozmawiać z komendantem Vrommlem, bo po ośmiokilometrowym joggingu znajdował się pod prysznicem.

Ta informacja była nagrana na jego automatycznej sekretarce. Oddzwonił po dobrych dwudziestu minutach. Zapewne wymyty i odświeżony. I rozluźniony. Moreno od razu przeszła do rzeczy i zapytała, czy komunikat o zaginięciu Mikaeli Lijphart odniósł jakiś skutek.

– Negatywny – odparł Vrommel.

– Czyli nie?

– Jak powiedziałem, negatywny.

– Nikt jej nie widział w niedzielę?

– Nikt, kto by się zgłosił – uściślił komendant. – U mnie jest piątek wieczór. Czy pani inspektor nie ma nic ciekawszego do roboty na urlopie?

– Masę rzeczy – Moreno odłożyła słuchawkę.

Czterdzieści pięć minut i półtora kieliszka porto później wybrała numer aspiranta Vegesacka.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno – zaczęła.

– Nie szkodzi – zapewnił Vegesack. – Moja dziewczyna przylatuje do Emsbaden o wpół do trzeciej w nocy. Mam ją odebrać, więc i tak nie mogę się położyć.

– Świetnie. Właśnie ze swoim... chłopakiem wróciłam do domu. Ciekawi mnie, jak poszło z komunikatem. O zaginięciu Mikaeli Lijphart.

– Rozumiem. Niestety, żadnego trafienia... w każdym razie nie dzisiaj.

– Zupełnie nic?

– Hm. Jakaś kobieta przyszła po południu do komisariatu. Twierdziła, że w związku z komunikatem, ale okazało się, że nic nie wie.

Moreno zastanowiła się.

– I nic więcej?

– Niestety nie. Ale jutro też jest dzień.

– Miejmy nadzieję. Chciałam też prosić pana o przysługę.

– Tak? Jaką?

– Chciałabym tylko rzucić okiem na protokoły przesłuchań ze sprawy Maagera. Macie je chyba w archiwum?

– Tak mi się wydaje – Vegesack nie był pewien. – Jest kilka metrów półek z aktami, powinny tam być... proszę sobie po prostu poszukać.

Moreno odczekała trzy sekundy.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Czy moglibyśmy to załatwić, nie wtajemniczając komendanta? Nie wydaje się zachwycony, że się tym interesuję.

– Jasne – obiecał Vegesack, a po tonie głosu zorientowała się, że jeśli coś miało mu spędzać sen z powiek, to na pewno nie działanie za plecami szefa. Prawdę powiedziawszy, rozumiała go.

Poza tym jutro sobota (zauważył aspirant) i prawdopodobieństwo, że komendant pojawi się w pracy, wynosiło mniej niż jeden do dziesięciu tysięcy.

Czyli inspektor Moreno mogła spokojnie zajrzeć do komisariatu. Na przykład gdzieś między jedenastą a dwunastą, bo Vegesack sam miał wówczas parę spraw do załatwienia.

– Tak wcześnie? – zdziwiła się Moreno. – Zdąży się pan wyspać, skoro ma pan odebrać swoją dziewczynę o wpół do trzeciej w nocy?

– Nie zamierzamy spać – powiedział Vegesack.

Moreno uśmiechnęła się. Podziękowała i odłożyła słuchawkę.

Świetnie, pomyślała. Szachy na chybił trafił. Ale jednak szachy.

Wiedziała, że to też cytat. Zastanawiała się przez chwilę, co właściwie oznacza, że gotowe frazy i sformułowania coraz częściej pojawiały się dla wyrażenia jej wysiłków myślowych.

Zdecydowała, że nic nie oznacza.

– Muszę – powiedziała Sigrid Lijphart.

Helmut złożył gazetę.

– Nie mogę postąpić inaczej i nie mogę ci nic więcej powiedzieć. Musisz mnie zrozumieć.

Zdjął okulary. Złożył je z namaszczeniem i schował do futerału.

– Później wszystko wyjaśnię. Jakby ktoś dzwonił, powiedz, że pojechałam odwiedzić przyjaciółkę. I że oddzwonię.

– Którą?

– Co?

– Która z twoich przyjaciółek będzie miała zaszczyt rzekomo cię gościć?

Złość i ironia w jego głosie były niezwykle wyraźne. Zobaczyła też, że nieco poczerwieniała mu szyja, co zdarzało się tylko wtedy, gdy oglądał w telewizji ważny mecz, i zespół, któremu kibicował, przegrywał. Albo gdy Soerensen w mięsny na dole powiedział coś szczególnie niedorzecznego.

Nie ma się co dziwić, pomyślała. Nie ma się co dziwić, że jest zły. Wykluczyła go; może na samym początku popełniła błąd, ale teraz było za późno, żeby to zmienić. Stanowczo za późno.

I całkowicie nieodpowiednia pora, żeby go żałować. Przyjdzie czas na ratowanie tego, co się da. Później. Jeśli naprawdę był skałą, niech temu sprostą.

– Przykro mi. Traktuję cię nieładnie, ale nie mam wyboru. Spróbuj zrozumieć. Zaufaj mi.

Spojrzał na nią kamiennym wzrokiem. Oczami, które były twarde, ale nie złośliwe. Tylko niewzruszenie mocne; i w jakiś sposób puste, tak że można było się zastanawiać, czy w ogóle coś wyrażały...

– Zaufaj mi – powtórzyła. – Teraz wyjeżdżam. Zadzwoń.

Nie odpowiedział, ale jeszcze chwilę się ociągała.

– Chcesz coś powiedzieć?

Odsunął gazetę. Oparł łokcie na stole, położył głowę na dłoniach. Zachował kamienny wzrok.

– Znajdź ją. Chcę, żebyś przyprowadziła ją do domu.

Pogłaskała go po policzku i wyszła.

Pierwsza godzina w samochodzie była niemal jak zły sen. Zmierzchało, padał deszcz, dużo samochodów, na dodatek niejadących płynnie. Należała do słabych kierowców nawet w normalnych warunkach, sama to przyznawała, a takiego wieczoru było tysiąc razy gorzej.

Byle nie stuknąć, pomyślała, ściskając kierownicę, aż zbieleły jej knykcie. Jeszcze tylko tego by mi brakowało. Nic nie może się zdarzyć, muszę uważać.

Potem nagle coś w niej pękło. Łzy trysnęły jak z gejzeru i musiała zjechać na pobocze. Był to ryzykowny manewr, ale dalsza jazda stanowiła jeszcze większe ryzyko. Włączyła światła awaryjne i rozpląkała się na dobre. Mogę przecież się wypłakać, pomyślała.

Dała sobie trochę czasu, ale zapalając samochód, wcale nie była pewna, że czuje się dużo lepiej.

Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku dni pomodliła się do Boga i po raz drugi miała spore wątpliwości, że istnieje ktoś, kto słucha. Kiedy w końcu wyjechała na autostradę na wysokości Loewingen, zaproponowała układ.

Jeśli dojedziemy cało, podziękuję ci na kolanach.

Słyszysz, Boże? Obiecuję.

Czekał na rozwidleniu drogi, jak uzgodnili. Kiedy go dostrzegła w połączonym świetle ulicznych latarni i reflektorów samochodu, ogarnął ją chwilowy zawrót głowy.

Co się dzieje? Pomyślała.

Czy ja śnię?

Dlaczego mam uczucie, że spadam w próżnię?

Potem zagryzła wargę, zwolniła i mignęła mu długimi światłami.

Przez pierwsze pół godziny nie powiedział ani słowa.

Ona też nie. Jechali koło siebie jak dwoje obcych, którzy wiedzą, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Nawet banalne grzecznościowe formułki nie należały do ich wspólnego języka.

Może tak było lepiej. Nie zastanawiała się, czy będą mieli o czym rozmawiać, ale teraz, kiedy zaczęła o tym myśleć, jawiło się to prawie jako niemożliwe. Po wszystkich tych latach nie było nic do dodania.

Czas nic tu nie zmienił. Było jak wtedy.

Jak tamtej nocy w lipcu przed szesnastoma laty. Klamka zapadła raz na zawsze.

Nie kochaliśmy się prawie nigdy po przyjściu naszej córki na świat, pomyślała nagle. Nie chciałam, chyba nie chciałam go ani razu. Dziwne.

Chociaż dziwne – to jest życie. Czasami jak wiatr w brzezynie wiosną, czasami jak burza. Czasami to chore i wynędzniałe zwierzę, które chce się gdzieś zaszyć i w spokoju zdechnąć... osobliwe myśli, nie rozpoznawała ich. Jakby w jakiś sposób promieniowały od niego... siedział znowu tak blisko niej, mimo że wykluczyła go ze swego życia bardzo dawno temu i nie miał drogi powrotu.

Na żadnych warunkach. A kiedy zerknęła na tę chudą, skuloną postać na siedzeniu pasażera, żałowała, że nie kazała mu usiąść z tyłu. Jego żaloszny charakter zrosł się z fizyczną postacią, uderzyło ją. Wychynał na zewnątrz, tak że teraz dobitnie o nim świadczył. Widać było po nim, co z niego za typek, szkoda że dawniej nie rzucało się to tak w oczy.

Może wtedy nie musiałoby się wydarzyć, co się zdarzyło.

Tyle że gdyby od razu zorientowała się, z kim ma do czynienia, nigdy by się z nim nie związała. A gdyby się z nim nie związała, nie urodziłaby się Mikaela. Tego życiowego węzła nie umiała rozsupłać, wiedziała o tym. W żyłach Mikaeli płynęła jego krew i było to jedyne, co w razie konieczności gotowa była mu przyznać. Bez niego Mikaeli nie byłoby na świecie; obraz wiatru i chorego zwierza znowu pojawił się w jej świadomości... ale zaraz zastąpiły go słowa, które kiedyś wypowiedział.

„Lubię milczenie między nami”.

Dokładnie tak powiedział. „Milczenie między nimi?”. Twierdził, że jest dobre. Była pierwszą dziewczyną, z którą mógł razem milczeć.

Boże święty, pomyślała. Chyba nie wyobraża sobie, że w tym cholernym nieodzywaniu się też jest coś dobrego?

Ale nie zapytała. Zwiększyła tylko trochę prędkość, deszcz osłabł, przestawało padać.

Zaraz za Saaren zjechała na stację benzynową, żeby zatankować, a kiedy ponownie usiadła za kierownicą i zapięła pas, wtedy właśnie odezwał się po raz pierwszy.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

Jego głos przypominał jesienny liść spadający na ziemię.

Nie odpowiedziała.

Przesłuchanie Pauli Ruth Emmerich, 29.07.1983. Miejsce: Komisariat Policji w Lejnicach. Prowadzący przesłuchanie: starszy inspektor Walevski. Obecni: asys. społ. Bluume. Protokół przesłuchania: starszy inspektor Walevski. Do wiadomości: komisarz Vrommel, komendant, asys. społ. Bluume.

Walevski: Nazywasz się Paula Emmerich?

Emmerich: Tak.

W.: Urodzona 22 maja 1967 roku tutaj w Lejnicach?

E.: Tak.

W.: Do 17 czerwca tego roku chodziłaś do szkoły Voellera tutaj w Lejnicach?

E.: Tak.

W.: Chodziłaś przez sześć lat do tej samej klasy co dziewczyna o nazwisku Winnie Ludmilla Maas. Zgadza się?

E.: Tak.

W.: Czy powiedziałaabyś, że dobrze znałaś Winnie Maas?

E.: Tak. Chociaż nie byliśmy tak dobrymi kumpelami jak wcześniej.

W.: Ale w sumie się przyjaźniłyście?

E.: Tak.

W.: Wiesz, co się stało z Winnie i dlaczego chcemy z tobą rozmawiać?

E.: Tak.

W.: W jaki sposób znany ci jest Arnold Maager?

E.: Był naszym nauczycielem WOS-u i historii.

W.: W szkole Voellera?

E.: Tak.

W.: Jak długo był twoim nauczycielem?

E.: Dwa lata. W ósmej i dziewiątej klasie.

W.: Jakim był nauczycielem?

E.: Takim sobie. Chyba raczej dobrym.

W.: Możesz opisać go nieco bliżej?

E.: *(Brak odpowiedzi)*

W.: Inni uczniowie w klasie go lubili?

E.: Tak. Był sympatyczny. Przystojny.

W.: Przystojny?

E.: Jak na nauczyciela.

W.: Rozumiem. Wiesz może, czy Winnie Maas uważała tak jak ty? Że Arnold Maager był dobrym nauczycielem. I przystojnym?

E.: Tak, tak uważała.

W.: Jesteś pewna? Chodzi mi o czas przed dyskoteką.

E.: Lubiła go.

W.: Rozmawiałyście o tym?

E.: Może, nie pamiętam.

W.: Ale nigdy nie powiedziała, że jest w nim na przykład zakochana?

E.: Nie. W każdym razie nie mnie.

W.: Czy ktoś w klasie znał Winnie lepiej niż ty?

E.: Chyba nie. Nie.

W.: Czyli gdyby Winnie chciała się komuś zwierzyć, wybrałaby ciebie?

E.: Tak. Chociaż ostatnio była bardziej zamknięta.

W.: Zamknięta?

E.: No, nie mówiła tyle.

W.: Rozumiem. Wiesz, czy miała chłopaka?

E.: Teraz nie. To znaczy nie w maju i czerwcu. Nie wydaje mi się.

W.: Ale wcześniej kogoś miała?

E.: Oczywiście.

W.: Więcej chłopaków?

E.: Kilku, ale nie pod koniec dziewiątej klasy.

W.: Czy możesz opowiedzieć o tej dyskotecie 10 czerwca?

E.: A co chce pan wiedzieć?

W.: Jak było. W jakim towarzystwie byłeś. Czy zwracałeś uwagę na Winnie.

E.: Było normalnie.

W.: To znaczy?

E.: Najpierw piliśmy trochę na plaży.

W.: Kto?

E.: Kilka osób z naszej klasy. Z innych też.

W.: Ile?

E.: Może z piętnaście.

W.: Winnie Maas też tam była?

E.: Tak.

W.: A później?

E.: Poszliśmy na dyskotekę około wpół do dziesiątej.

W.: Tak?

E.: Tańczyliśmy, gadaliśmy i tak ogólnie.

W.: Czy zwróciłaś uwagę, co Winnie robiła tego wieczoru?

E.: Tak.

W.: Możesz opowiedzieć?

E.: Była trochę pijana. Dość dużo tańczyła, jak zwykle. Tańczyła wolnego z Maagerem.

W.: Mówisz, że Winnie Maas tańczyła wolny taniec z Arnoldem Maagerem, swoim nauczycielem WOS-u i historii?

E.: Tak. Chyba bardziej dla jaj. Inne dziewczyny też tańczyły z nauczycielami.

W.: Ile tańców?

E.: Winnie czy te inne?

W.: Winnie.

E.: Nie wiem. Dość dużo.

W.: Z innymi nauczycielami też?

E.: Nie wiem. Chyba raczej tylko z nim.

W.: Rozmawialiście o tym? Ty i twoi koledzy.

E.: Nie pamiętam dokładnie. Chyba tak.

W.: Nie uważaliście, że to dziwne, że Winnie Maas tańczy tak dużo z jednym nauczycielem?

E.: Nie pamiętam.

W.: Dlaczego nie pamiętasz?

E.: Nie wiem. Byłam trochę pijana. Nie pamiętam za dokładnie.

W.: Przejdźmy do tego, co się wydarzyło później tego wieczoru. Możesz opowiedzieć?

E.: Poszliśmy z powrotem na plażę, kiedy dyskoteka się skończyła.

W.: Kto?

E.: Nasza paczka. Osiem, dziesięć osób.

W.: Winnie Maas też?

E.: Tak.

W.: Co robiliście?

E.: Nic specjalnego.

W.: Nic specjalnego?

E.: Nic.

W.: Coś musieliście chyba robić?

E.: No może.

W.: Co na przykład?

E.: Co mam, kurde, powiedzieć? Żeśmy pili, palili i się obmacywali?

W.: To właśnie robiliście?

E.: Może. Też gadaliśmy. Jeden chłopak kąpał się nago.

W.: Naprawdę? Rozmawiałaś o czymś z Winnie?

E.: Chyba nie. Niespecjalnie. Kurde, przecież byliśmy całą paczką.

W.: Nie rozmawialiście o tym, że tak dużo tańczyła z Arnoldem Maagerem?

E.: Chyba rozmawialiśmy.

W.: Pamiętasz, co powiedziała?

E.: Tak. Jedną rzecz.

W.: A mianowicie?

E.: Powiedziała, że jest napalona na Maagera.

W.: Napalona na Maagera? Jesteś pewna? Winnie Maas tak powiedziała?

E.: Tak.

W.: Uwierzyłaś jej?

E.: A czemu miałam nie wierzyć? Mogła przecież być napalona na kogo chciała.

W.: Dobra. Z plaży dokąd poszliście?

E.: Z powrotem do miasta.

W.: Winnie Maas też?

E.: Tak, kurde.

W.: Mów dalej.

E.: Ktoś usłyszał, że imprezują u Golluma.

W.: Kto to jest Gollum?

E.: Nauczyciel ZPT. Właściwie nazywa się Gollumsen.

W.: Kto miał u niego imprezować?

E.: Ci, co pilnowali na dyskotecę.

W.: Nauczyciele.

E.: Tak.

W.: W tym Maager?

E.: Tak, w tym Maager.

W.: I wiedzieliście, że ci nauczyciele są u Gollumsena?

E.: Tak.

W.: Skąd?

E.: Nie wiem. Ktoś o tym usłyszał.

W.: Kto?

E.: Nie wiem, kurde.

W.: Winnie Maas?

E.: Może.

W.: Ale mógł to być ktoś inny?

E.: *(Brak odpowiedzi)*

W.: No dobrze. Opowiedz, co się działo, kiedy przyszliście do Gollumsena.

E.: Śpiewali, byli dość naprani. Przeboje z lat sześćdziesiątych. Zadzwoniliśmy i nas wpuścili.

W.: Ilu było nauczycieli?

E.: Czterech.

W.: Czterech?

E.: Tak. Gollum i Maager, i jeszcze dwóch innych.

W.: Jacy?

E.: Jeden nazywa się Nielsen. I Cruickshank.

W.: A was, uczniów, ilu było?

E.: Siedem osób. Chociaż dwie sobie później poszły.

W.: Ale ty i Winnie zostałyście?

E.: Tak.

W.: Kto był w pozostałej trójce?

E.: Tim Van Rippe i Christopher Duijkert. I Vera Sauger.

W.: Czyli pięcioro uczniów i czterech nauczycieli. Która mniej więcej była godzina, kiedy tam przyszliście?

E.: Druga, wpół do trzeciej, jakoś tak.

W.: Co robiliście u Gollumsena?

E.: Trochę piliśmy, śpiewaliśmy. Nielsen grał na gitarze.

W.: Mów dalej. Co zaszło między Arnoldem Maagerem a Winnie Maas?

E.: Trochę się obmacywali, potem poszli do sypialni.

W.: A wy co robiliście?

E.: My?

W.: Tak. Co robiliście, kiedy Winnie Maas i Arnold Maager poszli do sypialni?

E.: Siedzieliśmy dalej, śpiewaliśmy i gadaliśmy.

W.: Jak długo?

E.: Nie wiem. Może godzinę.

W.: A potem wyszliście z mieszkania?

E.: Tak.

W.: Czy Winnie i Maager dalej byli w sypialni, kiedy wychodziliście?

E.: Tak. O ile nie wyskoczyli przez okno, ale myślę, że nie.

W.: Dlaczego myślisz, że nie wyszli przez okno?

E.: Bo to było na drugim piętrze.

W.: Rozumiem. Dowiedziałaś się, co robili w sypialni?

E.: Tak.

W.: Skąd? I kiedy?

E.: Słyszeliśmy, co robią.

W.: Tak?

E.: Pieprzyli się tak, że cały dom się trząsał.

Moreno odsunęła papiery. Spojrzała na zegarek. Za piętnaście pierwsza. To było trzecie przesłuchanie, które przeczytała, i obraz zaczynał być dość jasny.

Przygnębiająco jasny, pomyślała.

...tak, że cały dom się trząsał!

Co za łajza, pomyślała. Nie ma się co dziwić, że ukrył się w szpitalu. Nie ma się co dziwić, że zwariował.

Żona i dwuletnia córeczka.

Czy tego Mikaela dowiedziała się w zakładzie Sidonisu?

Czy tak to widziała jego żona?

Nie, nietrudno było zrozumieć ucieczkę w szaleństwo. Naprawdę nie. Pieprzyć się z szesnastoletnią dziewczyną w obecności pięciu świadków, czy ilu ich tam było. Tak że cały dom się trząsał... kurwa mać!

A potem ją zabić, kiedy miała czelność zająć w ciążę.

Inspektor Ewa Moreno oparła głowę na dłoniach i wyjrzała na pusty rynek. Nadal było zimno, ale deszcz przestał padać rano.

Popęd?, pomyślała.

Pożądanie i trochę serca. Mózg dryfujący w joli na cumie. Zatruty na wszelki wypadek.

Porównanie sprawy Maagera z jej własną utratą cnoty nasuwało się niejasno przez ostatnie dni, a teraz widziała scenę wyraźniej niż przez wiele lat.

Ciasny pokój hotelowy przy Piazza di Popolo w Rzymie. Wieczne Miasto. Wieczna miłość.

Ona. Siedemnastoletnia licealistka. Zaledwie rok starsza od Winnie Maas; czas – nie więcej niż rok po tutejszych wydarzeniach, uświadomiła sobie z przerażeniem. 1984. Wycieczka szkolna klas językowych. Wczesne lato. Apetyt na życie.

On. Trzydziestosześcioletni nauczyciel łaciny.

Silny. Mądry. Subtelny.

Obyty w świecie, z owłosioną piersią i ciepłymi dłońmi. Nie kochali się tak, żeby hotel się trząsł, ale jednak dość intensywnie, i obyli się bez świadków. Obiecał, że rozwiedzie się dla niej z żoną, a ona mu uwierzyła.

Do tego stopnia, że w końcu zadzwoniła do jego żony, żeby omówić tę sprawę.

Później: jego tchórzostwo. Jego bezmierna małość.

Wtedy po raz pierwszy zetknęła się z tak żalną słabością, a gdy kilka lat później spotkała jego żonę, odbyły kobiecą rozmowę, która naprawdę dużo im dała. Zostawiła swego łacinnika, a z tego, co wiedziała, nadal uwodził licealistki w uroczych ciasnych pokoikach w Rzymie.

Ciepłymi dłońmi, owłosioną piersią i swym dowcipem.

Ale teraz nie chodziło o tego bydlaka. Ani o Ewę Moreno.

Chodziło o martwą dziewczynę nazwiskiem Winnie Maas. I o żywą (oby) dziewczynę nazwiskiem Mikaela Lijphart.

I o ojca tej drugiej, Arnolda Maagera.

Miał szesnaście lat, żeby przygotować swoją historię na spotkanie z córką. Szesnaście lat sam na sam z własnymi myślami i zapewne strachem.

Nie wystarczyłoby szesnaście tysięcy, pomyślała Moreno. Czas leczy wiele ran, ale nie te hańbiące. Przypomniał się jej wers jakiegoś poematu.

Albowiem róże hańby jarzą się przez wieczność.

Odłożyła akta na półkę. Zajrzała ostrożnie do pokoju aspiranta Vegesacka, uchylając drzwi, i stwierdziła, że nadal śpi na krześle. Z odchyloną głową i otwartymi ustami.

Chciała zamienić z nim kilka słów o jego rozmowie z Maagerem w zakładzie

Sidonisu, ale uznała, że lepiej go nie budzić.

Ze względów czysto humanitarnych. Gdyby następnej nocy z narzeczoną również nie planowali spać.

Wyszła z komisariatu i przecięła rynek w stronę cukierni Vlammerick's, żeby kupić coś na przeprosiny dla swojego chłopaka (narzeczonego? faceta? kochanka?).

I żeby zaradzić przedmiesiączkowemu niedoborowi cukru we krwi.

19 lipca 1999

Telefon zadzwonił akurat, kiedy zaparkowała w cieniu pod więzaniem, odebrała dopiero po pewnej rozterce.

– Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć – odezwał się Münster. Przez całą sekundę nie miała pojęcia, o czym mówi.

– Wiedzieć o czym?

– O Lampem-Leermannie. Sprawa pedofila.

– Tak?

– Znalazłem dziennikarza.

Jak to możliwe? Pomyślała Moreno. Niemal udało mi się zapomnieć parszywca zaledwie w kilka dni.

– Czyli jednak ten dziennikarz istnieje?

– Na to wygląda – odparł ponuro Münster, jeszcze go takim nie słyszała.

– Mów dalej – poprosiła.

Münster odchrząknął.

– Jestem w tarapatach – wyjaśnił. – Pokręcona historia...

– Dlaczego jesteś w tarapatach?

– No może nie w tarapatach, ale sprawa jest cholernie kłopotliwa. Z Lampem-Leermannem poszło właściwie dość gładko. Podał nazwisko w zamian za gwarancję, że trafi do więzienia w Saalsbach. Zdaje się, że gdzie indziej ma wrogów i czuje się zagrożony. W każdym razie podał nazwisko tego reportera bez specjalnego ociągania się.

– Dlaczego nie mówisz, jak się nazywa?

– Nie wiem – rzekł Münster.

– Nie wiesz, jak się nazywa, czy nie wiesz, dlaczego nie chcesz ujawnić jego nazwiska?

– Wiem, jak się nazywa.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tak.

– I co?

Nagle poczuła tę rękę znowu ściskającą ją za gardło. Pedofil? Jeden z jej kolegów...? W duchu zaczęła recytować ich nazwiska... Rooth, Jung, deBries... Niby jakąś magiczną mantrę czy też co to mogło być... Krause, Bollmert...

– Przyznaje, że wygadał się przed Lampem-Leermannem. Po pijaku, oczywiście. Mówi, że ma nazwisko jednego z naszych. Ma dowody w postaci zdjęć i dostał dziesięć tysięcy za milczenie... innymi słowy, dokładnie tak jak powiedział Lampe-Leermann.

– Szlag by trafił.

– Właśnie. Ale jest jeden szkopuł, dość ciekawy.

– Mianowicie?

– Chce dziesięć tysięcy za wyśpiewanie nazwiska.

– Co? Co do...?

– Też tak zareagowałem. Z początku. Ale jest w tym jakaś diabelska logika. Skoro wziął dziesięć tysięcy za milczenie, byłoby dość nieuczciwe wygadać się teraz za darmo... nieetyczne, jak powiedział.

– Ale za dodatkowe dziesięć tysięcy...?

– ...sprawa będzie wyglądała inaczej. Rozumiesz ten niuans? Moreno zastanawiała się przez chwilę.

– Tak. Chyba tak. Co za kanalia.

– Bez wątplenia – potwierdził Münster. – Co mam, twoim zdaniem, zrobić? Pójść do Hillera i poprosić o dziesięć tysięcy guldenów na nieokreślone wydatki?

Moreno nie odpowiedziała.

– Jak tam pogoda na wybrzeżu? – zapytał Münster.

– Zmienna. Dzisiaj znowu świeci słońce. Masz jakiś plan?

– Jeszcze nie. Ale chyba muszę jakiś wymyślić. Najpierw chciałem cię poinformować.

– Dzięki.

Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza.

– Czy jest możliwe... czy według twojej oceny nie jest to blef? – zapytała Moreno. – Ze strony tego cholernego pismaka.

– Oczywiście. Z pewnością.

– Nie ma nic bardziej nieprzyjemnego niż fałszywe oskarżenia.

– Zgadza się. Oby były prawdziwe. Odezwe się.

– Czekam na telefon.

Czarny pies przywiązany przed składzikiem ujadał na nią, gdy szła do recepcji. Niskie, głucho brzmiące szczeknięcia, jakby ze studni, niemal surrealistyczny kontrast z zadbanym parkiem i bladożółtymi budynkami.

Za to znakomita ilustracja do jej czarnych myśli. Cerber? Przypomnienie o otchłani i drodze, którą wszyscy musimy się udać? Zastanawiała się, dlaczego psa gdzieś nie oddano albo nie puszczono wolno; raczej nie był to krzepiący akompaniament dla nieszczęśliwych i zabłąkanych dusz, które znalazły tu schronienie.

Dotarła do recepcji i przedstawiła się rudowłosej kobiecie w białym kitlu za szybą. Wyjaśniła, z czym przychodzi.

– Arnold Maager, tak – kobieta uśmiechnęła się nerwowo. – Myślę, że najlepiej będzie, jak porozmawia pani z panią Walker.

– Panią Walker?

– Dyrektorką kliniki. Chwileczkę.

Wybrała cztery cyfry numeru wewnętrznego.

– Dlaczego mam rozmawiać z dyrektorką? Chodzi o zwykłą wizytę u pana Maagera.

Rudowłosa kobieta zaczerwieniła się.

– Chwileczkę.

Odeszła trzy kroki od okienka, odwracając się plecami do Moreno. Mówiła do słuchawki przyciszonym głosem. Wróciła do Moreno nieco mniej czerwona.

– Jakby pani zechciała porozmawiać najpierw z panią Walker. Trzecie drzwi, tam na prawo.

Wskazała w głąb krótkiego korytarza.

– Dziękuję – Moreno poszła we wskazanym kierunku.

Dyrektor Walker była niską ciemną kobietą około sześćdziesiątki. Siedziała za olbrzymim biurkiem. Trochę do niego nie pasowała, stwierdziła Moreno. Jak gołąb przy bocznej linii boiska piłkarskiego. Wstała, obeszła pół boiska i podała Moreno rękę, kiedy ta zamknęła drzwi. Chyba miała też coś z nogą. Wspierała się na ciemnobrązowej lasce; może właśnie przez to niewielkie kalectwo zadała sobie trud, żeby wyjść zza biurka. Rodzaj demonstracji.

W połączeniu z wyraźnym niepokojem. Nadmierna chęć, by nastawić do siebie przychylnie gościa, rzucająca się w oczy i trudna do zrozumienia. Moreno dzwoniła i zapowiedziała swój przyjazd, ale tylko nagrywając się na automatycznej sekretarce. Przedstawiła się wprawdzie jako inspektor kryminalny, ale żeby w zakładzie mieli tak nieczyste sumienie, jak sygnalizowało zachowanie tej kobiety, wydawało się dość

nieprawdopodobne.

Wyjaśnienie padło niemal natychmiast.

– Proszę usiąść – powiedziała pani Walker. – Chyba mamy mały problem.

– Aha? – Moreno nie usiadła. – Chciałam tylko krótko porozmawiać z Arnoldem Maagerem. Co to za problem?

– Nie ma go.

– Słucham?

– Arnolda Maagera nie ma w zakładzie. Gdzieś się wybrał.

Wybrał się? Pomyślała Moreno. Arnold Maager? Co ona bredzi?

– Co chce pani przez to powiedzieć? Dokąd pojechał?

– Nie wiemy. Nie ma go od soboty po południu... bardzo przepraszam, że niepotrzebnie pani jechała, ale nie zostawiła pani numeru telefonu i nie mieliśmy jak...

– Jak zniknął? – przerwała Moreno.

Pani Walker wróciła na swoje miejsce za biurkiem.

– Nie wiemy dokładnie kiedy. Ani jak. Gdzieś po południu, spaceruje wtedy po parku... nie przyszedł na kolację. W sobotę.

– Nie poinformował, dokąd się udaje?

– Nie.

– Czy pan Maager zniknął w ten sposób wcześniej?

– Nie – powiedziała pani Walker zmęczonym głosem. – Nigdy. Niektórzy pacjenci czasami wyjeżdżają... na ogół do domu... ale Maager nigdzie nie wyjeżdżał, odkąd tu mieszka.

– Od szesnastu lat?

– Mniej więcej – potwierdziła pani Walker. – Jest nam ogromnie przykro, dzisiaj rano mieliśmy zebranie, żeby przedyskutować, co z tym począć.

– Zgłosiliście, że zniknął?

– Oczywiście – zapewniła pani Walker.

– Kiedy?

Dyrektorka skierowała wzrok na swoje złączone dłonie.

– Dwie godziny temu.

Wspaniale, pomyślała Moreno, zaciskając szczęki, żeby jej się coś nie wyrwało. Cudownie! Po dwóch dniach od ucieczki psychicznie chorego pacjenta organizuje się zebranie, na którym postanawia się zawiadomić policję. Może czas, żeby poprawić procedury – jak brzmi w takich sytuacjach formułka w ustach osób odpowiedzialnych.

– W zeszłym tygodniu był tu policjant i rozmawiał z Maagerem. Wie pani o tym?

Pani Walker kiwnęła głową.

– Wiem. W środę. Kilka dni wcześniej miał wizytę córki. Myśli pani, że ma to jakiś związek. Normalnie nikt go nie odwiedzał.

Moreno zignorowała te spekulacje.

– Powiedziała pani, że Maager zniknął w sobotę po południu?

– Tak. Zjadł obiad jak zwykle o wpół do pierwszej... czyli gdzieś po tej godzinie.

– Rozmawiała pani z całym personelem?

– Też z pacjentami. Po drugiej nikt go nie widział.

– I nikt nie widział, jak odchodził?

– Nie.

Moreno zastanowiła się przez chwilę.

– Co wziął ze sobą?

– Co wziął?

– Ubrania? Torbę? Czy wybrał się z pustymi rękami?

Pani Walker najwyraźniej nie pomyślała dotąd o tym aspekcie. Pośpieszyła znowu wokół biurka.

– Natychmiast to sprawdzimy. Spis rzeczy pacjenta jest w każdym pokoju... większości rzeczy. Proszę za mną!

– Okej – westchnęła Moreno.

Pół godziny później sprawa się w zasadzie wyjaśniła. Wszystko wskazywało na to, że Arnold Maager nie oddalił się nagle. Kiedy pielęgniarz i sprzątaczką pogłównkowali, doszli do zgodnego wniosku, że brakowało niewielkiej torby i trochę ubrań. Na pewno koszul, slipów i skarpet na zmianę.

Innych poszlak, mogących dostarczyć nowych informacji, nie znaleźli ani w pokoju Maagera, ani nigdzie indziej. Moreno pożegnała się i zeszła do samochodu.

Muszę natychmiast porozmawiać z Vegesackiem, pomyślała. Muszę dowiedzieć się, co wypaplał w czasie spotkania z Maagerem.

Sam Maager nie był szczególnie rozmowny, to Vegesack wyraźnie podkreślał. Tym większe ryzyko, zakładała Moreno, że aspirantowi co nieco się wymknęło.

Na przykład o Mikaeli Lijphart. Na przykład że trochę zniknęła.

Usiadła za kierownicą. Opuściła szybę i przekręciła kluczyk. Nic.

Żadnego dźwięku z rozrusznika.

Przekręciła jeszcze raz. I drugi.

Nawet westchnienia.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślała. Nie może. Nie teraz.

Jak do cholery – pomyślała później – można upierać się przy starym komunistycznym samochodzie całe dziesięciolecie po upadku muru? Przy przeklętej starej puszcze, którą powinno pokazywać się w muzeum!

– No, kochasiu – syknęła, szukając w torebce komórki. – Teraz to żeś podpadł. Cholernie podpadł!

Był 19 lipca, słońce prażyło z coraz jaśniejszego nieba. Zaczął się drugi tydzień urlopu inspektor Ewy Moreno. Znajdowała się na parkingu położonego na uboczu zakładu dla psychicznie chorych, dwa kilometry od morza, była w pierwszym dniu miesiączki, a przekłety trabant Mikaela nie chciał zapalić.

Pierwsza wolna kobieta w historii? Czy nie tak określiła swoją pozycję w układzie współrzędnych życia przed kilkoma dniami?

Figa z makiem.

- Ziemia jest okrągła – powiedział Henning Keeswarden, sześć lat i pięć miesięcy.
- Strasznie okrągła – przyznał Fingal Wielki, zaledwie cztery lata i dziewięć miesięcy, ale gorliwy orędownik wszystkiego, co wydawało się nieznanne i nowoczesne. Zwłaszcza jeśli prezentował to podziwiany kuzyn.
- Po drugiej stronie mieszkają ludzie – uzupełnił młody Keeswarden. – Łapiesz?
- Fingal Wielki zapamiętał kiwał głową. Jasne, że łapał.
- Jeśli wykopiemy głęboki, bardzo głęboki dół w ziemi, przedostaniemy się na drugą stronę.
- Na drugą stronę – potwierdził Fingal.
- Trzeba się dokopać cholernie głęboko, ale potem wystarczy zejść i wyjść z dołu po drugiej stronie. U Chińczyków.
- U Chińczyków – zawtórował Fingal. Nie był do końca pewien, kim właściwie są Chińczycy, ale nie chciał się do tego przyznawać. – Trzeba się dokopać cholernie diabelnie głęboko! – zadeklarował w zamian.
- Zaczynamy – polecił Henning. – Mamy cały dzień. Kiedyś wykopałem dół, który prawie przechodził przez całą ziemię. Byłem już blisko, ale zawołali mnie na obiad. Słyszałem, jak rozmawiali tam po drugiej stronie.
- Rozmawiali?
- Fingal nie zdołał powstrzymać zdumienia.
- Chińczycy. Tak byłem blisko. Przyłożyłem ucho do dna i wyraźnie słyszałem, jak rozmawiali. Chociaż nic nie rozumiałem, bo Chińczycy mówią innym językiem. To co, kopiemy dół, żeby dostać się na drugą stronę?
- Jasne, że kopiemy – powiedział Fingal Wielki.

Kuzyni kopali. Fingal miał czerwoną łopatkę, znacznie nowszą od niebieskiej Henninga, która była trochę zniszczona. Może zniszczyła się w czasie poprzedniego kopania do Chin, to rozumiałe. Ale czerwona łopatką zawsze kopie szybciej niż niebieska.

Było dopiero przedpołudnie. Właśnie przyszli na plażę, jeden i drugi ze swoją mamą, siostrami, które teraz leżały na plecach, nabierając trochę koloru na gołych biustach, bo do

takich ta plaża należała.

Kopanie szło dosyć łatwo. Przynajmniej na początku. Jednak w miarę szybko wybrany piasek zaczął się z powrotem zsypywać do dołu. Henning powiedział, że muszą nieco poszerzyć wykop.

Konieczność poszerzania wykopu, kiedy miało się kopać prosto do Chińczyków, była dość uciążliwa, ale chciał człowiek dostać się na dół, musiał być oczywiście przygotowany na pewne nieprzyjemności. No i ostro pracować łopatą.

Pracował więc Henning, i Fingal też.

– Zamknij się, to sprawdzę, czy coś słyhać! – nakazał Henning, kiedy wykop był na tyle głęboki, że po stanięciu na dnie wystawały tylko głowa i ramiona. Przynajmniej Fingalowi, który był o dziesięć centymetrów niższy od kuzyna.

– Pst! – powiedział Fingal do siebie, kładąc palec na ustach, a Henning przycisnął ucho do mokrego piasku.

– Słyhać coś? – zapytał Fingal, kiedy Henning wyprostował się i wydłubywał piasek z ucha.

– Trochę, ale słabo – wyjaśnił Henning ze znawstwem. – Jeszcze nam został kawałek. Pobawimy się w niewolnika?

– W niewolnika? Pewnie! – wykrzyknął Fingal, który chwilowo nie za bardzo mógł sobie przypomnieć, co to jest ten niewolnik.

Henning wydostał się z wykopu.

– Najpierw ty będziesz niewolnikiem, a ja dozorcą niewolników. Musisz robić wszystko, co ci każę, bo inaczej cię zabiję i zjem.

– Dobra – zgodził się Fingal.

– Kop! – krzyknął Henning złowrogo. – Kop, ty cholerny leniwy niewolniku!

Fingal zabrał się na nowo do kopania. Kopał tak, że aż piasek wzbijał się w górę, mimo że w połowie drogi do Chińczyków był mokry i ciężki.

– Kop! – krzyknął znowu Henning. – Masz odpowiadać: „Yes Mister”!

– Yesmister – powiedział Fingal, kopiąc dalej.

Powiniennem zaraz dokopać się do tych Chińczyków, pomyślał, ale bał się przerwać, żeby położyć się i posłuchać. Wtedy kuzyn mógłby go zabić i zjeść, co było chyba nieprzyjemne. Zaczął kopać trochę w bok, gdzie łatwiej szło. Może Chiny leżały w tamtą stronę, czuł, że tak właśnie musi być.

– Kop, ty leniwy czarnuchu! – krzyczał Henning.

Ręce porządnie już bolały, zwłaszcza prawa, którą złamał na łyżwach pół roku temu, wyróciwszy się na lód. Ale nie poddawał się. Z impetem wbił łopatę w ścianę piasku.

Spory kawał zleciał z góry, ale Fingal się tym nie przejął. Zrozumiał, że się dokopał. Wreszcie. Z piasku wystawała stopa.

Stopa ze wszystkimi palcami i zapiaszczoną podeszwą. Prawdziwa chińska stopa!

– Dokopaliśmy się! – wrzasnął. – Patrz!

Dozorca niewolników wskoczył do dołu i sprawdził. Tak, cholera! Dokopali się tak głęboko, że Chińczykom widać stopy.

– Dobrze zrobione! – pochwalił.

Trochę dziwne było jedynie to – i w pewnej mierze obalało teorię, jakoby ziemia miała być okrągła – że stopa nie pojawiła się na samym dole wykopu. Wystawała z boku, a noga od tej stopy też wydawała się podążać w bok zamiast w dół.

Ale to była drobnostka.

– Odkopimy piasek i zobaczymy resztę – zdecydował Henning, który zrezygnował z roli dozorca i gotów był sam odsłonić nogę... i ciało, może wcale nie Chińczyka, tylko zwykłego umarlaka.

Co wcale nie było gorszym rozwiązaniem. Nawet jeśli za nic nie przyznałby się do tego przed kuzynem, jeszcze nigdy nie widział umarłego.

Ale właśnie w chwili, gdy wbił swoją niebieską łopatę, powodując kolejne obsunięcie piasku, jego ciocia Doris stanęła koło dołu, patrząc na nich.

Jego ciocia, mama Fingala.

Najpierw patrzyła.

Potem zaczęła krzyczeć.

Pojawiła się również jego mama i też zaczęła krzyczeć, on i Fingal zostali podniesieni z chińskiego dołu, a ze wszystkich stron nadbiegli ludzie, facetki z gołymi cyckami i facetki w biustonoszach, faceci w okularach przeciwsłonecznych i bez, w szerokich powiewających kapielówkach i niepozornych wąskich, które niemal ginęły w tyłku, a wszyscy pokazywali dół, wołając jeden przez drugiego:

– Nic nie ruszać! Nic nie ruszać! – duży gruby mężczyzna przekrzykiwał wszystkich.

– W piasku zakopane są zwłoki! Nic nie ruszać, dopóki nie przyjedzie policja!

Mama wzięła Henninga na ręce, tak samo zrobiła mama Fingala z Fingalem, a w wykopie zostały czerwona i niebieska łopatka, które wydawały się nikogo nie obchodzić.

Za to stopami (bo pojawiła się i druga, kiedy Henning ostatni raz użył łopatki) tym bardziej wszyscy się interesowali.

A więc to jednak był taki Chińczyk, pomyślał Fingal.

– Ziemia jest okrągła! – zawołał, machając do tych wszystkich ludzi, gdy mama niosła go pośpiesznie w stronę ich ręczników i koszyków z jabłkami, bułeczkami i kanapkami oraz sokiem, żółtym i czerwonym. – Cholernie okrągła!

III

21 lipca 1983

Z początku nie rozumiała, co dziewczyna mówi. Czerwone cyferki radio-budzika pokazywały 1.09; jej irytacja, że ktoś ma czelność dzwonić o tej porze, szybko zmieszala się ze strachem, że coś musiało się stać. Wypadek? Jej rodzice? Brat? Arnold i Mikaela... nie, ci spali przecież w tym samym pokoju co ona.

– Słucham? Co pani powiedziała?

– Chcę rozmawiać z profesorem Maagerem.

Uczennica. Strach zniknął. Dzwoni piętnasto – lub szesnastoletnia smarkula, dziesięć po pierwszej w nocy. „Profesor Maager?” Arnold przewrócił się na drugi bok, a z łóeczka Mikaeli dobiegły pierwsze niepozostawiające wątpliwości dźwięki. Obudziła się i za kilka sekund zaczęła wyć. Bez dwóch zdań. Tak było jeśli nie co noc, to przynajmniej co drugą.

W niektóre noce nie kończyło się na jednym razie. I to bez udziału telefonu. Złość w niej zakipiała.

– Co ty sobie wyobrażasz, żeby dzwonić w środku nocy? Mamy małe dziecko i naprawdę ważniejsze...

Zgubiła wątek. Żadnej odpowiedzi. Przez chwilę myślała, że dziewczyna odłożyła słuchawkę, ale potem jednak usłyszała lekko astmatyczny oddech. Arnold zapalił lampkę i usiadł na łóżku. Pokazała mu ręką, żeby zajrzał do Mikaeli.

– Czego chcesz? – zapytała, zaciskając zęby.

– Chcę rozmawiać z Maagerem.

– Po co?

Żadnej odpowiedzi. Mikaela zaczęła kwilić i Arnold wziął ją z łóeczka. Dlaczego, do cholery, ją podnosi?, pomyślała. Może wystarczyłby smoczek do buzi. Teraz nie zaśnie przez pół godziny.

– Jak się nazywasz? – rzuciła ostro do słuchawki. – Nie rozumiesz, że nie możesz wydzwaniać do ludzi o takiej porze?

– Muszę z nim porozmawiać. Może mu pani powiedzieć, żeby przyszedł za piętnaście minut na wiadukt?

– Na wiadukt? Oszalałaś? Co ty bredzisz, ty mała...?

Nie znalazła żadnego pasującego określenia, które nie byłoby przekleństwem, a nie chciała zupełnie stracić opanowania. Pierwszy, przeraźliwy krzyk Mikaeli przeciął pokój. Cholera jasna, pomyślała. Co się dzieje?

– Czy mogę z nim rozmawiać?

– Nie.

– To... to ważne.

– A o co chodzi?

Znowu milczenie. Zamilkła też Mikaela, która najwyraźniej była zmęczona i nie miała siły pociągnąć całego repertuaru. Dzięki Bogu, zadowolili się pójściem do taty na ręce i cichym kwileniem.

– Proszę mu powiedzieć, żeby przyszedł na wiadukt.

– Nigdy w życiu. Powiedz, jak się nazywasz i dlaczego dzwonisz w środku nocy!

Arnold usiadł na brzegu łóżka i spojrzał na nią pytająco. Odwzajemniła jego spojrzenie i w tej właśnie chwili dziewczyna zdecydowała się wyłożyć karty na stół.

– Mam na imię Winnie, spałam z nim, a teraz jestem w ciąży.

Znamienne, że Arnold i Mikaela byli tak blisko niej, gdy te słowa wwierciły się w jej świadomość. Pomyślała to wtedy i później. Że akurat w tej chwili siedzieli niemal przytuleni do siebie na jej połowie łóżka. Tata, mama i córka. Święta rodzina. Cholernie znamienne, wzięwszy pod uwagę tę przepaść, która się nagle między nimi otwarła, tak głęboka i szeroka, że wiedziała, iż nigdy jej nie pokonają. Nawet nie mieli co próbować, nie było szans. Od razu to wiedziała.

Zdumiewające, że takie myśli zdążyły przejść człowiekowi przez głowę w ułamku sekundy. Podała mu słuchawkę i zabrała mu jego córkę.

– Do ciebie.

Nie udało się jej jednak zachować spokoju. Kiedy Arnold odłożył słuchawkę i skulił się w żalną kupkę na podłodze koło łóżka, położyła Mikaelę między poduszkami i zaczęła go bić.

Zaciśniętymi pięściami, ile tylko miała sił. Po głowie i ramionach. Nie zareagował. Nie bronił się, tylko lekko schylił głowę. Szybko omdlały jej ręce. Mikaela znowu się obudziła, ale nie płakała. Usiadła i patrzyła. Ze smoczkiem w ustach, dużymi błyszczącymi oczami.

Wybiegła z sypialni, wpadła do łazienki i zamknęła się. Obmyła twarz zimną wodą, próbując powstrzymać wszystkie szaleńcze myśli, które bombardowały jej mózg.

Gapiła się, najpierw na swoją twarz w lustrze, potem na setki znajomych drobiazgów na umywalce i wokół na półkach; na tubki i fiołki, i mydła, i nożyczki, i szczoteczki do zębów, i plastry, które były czymś najcodzienniejszym ze wszystkich codziennych rzeczy w jej życiu, ale teraz nagle wydawały się nowe i obce, otoczone groźnymi i przerażającymi symbolami, których nie potrafiła odczytać. Tracę zmysły, pomyślała. Popadam w obłąd właśnie w tej przeklętej łazience, właśnie teraz... to kwestia sekund.

Wytarła twarz ręcznikiem, po czym otworzyła drzwi.

– Na wiadukcie za piętnaście minut, tak powiedziała?

Nie odpowiedział. Żadnego dźwięku, ani od niego, ani od Mikaeli. Całkowita cisza w sypialni. Odnalazła dzinsy i sweter. Niebieskie półbuty. Była ubrana i gotowa po pół minucie.

Na razie.

Pomyślała to, ale nie powiedziała.

– Zaczekaj.

Nie zaczekała. Otworzyła drzwi wejściowe, a znalazłszy się na zewnątrz, zatrzasnęła je za sobą. Wybiegła na drogę. Nocne powietrze było chłodne i przyjemne.

Była w stanie oddychać.

Kiedy wychodził od Mikaeli, nie był pewien, czy ona śpi. Ale leżąc w łóżeczku ze smoczkiem w buzi, oddychała swym zwykłym głośnym oddechem. Może mimo wszystko będzie spokojna przez jakąś godzinę.

Zamknął za sobą drzwi tak cicho, jak tylko zdołał. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wziąć roweru, ale zrezygnował. I tak nie zdąży dotrzeć pierwszy.

Podejście na wiadukt zajmie mu osiem, dziesięć minut i może tych minut potrzebował. Czy w ogóle chciał tam być pierwszy? Czy nie było tak, że potrzebował tego czasu, żeby podjąć jakąś decyzję? Dojść do jakiegoś rozstrzygnięcia.

A może wszystko było już rozstrzygnięte?

Czy nie rozstrzygnęło się, gdy przekroczył granicę, wtedy, miesiąc temu? Już wtedy. Przed sześcioma tygodniami, jeśli być precyzyjnym. Czy odtąd nie była to powoli tykająca bomba?

Czy kiedykolwiek spodziewał się czegoś innego? Że mu się uda? Że za coś takiego nie trzeba będzie zapłacić?

Spostrzegł, że prawie biegnie wzdłuż długiego ciemnego Sammersgraacht. Ani żywej duszy, nawet kotów.

Skręcił w prawo w aleję Dorffa i szedł dalej Gimsweg i Hagenstraat. Koło szkoły.

Szkoła, pomyślał. Czy jeszcze kiedyś...?

Nie zakończył myśli. Okrążył północno-zachodni narożnik boiska i jeszcze przyspieszył kroku. Zostało zaledwie kilkaset metrów.

Co się teraz stanie? Co czeka go tam na górze?

Gwałtownie przystanął. Jakby ta myśl uderzyła go dopiero teraz.

Dlaczego nie wracam do domu, żeby zająć się moją córeczką? Dlaczego?

Wahał się przez pięć sekund. Potem podjął decyzję.

Przesłuchanie Ludwiga Georga Hellera dnia 2.08.1983. Prowadzący przesłuchanie: komisarz Vrommel, komendant. Obecni: starszy inspektor Walevski. Miejsce: Komisariat Policji, Lejnice. Protokół przesłuchania: starszy inspektor Walevski. Do wiadomości: komisarz Vrommel, komendant.

Vrommel: Poproszę nazwisko i adres.

Heller: Ludwig Heller. Walders steeg 4.

V.: Lejnice?

H.: Tak.

V.: Ma pan trzydzieści lat, pracuje w miejscowej szkole Voellera. Zgadza się?

H.: Tak.

V.: Czy może pan powiedzieć, w jakich stosunkach jest pan z Arnoldem Maagerem?

H.: Jesteśmy kolegami z pracy. I dobrymi przyjaciółmi.

V.: Jak długo pan go zna?

H.: Od czternastu lat. Chodziliśmy razem do liceum.

V.: Od tego czasu utrzymujecie znajomość?

H.: Nie. Studiowaliśmy na różnych uczelniach i nie mieszkaliśmy w jednym mieście. Ale odświeżyliśmy znajomość, kiedy trafiliśmy jako nauczyciele do tej samej szkoły. Mniej więcej trzy lata temu.

V.: Czy powiedziałby pan, że zna dobrze Maagera?

H.: Tak, wydaje mi się, że tak.

V.: Wydaje się?

H.: Znam go dobrze.

V.: Jego żonę też?

H.: Nie. Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy.

V.: Ile to jest kilka?

H.: Chyba ze trzy. Kłaniamy się sobie.

V.: Sam ma pan rodzinę?

H.: Jeszcze nie. Mam dziewczynę.

V.: Rozumiem. Wie pan, co się wydarzyło?

H.: Tak.

V.: Ze Maager miał romans z uczennicą i że dziewczyna nie żyje.

H.: Winnie Maas, tak.

V.: Pan też ją uczył?

H.: Tak.

V.: Jakich przedmiotów?

H.: Matematyki i fizyki.

V.: Jakie oceny miała u pana?

H.: Oceny? Nie rozumiem, co oceny mają z tym wspólnego.

V.: Nie? Mimo to poproszę, żeby odpowiedział pan na pytanie.

H.: Szóstkę z fizyki i czwórkę z matematyki.

V.: Czyli raczej słabe?

H.: Tak. Nadal nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

V.: Czy była ładna?

H.: Słucham?

V.: Pytam, czy Winnie Maas była ładna.

H.: Nie mam zdania w tej kwestii.

V.: Czy Arnold Maager uważał, że Winnie Maas była ładna?

H.: *(Brak odpowiedzi)*

V.: Proszę odpowiedzieć na pytanie. Najprawdopodobniej będzie musiał pan odpowiedzieć na nie ponownie w czasie procesu. Lepiej więc poćwiczyć.

H.: Nie wiem, czy Maager uważał, że Winnie Maas była ładna.

V.: Ale wie pan, że mieli romans?

H.: Trudno to nazwać romansem.

V.: Tak? A jakby pan to nazwał?

H.: Uwiodła go. Popęłnił błąd. Jeden raz.

V.: Usprawiedliwia pan jego zachowanie?

H.: Oczywiście, że nie. Mówię tylko, że trudno to nazwać romansem.

V.: Czy był pan w mieszkaniu, kiedy Maager i Winnie Maas odbyli stosunek?

H.: Nie.

V.: Ale pan o tym wie?

H.: Tak.

V.: Dowiedział się pan jeszcze przed śmiercią dziewczyny?

H.: Tak.

V.: Jak i kiedy się pan dowiedział?

H.: Koledzy o tym mówili.

V.: Kto konkretnie?

H.: Cruickshank i Nielsen.

V.: Dwóch z tych, którzy 10 czerwca byli po dyskotecę na imprezie?

H.: Tak.

V.: I od nich dowiedział się pan, że Maager miał stosunek płciowy z Winnie Maas?

H.: Tak.

V.: Kiedy?

H.: Kilka dni później. W ostatnim tygodniu szkoły. Zresztą trochę później Maager sam mi powiedział.

V.: W jakich okolicznościach?

H.: Wyszliśmy na piwo. Na samym początku wakacji, gdzieś koło dwudziestego.

V.: Gdzie poszliście na to piwo?

H.: Do Lippmanna. I jeszcze kilku innych barów.

V.: I wtedy powiedział panu, że przespał się z uczennicą?

H.: Opowiedział trochę bardziej szczegółowo, jak do tego doszło. Sam fakt był mi już znany.

V.: Co powiedział?

H.: Że był pijany jak bela, że żałuje. Miał nadzieję, że nie będzie z tego afery.

V.: Afery? Co przez to rozumiał?

H.: Że ani on, ani dziewczyna nie będą mieli z tego powodu nieprzyjemności.

V.: Rozumiem. Sprawa musiała też być znana wśród uczniów?

H.: Tak przypuszczam. Chociaż nic od nich na ten temat nie słyszałem. No ale praktycznie były już wakacje.

V.: Czyli w sumie najważniejsze było, żeby nie dowiedzieli się rodzice?

H.: Można to tak ująć.

V.: Dalej. Nie było to jedyny raz, kiedy omawiał pan z Maagerem sprawę Winnie?

H.: Nie.

V.: Jakież szczegóły?

H.: Spotkaliśmy się też w połowie lipca.

V.: Kiedy i gdzie?

H.: Popłynęliśmy na wyspy. W sobotę po południu. Piętnastego albo szesnastego.

Arnold zadzwonił, że chce porozmawiać. Miałem wolny czas.

V.: A o co chodziło tym razem?

H.: O Winnie. Była w ciąży. Maager się właśnie dowiedział. V.: Jak zareagował?

H.: Był oczywiście zmartwiony. Więcej niż zmartwiony. Winnie najwyraźniej chciała urodzić dziecko.

V.: A czego chciał Maager?

H.: Chyba najlepiej, jakby sam odpowiedział.

V.: Już to zrobił. Teraz pytamy pana, panie Heller. Maager z pewnością wyraził swą opinię w czasie tej wycieczki. Mam rację?

H.: Był wytrącony z równowagi.

V.: Nie pytam, czy był wytrącony z równowagi. Pytam, co powiedział na to, że dziewczyna jest w ciąży.

H.: Chciał oczywiście, żeby usunęła. Chyba nie ma w tym nic dziwnego. Była za młoda na matkę, no i bał się, jak zareaguje żona.

V.: Naprawdę? Czyli nie powiedział żonie o skoku w bok?

H.: Nie, nie powiedział.

V.: Bał się może, że Winnie Maas powie?

H.: Możliwe. Nie rozumiem, czemu ma to służyć. Dlaczego dyskutujemy o...

V.: Nie ma znaczenia, czy pan rozumie, czy nie. Policja musi wykonywać swoją pracę. Nie sądzi pan, że było coś jeszcze, czego Arnold Maager się bał?

H.: Co by to miało być?

V.: Niech się pan zastanowi. O czym właściwie rozmawialiście?

H.: O różnych rzeczach.

V.: Na jakich wyspach byliście?

H.: Doczum i Billsmaar. Ale cały czas byliśmy na statku, nie schodziliśmy na ląd.

V.: I nie doszliście do żadnego rozwiązania problemu Maagera?

H.: Rozwiązania? Jakiego rozwiązania?

V.: Skoro pływaliście statkiem przez kilka godzin, musieliście chyba trochę spekulować? Rozważać różne aspekty?

H.: Nie rozumiem, o czym pan mówi.

V.: Mówię o sposobach wyjścia z tej sytuacji, w jaką Arnold Maager się wpakował. Czy pan przypadkiem nie udaje idioty? Myślałem, że ma pan wyższe wykształcenie?

H.: *(Brak odpowiedzi)*

V.: Bo czy nie po to chciał się z panem spotkać? Żeby uzyskać pomoc?

H.: Chciał tylko porozmawiać. Do cholery, był przecież zdesperowany.

V.: Zdesperowany? Twierdzi pan, że Arnold Maager był zdesperowany podczas waszego wypadu na wyspy w sobotę 16 lipca?

(Przerwa w przesłuchaniu. Zmiana taśmy).

Vrommel: Czy miał pan jeszcze jakiś kontakt z Arnoldem Maagerem w tygodniach poprzedzających śmierć Winnie Maas? Po szesnastym.

Heller: Dzwonił kilka razy. Zanim to się stało.

V.: Czyli kilka rozmów telefonicznych. O czym rozmawialiście?

H.: O różnych rzeczach.

V.: O Winnie Maas też?

H.: Tak.

V.: Co Maager mówił?

H.: Był zdenerwowany.

V.: Proszę szerzej.

H.: Co szerzej?

V.: Planował jakieś działania? Jak oceniłby pan jego stan psychiczny?

H.: Mówił, że nie może spać po nocach. Nie wiedział, czy ma powiedzieć żonie.

V.: Udzielił mu pan jakichś rad?

H.: Nie. Co miałbym mu powiedzieć?

V.: Czy według pana oceny był w czasie tych rozmów wytrącony z równowagi?

H.: Raczej zdenerwowany, żył w napięciu.

V.: Wie pan, czy często kontaktował się z dziewczyną?

H.: Rozmawiali. Próbował ją przekonać, żeby usunęła. Zaoferował się, że zapłaci za zabieg.

V.: Co odpowiedziała?

H.: Najwyraźniej upierała się przy swojej decyzji. Chciała urodzić.

V.: A sprawy finansowe?

H.: Nie wiem.

V.: Nie wie pan?

H.: Nie.

V.: Dobrze. Gdy dowiedział się pan, co się stało, że dziewczynę znaleziono martwą na torach, jak pan zareagował?

H.: Byłem oczywiście wstrząśnięty.

V.: Tak, oczywiście. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci. Był pan również zaskoczony?

H.: Jasne, że byłem zaskoczony. Coś potwornego.

V.: Nie spodziewał się pan takiego rozwoju wypadków?

H.: Oczywiście, że nie. Musiał całkowicie stracić głowę. Przerażające.

V.: Czy pana zdaniem to dziwne, że stracił głowę?

H.: *(Brak odpowiedzi)*

V.: Powtarzam pytanie. Czy pana zdaniem, wzięwszy pod uwagę okoliczności, to takie dziwne, że Arnold Maager stracił głowę?

H.: Nie wiem. Może nie.

V.: Dziękuję, panie Heller. Na razie to wszystko.

19 lipca 1999

Przez krótką chwilę – błyskawicznie miniony ułamek sekundy – myślała, że ją uderzy.

Nic takiego nie nastąpiło. Nawet nie drgnął. Ale fakt, że obraz w ogóle pojawił się w jej świadomości, musiał coś znaczyć. Niekoniecznie, że on był z tej gliny – z tych, co puszczają pięści w ruch, gdy zabraknie słów – coś jednak znaczył. Przeczucie? Ostrzeżenie?

A może tylko chory wytwór wyobraźni? Projekcja jej spalonego życia uczuciowego?

Cokolwiek to było, obraz się utrwalił. Wiedziała, że się utwali, zanim jeszcze ta chwila minęła.

– Co zrobiłaś? – wycedził przez zęby.

– Zostawiłam go tam i wzięłam taksówkę.

– Zostawiłaś mój samochód w lesie? Bez przypilnowania, żeby ktoś się nim zajął?

Wzruszyła ramionami. Punkt dla niego, pomyślała. Też by mnie to nie ucieszyło.

– Trabanta. Nie sądziłam, że jest wart tyle zachodu.

Puścił to mimo uszu. Zabębnił palcami po stole. Wzrok miał utkwiony gdzieś nad jej ramieniem, szczęki zaciśnięte.

– I co teraz? – zapytał.

– Załatwię to – westchnęła. – Jeśli samochód jest ci tak cholernie potrzebny, możesz na razie wynająć. Zapłacę. Niestety, trochę się wydarzyło i nie mam teraz czasu na duperele.

Pozwolił, by upłynęło kilka sekund, zanim zapytał.

– Co takiego się wydarzyło?

– Maager zniknął. Śpieszyło mi się, nie miałam głowy, żeby szukać warsztatu.

– Zniknął? Dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć? Od soboty nie ma go w zakładzie.

– Czyli i córka, i ojciec przepadli bez śladu?

– Na to wygląda.

– Policja o tym wie?

Moreno popiła sok ze szklanki, szykując się powoli do wstania.

– Jeśli wiedzą, to na pewno jeszcze nic nie zdążyli zrobić. Susły z Sidonisu obudziły się po dwóch dniach – zgłosili sprawę przed kilkoma godzinami. Muszę porozmawiać z

Vrommlem i Vegesackiem, czas wyrwać ich z letargu.

Mikael odchylił się do tyłu, patrząc na nią z lekkim uśmiechem. Nie wiedziała, jak to zinterpretować.

Łatwiej poszło ze słowami.

– Czyli pani inspektor znowu jest na służbie?

Moreno zastanowiła się przez dwie sekundy, odwzajemniając uśmiech.

– Wyprowadzę się dziś wieczorem. Dzięki za ten czas.

Uśmiech mu zastygł, ale nim zdążył odpowiedzieć, wstała i odeszła od stołu.

– Naprawię również twój traktor – zawołała przez ramię. – Na razie wynajmij sobie samochód i jedź na plażę!

Dlaczego nawet nie jest mi go żal? Pomyślała, znalazłszy się za rogiem. Czyżbym stawała się jędzą?

– Tak, słyszałem – powiedział ponuro aspirant Vegesack. – Nie do przyjęcia, że czekali tak długo z zawiadomieniem. Nie wiem wprawdzie, co mamy robić, ale to, że od samego początku jesteśmy dwa dni spóźnieni, wcale nie ułatwia sprawy.

– Najważniejsze pytanie chyba nie brzmi, co mamy robić, tylko, co się stało – zauważyła Moreno.

Vegesack zmarszczył czoło, sięgając do krawata, którego tym razem wyjątkowo nie miał. Ubrany był w granatową koszulkę polo i cienkie bawełniane spodnie o nieco jaśniejszym odcieniu – całkowicie adekwatnie do pogody i pory roku; Ewę Moreno zastanowiło, czy przypadkiem na ubiór nie miał wpływu powrót dziewczyny aspiranta. Miała nadzieję, że tak – miała również nadzieję, że worki pod oczami były jej zasługą. Przypomniała sobie aluzję, jaką uczynił przed kilkoma dniami.

– A co, pani zdaniem, się stało?

Moreno, zanim odpowiedziała, rzuciła okiem w stronę uchylonych drzwi.

– Gdzie jest komendant?

– Na plaży – poinformował Vegesack. – Coś się tam wydarzyło, możemy zająć się tym później.

Moreno skinęła głową.

– Nie ma mi pan za złe, że się do tego mieszam?

– A dlaczego miałbym mieć za złe? Pani prywatna sprawa, jak pani spędza urlop.

Postanowiła nie wnikać, jaka dawka ironii była w tym komentarzu. W każdym razie nie teraz.

– Maager albo uciekł, albo coś mu się stało. Co, pana zdaniem, jest bardziej prawdopodobne?

Vegesack tarł opuszkami palców skronie, jakby zdobywał się na ogromny wysiłek myślowy.

– Nie mam pojęcia – podsumował. – Skąd u licha mam wiedzieć? Chociaż zupełnie nie pojmuję, dlaczego komuś miałoby zależeć na tym, żeby się go pozbyć? Bo to pani sugeruje?

Moreno wzruszyła ramionami.

– Dlaczego miałby uciekać? Czy to ma więcej sensu?

Vegesack westchnął.

– Chce pani trochę wody mineralnej?

– Chętnie.

Zniknął w kuchennej wnęce, wrócił z plastikową butelką i dwiema szklankami.

– Brak płynów – wyjaśnił. – Cierpię na odwodnienie. I brak snu.

Ale nie brak miłości, pomyślała Moreno, gdy nalewał wody. Też by mi nie brakowało, gdybym nie była tak cholernie nadęta.

– Jeśli jednak – powiedziała – czysto hipotetycznie przyjmiemy, że oddalił się z własnej woli, to gdzie trafiamy?

– Musiał mieć jakiś powód – stwierdził Vegesack.

– Właśnie. Jaki?

– Nie opuszczał zakładu przez szesnaście lat.

– Zgadza się.

– To musi... musi mieć związek z wizytą córki.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– To chyba dość oczywiste... choć Bóg jeden raczy wiedzieć, jaki to związek.

– Odwiedziła go w poprzednią sobotę. Dlaczego czekał cały tydzień?

Vegesack znowu potarł skronie. Moreno zastanawiała się – choć nie zapytała, czy przypadkiem nie chodził na jakiś kurs jogi, gdzie nauczono go w ten sposób stymulować dopływ krwi do mózgu. W każdym razie czynność wyglądała bardziej na świadomą niż bezwiedną.

– Może jego ucieczka ma nie tyle związek z wizytą córki, ile z jej zniknięciem – rozstrzygnął w końcu Vegesack.

– Też tak sądzę. A skąd Maager dowiedział się o zniknięciu Mikaeli?

Vegesack przerwał masaż skroni.

– Cholera. Ode mnie oczywiście. Powiedziałem mu, kiedy u niego byłem i próbowałem z nim rozmawiać.

– Kiedy pan tam był?

Aspirant liczył w pamięci, tym razem bez zewnętrznej stymulacji.

– Chyba w środę. Tak, w środę.

– Zgadza się – potwierdziła Moreno. – Byłoby dobrze, gdyby pan sobie przypomniał, co dokładnie mu powiedział. I jak Maager zareagował.

Vegesack rozłożył ręce, omal nie przewracając butelki z wodą.

– W ogóle nie zareagował. Na nic. Powiedział „dzień dobry”, kiedy wchodziłem, i „do widzenia”, kiedy wychodziłem. Właściwie nic więcej... ale słuchał, rzeczywiście słuchał. Powiedziałem mu, o co chodzi, że Mikaela najprawdopodobniej zaginęła. Że wiemy, że jest jego córką... że go odwiedziła i że matka Mikaeli przyjechała do Lejnic, żeby ją odszukać. Próbowałem oczywiście dowiedzieć się, co jej powiedział... między innymi o tej starej historii. Czy Mikaela była wzburzona albo coś w tym rodzaju. Najwyraźniej rozmawiali przez kilka godzin na spacerze w parku.

– Ale nie odpowiadał?

– Nie.

– A jakie pan odniósł wrażenie? Poruszyło go zaginięcie córki? Vegesack przez chwilę wypatrywał przez okno.

– Chyba tak. Myślę nawet, że zamknął się w sobie właśnie przez to... może co nieco by powiedział, gdybym nie ujawnił od razu tego z Mikaelą. Nie wiem, na Boga. Nie siedziałem u niego dłużej niż dwadzieścia minut. Myśli pani, że pojechał jej szukać?

Moreno wypła łyk wody.

– Nie wiem, co mam myśleć – przyznała. – Równie dobrze mógł paść ofiarą czyjegoś działania. Pan rozmawiał z nim w środę, ale zniknął z zakładu dopiero w sobotę. Na co czekał? A może przyczyny trzeba szukać jeszcze w innych wydarzeniach, na przykład z czwartku lub piątku. Powinnam wywiedzieć się więcej, kiedy tam byłam, ale przyszło mi to do głowy dopiero w drodze powrotnej.

– Dzisiaj jest poniedziałek – zauważył Vegesack – co oznacza, że Maager jest poza zakładem już dwa dni. Chyba odwykł od przebywania wśród ludzi. Czy nie trochę dziwne, że nikt nie zwrócił na niego uwagi?

Moreno wzruszyła ramionami.

– A skąd pan wie, że nie zwrócił?

Vegesack nie odpowiedział.

– W tej historii jest więcej trochę dziwnych rzeczy – ciągnęła Moreno. – To dlatego nie mogę spokojnie spędzać urlopu. Dziewczyna śniła mi się dwie noce z rzędu. Przez tę sprawę właśnie zerwałam ze swoim chłopakiem... nie wiem, czy to nie jest choroba zawodowa? Jak pan myśli?

Dlaczego opowiadam o tym Vegesackowi? Pomyślała, wnosząc z lekkiego rumieńca i podniesionych brwi, że okazała mu zaufanie, z którym nie bardzo umiał sobie poradzić.

– Ojej – skomentował dyplomatycznie.

– Właśnie – powiedziała Moreno. – Zdecydowanie za mocno się w to uwikłałam, ale przynajmniej się potwierdziło, że coś jest na rzeczy. Po Maagerze nie było widać, żeby mu chodziły po głowie myśli o ucieczce?

Vegesack potrząsnął głową.

– A jak właściwie przyjął wiadomość, że diabli wiedzą, gdzie jest jego córka?

– Żeby chociaż oni – powiedział Vegesack. – To musi być nie do zniesienia. Mam na myśli Maagera... nawet jeśli wziąć poprawkę, że jest mordercą i w ogóle. Najpierw córka pojawia się po szesnastu latach, potem mija kilka dni i dziewczyna przepada bez śladu. To musi przytłaczać.

– Przytłacza – potwierdziła Moreno. – Wyświadczyłby mi pan jeszcze jedną przysługę?

– Oczywiście – Vegesack na nowo wyglądał usłużnie. – Jaka?

– Proszę się dowiedzieć, czy Maagera ktoś jeszcze odwiedzał albo do niego telefonował między środą a sobotą w zeszłym tygodniu.

– Okej. Zadzwoń i porozmawiam z nimi. Jak się z panią później skontaktować? Zajrzy pani tutaj?

– Na pewno się odezwę – westchnęła Moreno. – Nie ma zgłoszeń w odpowiedzi na komunikat o zaginięciu Mikaeli?

Vegesack grzebał przez chwilę w papierach na biurku.

– Dwa. Jedno możemy od razu skreślić, od niejakiego pana Podagera, który lubi pomagać policji w takich sytuacjach. Ma ponad osiemdziesiąt pięć lat i widzi wszystko, co się da, chociaż od dwudziestu lat jest prawie ślepy.

– Rozumiem. A drugie?

– Jakaś kobieta z Frigge – poinformował Vegesack, odczytując kartkę. – Pani Gossenmühle, zadzwoniła do tamtejszego komisariatu, chyba wczoraj wieczorem... tak... twierdząc, że widziała dziewczynę pasującą do fotografii Mikaeli Lijphart. Na dworcu

kolejowym. Mieli ją przesłuchać dziś przed południem, pewnie się odezwą.

Moreno zastanawiała się przez chwilę.

– Jak daleko jest do Frigge?

– Sto pięćdziesiąt kilometrów, mniej więcej.

Moreno skinęła głową.

– Czyli pozostaje czekać. Zmieniając temat, zna pan jakiś dobry warsztat w mieście?

– Warsztat samochodowy?

– Tak. Niezbyt drogi. Chodzi o trabanta.

– Trabanta? Nie chce chyba pani powiedzieć, że jeździ trabantem?

– Jeździłam. No więc?

– Hm... – zastanowił się Vegesack. – Kluivert, solidna firma.

Dał jej numer, jak również numer do pensjonatu z dość rozsądnymi cenami mimo letniej pory. Z tego, co wiedział, bo sam oczywiście nigdy nie mieszkał w pensjonacie w Lejnicach.

Inspektor Moreno mogła załatwić te dwie sprawy z telefonu w komisariacie, ale coś jej podpowiedziało, że czas ponownie zakreślić tę dawną granicę między życiem zawodowym a prywatnym.

A przynajmniej naszkicować, pomyślała z gorzką autoironią, podając Vegesackowi rękę i dziękując za pomoc.

– Aha – przypomniało jej się, gdy była już w drzwiach. – Co takiego stało się na plaży? Powiedział pan, że Vrommel tam pojechał.

Vegesack ponownie się zmarszczył.

– Nie wiem dokładnie. Znaleźli jakieś zwłoki.

– Zwłoki?

– Tak. Zdaje się, że dzieciaki je wykopały, bawiąc się w piasku. – I co?

– Nic więcej nie wiem – usprawiedliwił się Vegesack, spoglądając na zegarek. – Dowiedzieliśmy się trochę ponad godzinę temu. Vrommel się tym zajął, zdaje się, że są tam też ludzie z Wallburga... technicy i reszta, my nie mamy przecież własnych ekip...

Zamilkł. Zastygł z rękami lekko uniesionymi, jakby nagle coś do niego dotarło, gdy jeszcze raz chciał potrzeć sobie skronie.

– Boże święty! Nie myśli pani chyba...?

– Nic nie myślę. Mężczyzna czy kobieta?

– Nie mam pojęcia. Skunks powiedział tylko, że zwłoki. Trup.

Skunks? Pomyślała Moreno, zawahawszy się z ręką na klamce.

– Zjrę tu jeszcze – powiedziała, po czym wysłała na słońce.

Gdy doszła do tawerny Floriana – lekko podupadłego lokalu, który według Mikaela wyglądał tak samo od wczesnych lat pięćdziesiątych i najwyraźniej starał się utrzymać ten image – było pięć po drugiej i nagle uświadomiła sobie, że nic nie jadła od porannej lichej kromki z serem. Piła wprawdzie dużo więcej – sok i wodę, wodę i kawę – ale burczało jej w brzuchu, więc uznała, że pora zrobić z zębami coś innego niż tylko nimi zgrzytać. Skoro już człowiek obdarzony był liczbą trzydziestu dwóch sztuk. A może tylko dwudziestu ośmiu?

Nie przystąpiła jednak do liczenia. Usiadła przy stoliku pod parasolem na tarasie. Poprosiła o chleb czosnkowy, sałatkę z owoców morza i książkę telefoniczną. Tę ostatnią, by sprawdzić, czy w tym słonecznym sezonie warsztaty nie były przypadkiem zamknięte na cztery spusty, a pensjonaty przepełnione.

Na szczęście nie. Ani jedno, ani drugie. W pensjonacie „Dombrowski” burkliwa kierowniczką obiecała trzymać dla niej pokój (na trzy noce, w sezonie nie wynajmowali na krócej) do dziewiątej. Bez balkonu i specjalnych widoków, ale cena, bez wątpienia, nie była nieprzyzwoita. Nie pozostawało nic innego, jak wziąć i podziękować.

Wzięła i podziękowała. Poniedziałkowa, wtorkowa i środowa noc, pomyślała. W czwartek jadę do domu. Doskonale się składało, do tego czasu sprawa z pewnością się wyjaśni na tyle, że Vrommel (Skunks?) i Vegesack będą mogli sami ją poprowadzić.

Egon Kluivert z warsztatu „Kluivert, Kluivert i synowie” miał obecnie pełne ręce roboty, a jak utrzymywał, inni mechanicy w warsztacie też, ale po pewnych targach obiecał (choć za Boga nie pojmuje, czemu taka ładna dziewczyna – o tak, to można usłyszeć po głosie, jeśli człowiek umie słuchać i nie wypadł sroce spod ogona – jeździ tą przeklętą puszką sardynek), że naprawi zapłon i odstawi trabanta do Czandali w Port Hagen. Nie ma problemu, wie, o jaki dom chodzi. Jeśli nie dziś wieczorem, to najpóźniej jutro przed południem, komu ma wysłać rachunek?

Moreno powiedziała, że do środy wstąpi i zapłaci.

Czy nie potrzebowała nowego samochodu? Zainteresował się. Przypadkiem stało u niego na podwórzu kilka cacek. Ledwie dotarte, praktycznie za bezcen.

Na razie nie potrzebowała. Ale będzie miała na uwadze, jeśli coś się zmieni.

Przyniesiono jedzenie; w czasie posiłku wstąpiła w nią lekka otucha, że jednak sprawy

mogą układać się pomyślnie, mimo że człowiek raczej nie miał prawa tego oczekiwać. A już na pewno nie żądać.

Do kawy zamówiła pięćdziesiątkę calvadosu, żeby przypomnieć sobie, że poniekąd nadal ma urlop, i znowu sięgnęła po telefon. Tym razem zadzwoniła do swej przyjaciółki i powierniczki Clary Mietens.

Odebrała automatyczna sekretarka. W ciągu trzydziestu pięciu sekund Moreno przedstawiła pokrótce sytuację, zapowiedziała, że prawdopodobnie wróci do Maardam pod koniec tygodnia i zapytała, czy kilkudniowy wyjazd na rowery w rejon Sorbinowa nadal jest aktualny. Gdzieś w przyszłym tygodniu?

Zostawiła numer swojej komórki z prośbą o natychmiastową odpowiedź, jak tylko Clara odsłucha wiadomość i przemyśli sprawę.

Muszę się przejść, pomyślała inspektor Moreno. Inaczej głowa mi pęknie.

Zapłaciła, a potem skierowała kroki ku morzu.

Plaża była tak samo pełna ludzi jak w upalne dni zeszłego tygodnia, ale gdy tylko Moreno minęła wzniesienie, dostrzegła czerwono-białą policyjną taśmę.

Kawałek na północ, w pewnym oddaleniu od wody (trwał odpływ i zaczęły wyłaniać się błyszczące grzbiety piaszczystej łachy) odgrodzono teren mniej więcej wielkości połowy boiska piłkarskiego. Taśma okalająca go czworobokiem powiewała łagodnie w słabym wietrze. Moreno pomyślała, że dawno nie widziała czegoś tak surrealistycznie dziwnego.

Zarówno po północnej, jak i południowej stronie – w zasadzie jak okiem sięgnąć – bawili się ludzie; kąpali się, opalali, grali w badmintona, w nogę, rzucali frisbee; w swobodnych strojach i nastrojach. Lecz wewnątrz ponurego kwadratu śmierci panowała inna atmosfera. Umundurowani technicy, pocąc się, krążyli na czworakach w poszukiwaniu śladów, a trzech kolegów z psami patrolowało wzdłuż taśmy, by nie dopuszczać ciekawskich, podczas gdy drobny piasek nieubłaganie wsypywał się im do regulaminowych czarnych półbutów.

Miejsce znalezienia zwłok, położone mniej więcej w środku tej połówki boiska, oznaczone było dodatkową taśmą, ale najwyraźniej już je przeszukano. Obszukiwacze miejsca zbrodni – doliczyła się pięciu, do tego stojący szef – tworzyli teraz okrąg z dobre dziesięć metrów od wykopu.

Bo to był wykop. Moreno wiedziała, jak szukano: zaczynano oczywiście od środka i posuwano się na zewnątrz. Zbierano wszystko, co znaleziono w piasku i co mogło być wyrzucone przez człowieka, wkładano do foliowych woreczków i pieczętowano. Niedopałki papierosów. Kawałki papieru. Gumy do żucia. Kapsle. Prezerwatywy i spalone zapalki.

W celu znalezienia śladów. A najlepiej narzędzia zabójstwa. Zanim jeszcze zaczęła schodzić ze wznesienia w ciepłym osuwającym się piasku, wiedziała już, że chodzi o zabójstwo. To była ta procedura. Te środki.

Ale najwięcej powiedziało jej wrażenie, które wywołało poczucie surrealizmu. Dziwacznej rzeczywistości.

Inspektor Moreno nie pierwszy raz była na miejscu zbrodni i wiedziała, co mówią jej oczy.

Jeden z trzech pilnujących z psami miał niebieskie oczy i jego wybrała.

Okazało się, że nazywa się Struntze. Pozwoliła mu w spokoju przestudiować legitymację, po czym poinformowała, że właśnie włączono ją do sprawy, więc zjawiała się, żeby zorientować się w sytuacji. Gdzie znajdował się komisarz Vrommel? Myślała, że go tu zastanie.

Zabrał się stąd przed kwadrans, oznajmił Struntze. Ma wrócić.

Moreno wyjaśniła, że to bez znaczenia, bo na pewno później się z nim spotka. Teraz chciała się dowiedzieć, co się stało.

Posterunkowy Struntze był nader skory do pomocy i wyważonym teatralnym szeptem wprowadził ją w sytuację.

Morderstwo. Wszystko na to wskazywało.

Ofiarą był mężczyzna w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat, według wstępnych oględzin lekarskich.

Leżał zakopany przypuszczalnie około tygodnia. Plus minus kilka dni, trudno było ustalić dokładnie na tak wczesnym etapie.

Zabił go cios ostrym przedmiotem prosto w oko. W lewe oko. Zginął na miejscu. Góra po kilku sekundach.

Przypuszczalnie w pobliżu miejsca, gdzie go zakopano. I gdzie znaleziono.

Dwóch małych chłopców, czy to nie straszne?

– Straszne – zgodziła się Moreno.

– Odbije się to na nich na całe życie – stwierdził Struntze.

– Oglądają sto dwadzieścia zabójstw tygodniowo w telewizji – zauważyła Moreno. – No i czas potrafi wyleczyć niejedną ranę. Ale kto to jest? Ten zabity.

Jeszcze nie wiadomo, wyjaśnia Struntze. Mężczyzna był ubrany w dżinsy i bawełnianą koszulę z krótkim rękawem, ale nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Pieniądzy też nie, w ogóle nie miał nic w kieszeniach. Wzrost około 1,75 m. Ciemny szatyn. Dość mocno

zbudowany. Wiek, według Struntzego, trzydzieści pięć plus minus pięć lat.

– Narzędzie zbrodni? – zapytała Moreno.

Nie wiadomo. Coś ostrego. Przeszło przez oko i wbiło się w mózg. Oczywiście nie znaleziono.

Ktoś rzucił, że w grę może wchodzić śledź do namiotu. Albo nożyczki.

Śledź? Pomyślała Moreno. W takim razie zbrodnia raczej nieplanowana.

– Coś znaleźli? – zapytała na koniec, wskazując w stronę techników na czworakach.

Struntze pogłaskał psa i pozwolił sobie na ponury uśmiech.

– Piasek – powiedział. – Cholernie dużo piasku.

Było kilka minut po czwartej, kiedy Moreno zostawiła w spokoju Struntzego i jego Kinga. Po krótkiej wewnętrznej dyskusji zdecydowała się pójść na piechotę wzdłuż plaży z powrotem do Port Hagen. Było to przynajmniej siedem, osiem kilometrów, a więc ze dwie godziny marszu, ale już wcześniej doszła przecież do wniosku, że potrzebuje ruchu. Nic, tylko skorzystać z okazji.

Musiała też pomyśleć. Dojść do jakichś wniosków na temat Mikaela i paru innych rzeczy. Na przykład jej dobrowolnego włączenia się w sprawę Lijphart-Maager. Jeżeli to w ogóle była sprawa? W każdym razie mało co nadawało się lepiej do uporządkowania zagmatwanych myśli niż długa wędrówka brzegiem morza.

Tak mawiał Van Veeteren.

Jak człowiek nie ma samochodu, żeby pojeździć bez celu i pomyśleć, można zawsze spróbować z morzem. Jeśli jakieś jest w pobliżu.

Może akurat dziś było na to za gorąco, ale co tam, pomyślała. Dotarła do odsuwającej się wskutek odpływu linii wody, włożyła sandały do plecaka i ruszyła boso po wilgotnym zbitym piasku, przyjemnie równym i chłodnym. Nic dziwnego, przed niecałą godziną było to morskie dno. Gdyby chciała się jeszcze bardziej ochłodzić, wystarczyło wejść nieco głębiej; trochę słonej wody nie mogło zaszkodzić wypłowiałej bawełnianej sukience, którą miała od dziesięciu lat lub dłużej, a jeśli nawet, nie było czym się przejmować.

I całą drogę piaszczysta plaża. Niezmienne morze, niezmiennie wydmy. Niebo, morze i ląd. Dlaczego nie szłam tędy wcześniej? Szkoda.

Potem przystąpiła do myślenia. Zaczęła od tego, co nasunęło się jej pierwsze. Mikael.

Dlaczego tak się skończyło? Zapytała samą siebie z bezstronną otwartością. Z początku szło przecież tak dobrze. Twierdził, że ją kocha, a ona zaledwie przed kilkoma dniami skłaniała się ku temu, żeby razem z nim zamieszkać. A zatem dlaczego?

Nie było dobrej odpowiedzi, co od razu sobie uświadomiła. A w każdym razie nie jednoznacznej, ale skoro miała przez dwie godziny iść brzegiem wody, mogła wysilić się i chwilę nad tym zastanowić.

Czy była nim zmęczona? Tak po prostu? Czyżby ten banalny powód był nagą prawdą?

Czy w ogóle gotowa była dzielić swoje życie z drugą osobą – już nieważne z kim? Zadała sobie pytanie w najlepszej manierze czasopism dla dziewcząt. Może zresztą też dla kobiet, dawno nie czytała ani jednych, ani drugich.

Czy była gotowa? Tak Bogiem a prawdą, nie wydarzyło się nic rozstrzygającego między nią a Mikaelem. Nie nastąpiło dosłownie nic, co uzasadniałoby taką pośpieszną wypowiedź. Nie uderzył jej, chociaż przez króciutką chwilę myślała, że to zrobi.

Nie był męską świnią. Nie był tępy. Nie ujawniły się ukryte nieczne cechy.

Żadnego trupa w szafie, żadnych nagłych tąpnięć charakteru. Jedynie stary trabant.

Po prostu się zmęczyła? Tylko tyle?

Ich związek był całkowicie w porządku, pod każdym względem, a przynajmniej nie potrafiła wskazać, gdzie nie był, ale może właśnie to stanowiło najlepszą konkluzję. Że był w porządku.

Moja stara lodówka też jest w porządku, pomyślała. A wcale nie chcę mieć z nią dzieci.

Wymagało się czegoś więcej niż tylko braku minusów.

Cholerne szczęście, że zostawiłam tę kupę złomu koło Sidonisu, pomyślała. Inaczej nie doszłoby do przesilenia.

Syndrom trabanta?

Miała trudności z powstrzymaniem się od śmiechu, kiedy o tym pomyślała. Jędza? Zapytała się później. Czy naprawdę stają się jędzami? Clara Mietens od wielu lat świadomie przyjmowała tę rolę wobec płci przeciwnej, ale Ewa nigdy nie zawracała sobie głowy próbą zrozumienia czy bliższej analizy takiego postępowania. Właściwie teraz też nie musiała. Trudno jej było wyobrazić sobie całe życie bez mężczyzny, ale resztę urlopu – te niecałe trzy tygodnie – całkiem swobodnie.

Nie było nad czym medytować. Czas spędzony sam na sam z Mikaelem należało uznać za wspaniały i – zdecydowała – również nie wymagający analizy. Dlaczego kobiety zawsze muszą walczyć swoje domniemane życie uczuciowe? Ubierać wszystko w słowa. (Może to wyraz ciągłych wyrzutów sumienia?) Wystarczyło przecież odczuwać; ponieważ kobiety rzeczywiście były większymi grzesznikami niż mężczyźni, jeśli chodziło o racjonalizowanie uczuć – Clara nazywała to ciosaniem – ta myśl uderzyła ją nie po raz

pierwszy. Faceci milczeli i mocno przeżywali.

Na pewno milczeli.

Nie składała mu żadnych obietnic, do niczego się nie zobowiązywała. Więc o co chodzi?

Czyli wolna kobieta. Pierwsza w historii. Tak, tak, alleluja.

Mam nadzieję, że nie czeka na mój powrót, przeraziła się. Z butelką winą i jakimś nowym rarytasem. Nie mam dziś siły na uczuciowe burze i dramatyczne rozstania.

Słońce schowało się za chmurami. Przesunęła okulary przeciwsłoneczne na czoło, porzucając rozważania o Mikaelu.

Spostrzegła, że zwolniła kroku, jak tylko przestała o nim myśleć. Jakby pozbyła się irytacji, która narzucała niepotrzebnie szybkie tempo.

Jakby sprawa numer dwa – Mikaeli Lijphart i jej rozbitej rodziny – wymagała większego i pełniejszego zaangażowania. Może zresztą nie było w tym nic dziwnego.

Płacząca dziewczyna w pociągu. Przestraszona matka.

Ojciec odsunięty i zapomniany na tak długo.

I ta ohydna historia z nim i uczennicą Winnie Maas.

Konsekwencje po szesnastu latach? Czy to możliwe?

Z drugiej strony: jaki byłby inny związek?

Jak inaczej można wyjaśnić, że Mikaela Lijphart i jej ojciec przepadli bez śladu w odstępnie zaledwie kilku dni? Po pierwszym spotkaniu od szesnastu lat. Czy właściwie pierwszym spotkaniu w ogóle, bo Mikaela miała zaledwie dwa lata, gdy Maagera zamknięto w zakładzie. Wątpliwe, żeby go pamiętała.

Pytanie brzmiało: czy te zniknięcia miałyby się w ogóle nie łączyć?

Nigdy w życiu, stwierdziła Ewa Moreno. Siedmiolatek dostrzegłby, że się łączą.

Jak?

Skręciła o trzydzieści stopni, wchodząc po kolana w wodę. Przyjemnie chłodną, ale to nie pomogło. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Jaki to był związek? Jak wyglądała ta cienka nitka łącząca rok 1983 i 1999?

Jak miała dojść po niej do kłębka?

Im więcej myślała o tej sprawie, tym bardziej oczywiste stawało się dla niej jedno. Maager podczas tego spaceru w parku koto Sidonisu w poprzednią sobotę musiał opowiedzieć coś, co miało zasadnicze znaczenie. Coś brzemiennego w skutki.

Coś związanego z Winnie Maas.

Coś nowego??

Znaki zapytania, same znaki zapytania. Choć Mikaela przed spotkaniem z ojcem nigdy nie słyszała powszechnie znanej wersji tej historii, więc w jej uszach wszystko – każde wstydlive przyznanie się, każde przynoszące ujmę uchylene tajemnicy – musiało być nowe i świeże niezależnie od tego, na ile pokrywało się ze znaną wersją wydarzeń.

Czyli nie można było rozstrzygnąć, stwierdziła Moreno. Spekulacje, czy Maager powiedział coś nowego, czy nie, nic nie dadzą.

I dokąd udała się dziewczyna, kiedy w niedzielę rano pojechała autobusem ze schroniska do Lejnic? Odwiedziła kogoś? Jeśli tak, kogo?

Pytania mnożą się szybciej niż króliki, pomyślała Moreno, obmywając twarz wodą. Nie zdobędę się na żadną hipotezę? Jakies przypuszczenia? Na niczym nieoparte domysły? O co tu właściwie chodzi?

Niestety z koncepcjami było kiepsko. Za to pojawiło się nowe pytanie z zupełnie innej beczki.

Zakopane zwłoki?

Trzydziestopięcioletni mężczyzna. Leżał od tygodnia, jeśli Struntze mówił prawdę. Oznaczało to z grubsza poprzednią niedzielę.

Czy jest jakiś związek między tymi sprawami? zastanowiła się jeszcze raz Moreno.

Jaki, cholera, związek? Pić mi się chce.

Przeszła przez suchy rozgrzany piasek i kupiła coca-cole w małym kiosku, umieszczonym chyba strategicznie, żeby uzupełniać niedobór płynów u wędrujących między Lejnicami a Port Hagen.

Poszła z powrotem na ukos w stronę wody. Opróżniła puszkę i wyrzuciła ją do kosza na śmieci ustawionego pewnie przez tego samego stratega.

Spojrzała na zegarek. Za dziesięć piąta. Wydawało się jej, że w dali, w rozedrganym popołudniowym świetle dostrzega wysunięty w morze pirs i statki koło Port Hagen.

Jeszcze jakąś godzinę, oceniła. Chyba że to fatamorgana. Nic nie wymyślę. I nie mam ochoty zacząć się zastanawiać również nad Lampem-Leermannem. Wszystko, tylko nie on.

Co takiego powiedział Vegesack? Że mieli tutaj dwa morderstwa przez trzydzieści lat?

Teraz przez tydzień mieli dwa zaginięcia i jedne niezidentyfikowane zwłoki. Chyba były to okoliczności warte bliższego zbadania?

Zamiast męczyć się dalszymi retorycznymi pytaniami inspektor Moreno zaczęła rozważać, jakie działania może podjąć w najbliższych dniach. Skoro już miała zostać do czwartku.

Przecież musiała.

Choćby po to, żeby zapłacić za naprawę samochodu swojego byłego chłopaka (narzeczonego? faceta? kochanka?).

Nie czekał na nią, kiedy w końcu – bardziej wyczerpana i spragniona, niż mogła sobie wyobrazić wychodząc – dotarła do Czandali.

Było pięć po szóstej. Trabant w kolorze khaki stał przed furtką z kopertą włożoną za wycieraczkę i Montezumą śpiącą na dachu.

Mikaela nie było w domu, wiedziała, że siedziałby na tarasie. Wzięła rachunek, pozwoliła Montan spać dalej i weszła do środka, żeby spakować swoje rzeczy.

Żadnego listu ani wiadomości. Na dobrą sprawę nic, co by wskazywało, że w ogóle wrócił z Lejnic.

No i już, stwierdziła Moreno, kiedy skończyła się pakować. To by było na tyle. Przez kilka chwil stała w kuchni, rozważając, czy czegoś nie napisać, ale zrezygnowała.

Nie mam natchnienia, pomyślała.

Za to potrzebuję wytchnienia. Jestem brudna i zmęczona, mam nadzieję, że prysznic w tym luksusowym pensjonacie jest sprawny.

Wzięła torbę i plecak i ruszyła w stronę przystanku. Była za piętnaście siódma, autobus odjeżdżał za pięć, jeśli dobrze przeczytała na rozkładzie.

To musi być ten sam autobus, który przejeżdża koło schroniska, uderzyło ją. Ciekawe, ilu kierowców pracuje na tej linii?

20 lipca 1999

Dziewczyna aspiranta Vegesacka nazywała się Marlene Urdis. Poprzedniego wieczoru obiecali sobie uroczyście, że tej nocy już nie będą się kochać. Wystarczyły dwie noce z rzędu i raz po południu.

Tak jak zaplanowali, położyli się i zasnęli jeszcze przed jedenastą, ale kilka godzin później Marlene przysunęła się trochę zbyt blisko i znów się nie oparli. Jakby ich coś opętało. Jakby trzy tygodnie rozłąki (Marlene razem z przyjaciółką była na Sycylii; kombinowany roboczo-wypoczynkowy wyjazd, którego część kosztów pokrył szykowny miesięcznik o podróżach, architekturze wewnątrz i podobnej tematyce) zostawiły pewną pustkę. Erotyczną próżnię, którą trzeba było wypełnić i zrównoważyć. Nadgonić każdą straconą okazję; im prędzej i intensywniej, tym lepiej.

Żyje się bowiem tylko raz, a i to nie w pełni.

Nie da się zaprzeczyć, że czuję się trochę dziwnie, pomyślał Vegesack, kiedy o wpół do ósmej rano wypił drugą filiżankę czarnej kawy, i wyczerpany. Jeśli to potrwa, będzie chyba zmuszony pójść na zwolnienie. Marlene miała wakacje – studiowała architekturę – i mogła przedpołudniami się wysypiać; on musiał siedzieć w komisariacie, walcząc wszystkimi dostępnymi środkami ze snem.

To znaczy kawą. *The heartblood of tired men*, jak powiedział wielki Chandler.

No, jeszcze było morderstwo, przypomniał sobie.

Może w walce ze snem pomagała też ładna pani inspektor. Ta, która roztrząsała starą sprawę Maagera, jakby można było w niej coś znaleźć. Nieważne, dobrze, że miał się czym zająć, podsumował optymistycznie, wyciągając rower z komórki. Może uda mu się nie zasnąć i tego dnia.

Jeśli nie wywróci się na rowerze, jadąc do komisariatu, ale dotąd mu się to nie zdarzyło.

Komendant Vrommel jeszcze się tego dnia nie zjawił, ale pani Glossmann z sekretariatu i jeden z posterunkowych, Helme, byli jak zwykle obecni.

Oraz blondynka po trzydziestce, która w ostatnim tygodniu musiała leżeć na słońcu

kilkaset godzin. Siedziała naprzeciwko Helme przy jego biurku, zagryzając wiśniowoczerwone wargi, podczas gdy Helme pisał coś w notesie.

– Dobrze, że jesteś – powiedział, kiedy zobaczył Vegesacka w drzwiach. – To jest pani Damita Fuchsbein. Czeka od piętnastu minut, ale pomyślałem, że najlepiej będzie, jak ty się tym zajmiesz albo Vrommel.

Vegesack podał jej rękę, przedstawiając się.

– O co chodzi? – zapytał.

– O tego zabitego na plaży – szepnął teatralnym szeptem Helme, zanim Damita Fuchsbein zdążyła uwolnić dolną wargę.

– Rozumiem – powiedział Vegesack.

Spojrzał na zegarek. Dopiero dochodziła ósma. Vrommel rzadko zjawiał się przed dziewiątą. Może dzisiaj przyjdzie trochę wcześniej, biorąc pod uwagę sytuację i okoliczności... miała się też odbyć jakaś odprawa z kolegami z Wallburga. Ale po co czekać?

Tak, po co? Poprosił kobietę, żeby przesiadła się do jego biurka. Zapytał, czy chce kawy, ale potrząsnęła odmownie głową. Suche loki zaszeleściły lekko.

– A więc? – wcisnął długopis. – Co ma nam pani do powiedzenia?

– Chyba wiem, kto to jest.

– Mężczyzna z plaży?

– Tak. Usłyszałam o tym wczoraj wieczorem, mówili, że jeszcze go nie zidentyfikowaliście?

– To prawda – przyznał Vegesack, zastanawiając się, czy już ją kiedyś widział. Raczej nie, ale wcale nie był tego pewny. Jej skóra i włosy przypuszczalnie przyjmowały zupełnie inne kolory w pozostałych porach roku. Damita Fuchsbein wydawała się mieć jedno hobby, które było na czasie i z którym nie miała zamiaru chować się po kątach. Ciało. Swoje własne.

– Więc kto to jest? – zapytał.

Odchrząknęła, mrugając powiekami.

– Tim Van Rippe. Zna go pan?

Vegesack zapisał nazwisko w notesie. Zastanowił się, po czym odpowiedział, że chyba nie zna.

– Mieszka w Klimmerstoft. Pracuje w Klingmannie. Jak mam to ująć, właściwie nie jesteśmy parą, ale spotykamy się od czasu do czasu. Umówiliśmy się, że w poniedziałek pojedziemy do Wimsbaden... na festiwal muzyki... ale się nie pojawił. Dzwoniłam, próbowałam go złapać przez cały tydzień, ale nie odbiera telefonu.

Głos jej drżał i Vegesack zrozumiał, że walczy z płaczem pod swoją zmienną

powierzchnością.

– Tim Van Rippe? Ma pani jakieś powody przypuszczać, że to właśnie on? Poza tym, że trudno się było z nim skontaktować?

Damita Fuchsbein wzięła głęboki oddech i poprawiła fryzurę.

– Rozmawiałam z kilkoma innymi osobami, które również próbowały go złapać. Wygląda na to, że nikt go nie widział od niedzieli... od poprzedniej niedzieli.

– Czy ma rodzinę?

– Nie.

– Może coś pani wie o bliższych krewnych?

– Wiem, że ma brata w Aarlach. Jego ojciec nie żyje, ale matka chyba tak. Chociaż też tutaj nie mieszka. Zdaje się, że wyszła ponownie za mąż w Karpaczu.

Vegesack zanotował.

– Hm. Chyba będziemy musieli pojechać i zobaczyć na miejscu. Czuje się pani na siłach? To może być trochę nieprzyjemne.

Eufemistycznie mówiąc, dodał w myślach.

– Gdzie jest... ciało?

– W Wallburgu. W Zakładzie Medycyny Sądowej. Zawiozę tam panią, obrócimy w półtorej godziny.

Damita Fuchsbein przez chwilę wyglądała na całkowicie bezradną. Potem zebrała się w sobie i splotła ręce na kolanach.

– Okej. Chyba nie mam innego wyjścia.

To był Tim Van Rippe.

Przynajmniej, jeśli wierzyć zapłakanej Damicie Fuchsbein, ale nie było żadnego powodu, by podawać w wątpliwość jej identyfikację. Wraz z patologiem, niezwykle otyłym doktorem Goormannem, i policyjnym psychologiem Vegesack musiał poświęcić dobrą chwilę na pocieszenie zrozpaczonej kobiety i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem zabity nie był jej bliższy, niż się do tego przyznawała.

Może tak, może nie, pomyślał Vegesack. Okaże się z czasem. Kiedy podawali jej chusteczki higieniczne w klitkowanym biurze Goormanna, dołączył do nich podkomisarz Kohler, jeden z dwóch wallburskich policjantów, oddelegowanych pod komendę Vrommla w związku ze znalezieniem zwłok na plaży. Był to łysiejący, powściągliwy mężczyzna około pięćdziesiątki, który od razu zrobił na Vegesacku dobre wrażenie. Wziął na siebie odszukanie i powiadomienie krewnych Van Rippego – brata w Aarlach i matki w Karpaczu, jeśli polegać

na informacjach, jakich udzieliła Damita Fuchsbein, gdy jeszcze była w stanie mówić.

Ale nie było żadnego powodu, by podawać je w wątpliwość.

Ze swej strony Vegesack zajął się właśnie panią Fuchsbein. Wyprowadził ją delikatnie z przybytku śmierci, a zanim wsiedli do samochodu, żeby wrócić do Lejnic, zaprosił na filiżankę kawy i kieliszek calvadosu w jednej z kawiarni na rynku.

Potem odwiózł ją pod sam dom na Goopsweg i obiecał zadzwonić pod wieczór, żeby dowiedzieć się, jak się czuje.

Proszę już dzisiaj nie kłaść się na słońcu, pomyślał też, ale zachował tę uwagę dla siebie.

Kiedy wchodził z powrotem do komisariatu, było dziesięć po jedenastej, a komendant Vrommel zaczął właśnie niewielką konferencję prasową w związku z wczorajszym makabrycznym odkryciem na plaży. Vegesack usiadł na wolnym krześle z tyłu za kilkunastoma dziennikarzami i słuchał.

Tak, pracowano na pełnych obrotach.

Tak, miano wszelkie powody, żeby podejrzewać przestępstwo. Trudno raczej umrzeć śmiercią naturalną w ten sposób, a później zakopać się w piasku.

Tak, prowadzono wielokierunkowe śledztwo, ale jak dotąd nie było zasadniczego tropu. Dodatkowe siły zostały przydzielone z Wallburga.

Tak, oczywiście śledztwo prowadził sam komendant; na razie nie mieli podejrzanych, czekali wciąż na wyniki niektórych badań technicznych.

Nie, ofiara nie została jeszcze zidentyfikowana.

Powinienem był do niego zadzwonić z Wallburga, pomyślał Vegesack.

Ewę Moreno za piętnaście siódma obudziło słońce padające na jej twarz. Przed położeniem się spuściła wprawdzie staroświecką granatową roletę, ale ta w nocy musiała zwinąć się z powrotem. Całkiem dyskretnie, bo Moreno nie wyrwał ze snu żaden hałas.

Usiadła na łóżku i przez chwilę biła się z myślami. Potem odszukała w plecaku szorty, koszulkę i adidas i wyszła pobiegać.

Oczywiście na plażę. Tym razem na południe, żeby uniknąć miejsc, które natrętnie przypominałyby o zwłokach w piasku i porzuconych kochankach (facetach? chłopakach? narzeczonych?).

Od razu poczuła, że taki poranek to coś nadzwyczajnego. Plaża była wyludniona, morze lśniło i po zaledwie kilkuset metrach musiała poważnie zadać sobie pytanie, dlaczego nie zaczynała każdego dnia życia w ten sposób. Czy mogła podać choćby jeden słaby powód?

No, może ten, że wietrzny styczniowy poranek miał trochę inny urok. No i trudno było o morze w centrum Maardam.

Zawróciła po dwudziestu minutach. Była z powrotem w „Dombrowskim” za piętnaście ósma. Wzięła prysznic i zjadła śniadanie w cieniście ogrodzie przy lekturze dwóch gazet. W obu pisano o znalezieniu zwłok – więcej oczywiście w „Westerblacie”, która była gazetą lokalną. Czytając, pijąc kawę i żując razowiec domowego wypieku z serem i krążkami papryki, próbowała opracować plan działania na ten dzień.

Nie było to całkiem proste. Zwłaszcza w przypadku kontaktów z lejnicką policją, które najwyraźniej wymagały pewnej dyskrecji. Wydawało się co najmniej oczywiste – choć była to nietypowa sytuacja – że Vrommel nie wykazywał specjalnego zainteresowania jej udziałem. Ani w jednej sprawie, ani w drugiej. Można było oczywiście snuć rozważania, z czego to wynika, ale odsunęła je na później. Najlepiej na razie trzymać się Vegesacka – a doszła do wniosku, że równie dobrze może sprawę odłożyć do popołudnia. Choćby po to, by dać sobie szansę coś ustalić. Szczerze powiedziawszy i Vegesackowi mogło się przydać trochę spokoju w pracy, jeśli nawet jak dotąd nie wykazywał większych ambicji śledczych.

Może zresztą trudno mieć do niego pretensje, pomyślała Moreno. Trzeba wziąć pod uwagę powrót narzeczonej. W każdym razie obiecał, że sprawdzi, czy ktoś odwiedzał Maagera w Sidonisie. Albo do niego dzwonił. Diabelnie ważne, by ustalić to jak najszybciej.

Kiedy to pomyślała, zadzwoniła jej komórka.

To był Mikael. Rozmawiali też przez kwadrans poprzedniego wieczoru. Rozmowa nie należała do najbardziej analitycznych, ale przynajmniej znaleźli wygodny dystans umożliwiający porozumiewanie się, co pewnie nie było najgorsze.

Nie powiedział tym razem, że ją kocha.

Teraz zadzwonił, żeby tylko poinformować, że sam zamierzał rozliczyć się z „Kluivert, Kluivert i synowie”; przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że był niesprawiedliwy. Po krótkiej dyskusji pozwoliła się przekonać.

Kiedy skończyli rozmowę, przez chwilę się zastanawiała. Spojrzała, że nie może powstrzymać się od gorzkiego uśmiechu. Potem wyjęła notes i zapisała trzy pytania.

Co, do cholery, stało się z Mikaelą Lijphart?

Co, do cholery, stało się z Arnoldem Maagerem?

Dlaczego, do cholery, się tym zajmuje, zamiast cieszyć się urlopem jak normalny człowiek?

Popatrzyła na pytania, dopijając kawę. Potem dołożyła czwarte.

Co, do cholery, mogę dzisiaj zrobić, żeby znaleźć odpowiedź na któreś z tych pytań?

Pomyślała jeszcze przez chwilę i miała gotowy Plan A. Była za pięć dziesiąta. Nie najgorszy początek dnia.

Kobieta, która otworzyła drzwi, przywiodła jej na myśl ryby.

Może z powodu wyglądu, może zapachu. A przypuszczalnie diabelski sojusz jednego i drugiego, wspierających się nawzajem w docieraniu do zmysłów odbiorcy.

– Pani Maas?

– Tak.

Ewa Moreno podała swoje nazwisko i zapytała, czy może na chwilę wejść i porozmawiać.

Wejść nie mogła.

Zapytała, czy może zaprosić na filiżankę kawy i kieliszek czegoś mocniejszego. Na przykład w Strandterrassen przy plaży.

Zaprosić mogła.

Ale nie do Strandterrassen. Tam przesiadywali tylko tłuści burżuje i idioci, wyjaśniła pani Maas i zaprowadziła Moreno do Café Darm przy placu autobusowym. Tutaj przyzwoity człowiek mógł usiąść przy stoliku w ogródku i obserwować ludzi na placu. Miało się dosyć ludzi, można się było gapić na gołębie.

Jednym słowem, idealnie. Czego, kurwa, chciała?

Moreno odczekała, aż podano im kawę i koniak. Potem powiedziała, że jest prywatnym detektywem i szuka pewnej osiemnastoletniej dziewczyny. A sprawa poniekąd wiąże się z tragicznym wydarzeniem dotyczącym córki pani Maas, Winnie. Przed szesnastoma laty, zgadza się?

– Prywatny szpicel? – Sigrid Maas wypła koniak jednym haustem. – Niech się pani odpierdoli!

Ja mam być jędzą?, pomyślała Ewa Moreno. Muszę się jeszcze sporo nauczyć.

– Ułatwię pani sprawę – powiedziała, osłaniając dłonią swój kieliszek. – Jeśli odpowie pani na moje pytania, ale zgodnie z prawdą, nie wciskając mi kitu, zapłacę pani pięćdziesiąt guldenów.

Sigrid Maas spojrzała na nią spode łba, zaciskając usta w wąską kreskę. Nie odpowiedziała, ale widać było, że rozważa ofertę.

– Może też pani wypić mój koniak – dorzuciła Moreno, zabierając rękę.

– Jak mnie pani okantuje, zabiję – zagroziła Sigrid Maas.

– Nie okantuję pani – Moreno sprawdziła w portfelu, czy ma tyle gotówki. – Jak

mogłabym panią okantować?

Sigrid Maas nie odpowiedziała. Zapaliła papierosa i przesunęła kieliszek koniaku, żeby mieć do niego nieco wygodniejszy dostęp.

– Jedź pani z koksem!

– Mikaela Lijphart. Córka Arnolda Maagera, który zabił pani córkę. Dziewczyna ma teraz osiemnaście lat, w czasie tamtych wydarzeń miała dwa. Moje pierwsze pytanie brzmi, czy odwiedziła panią w ostatnich tygodniach.

Sigrid Maas zaciągnęła się i powąchała koniak.

– Była. Zdaje się, że w poprzednią niedzielę. Diabli wiedzą, po co przyszła, diabli wiedzą, dlaczego ją wpuściłam... córkę tego gnoja, który zniszczył mi życie. Człowiek ma po prostu za dobre serce, tyle.

Przez chwilę Moreno podejrzewała, że kobieta kłamie. Pewnie, żeby się przypodobać i nie stracić obiecanej gratyfikacji. Ale łatwo było to sprawdzić.

– Jak wyglądała?

Sigrid Maas popatrzyła na nią przez sekundę złym wzrokiem. Potem odchyliła się w tył i wdała się w całkiem dosadny opis Mikaeli Lijphart, i dla Moreno szybko stało się jasne, że chodzi o właściwą dziewczynę. Nie było wątpliwości. Mikaela rzeczywiście odwiedziła Sigrid Maas w niedzielę przed południem po przyjechaniu autobusem ze schroniska. Co za niespodziewany strzał w dziesiątkę!

Nagle poczuła lekkie drżenie nerwów – ten rwący dreszcz, który niemal ją odurzał i który może stanowił główną przyczynę, że została policjantką. Jeśli miała być całkowicie szczerą.

A przynajmniej trzymał ją w zawodzie. Coś zaskoczyło. Jakiś domysł się potwierdził i luźne przypuszczenia stawały się naraz rzeczywistością. Człowiek czuł, że żyje, było w tym niemal coś zmysłowego.

Nigdy z nikim na ten temat nie rozmawiała, nawet z Münsterem. Może bała się, że nie zostanie potraktowana poważnie – albo wyśmiana – ale też nie miała takiej potrzeby. Nie musiała omawiać tej szczególnej rozkoszy z nikim innym – czy w ogóle ubierać jej w słowa. W zupełności wystarczyło, że istniała. Sama dla siebie, pomyślała przy jakiejś wcześniejszej okazji.

A teraz siedziała przy kawiarnianym stoliku razem z tą zniszczoną pijaczką, przeżywając ponownie to samo wibrujące napięcie. Mikaela Lijphart była u tej kobiety. W tamtą niedzielę. Dokładnie tak, jak myślała.

Dokładnie tak, jak sama by postąpiła na miejscu Mikaeli – odnalazłaby matkę tej

biednej dziewczyny, którą zabił jej ojciec. Odnalazłaby ją, żeby... właśnie, po co?

Trudno powiedzieć. Niektóre posunięcia były tak oczywiste, że człowiek właściwie nie musiał ich rozpatrywać – w pewien sposób impulsywne, ale niemal zawsze słuszne. Równie instynktownie naturalne jak to drżenie nerwów.

– Czego szuka pani tej smarkatej? – Sigrid Maas przerwała jej rozważania.

– Zaginęła – powtórzyła Moreno.

– Zaginęła?

– Tak. Nie widziano jej od tej niedzieli, kiedy panią odwiedziła. Od dziewięciu dni.

– Aha. Związała pewnie z jakimś facetem. One w tym wieku takie są.

Wypiła łyk kawy, a następnie wlała koniak do filiżanki. Powąchała mieszankę z miną wytrawnego znawcy. Moreno ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że Sigrid Maas uciekała z facetami, gdy była w tym wieku, natomiast powątpiewała, żeby pasowało to do Mikaeli Lijphart.

– O czym rozmawiałyście?

– Niewiele. Chciała gadać o swoim pieprzonym ojcu, tym skurwysynu, ale ja nie miałam ochoty. Dlaczego miałabym przypominać sobie tego gnoja, który zabił mi córkę? Co? Może mi pani wyjaśnić?

Moreno nie mogła.

– Wie pani, że Arnold Maager jest w zakładzie Sidonisu? – zapytała za to.

Sigrid Maas prychnęła.

– Pewnie, kurwa, że wiem. Niech sobie siedzi, gdzie mu się żywnie podoba, bylebym tylko nie musiała o nim myśleć. Ani słuchać.

– Więc o czym rozmawiała pani z Mikaelą Lijphart?

Sigrid Maas wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam. Nie rozmawialiśmy za dużo. To dość bezczelna panienka, Bóg mi świadkiem.

– Bezczelna? Czym się to objawiało?

– Twierdziła, że to może nie on.

– Nie on? Co nie on?

– No, gadała, że Winnie mogła sama skoczyć z wiaduktu i takie pierdoły. Moja Winnie? Co? Oczywiście się wkurzyłam i kazałam się jej zamknąć.

– Powiedziała, dlaczego?

– Co?

– Skoro sugerowała, że może jej ojciec jest niewinny, to chyba sama sobie tego nie

wymyśliła?

Sigrid Maas zgasiła papierosa i natychmiast wygrzebała z paczki następnego.

– Ja tam nie wiem. Brednie i tyle, chociaż była tam u czubków i z nim gadała. Pewnie bał się przyznać przed córką, tchórzliwy skurwysyn! Jasne jak słońce, że to on. Dobierać się do uczennicy! Do szesnastolatki! Do mojej Winnie! Może pani sobie wyobrazić takiego gnoja?

Moreno zastanowiła się.

– Co zrobiła później?

– Co?

– Czy pani wie, dokąd poszła Mikaela Lijphart po rozmowie z panią?

Sigrid Maas zapaliła papierosa, sprawiała wrażenie, że w duchu rozstrzyga jakiś dylemat.

– Nie wiem – powiedziała w końcu.

Moreno czekała w milczeniu.

– Chyba chciała pogadać z innymi – niechętnie po chwili dodała Sigrid Maas. – Z koleżankami Winnie, jakby to, kurwa, miało coś dać.

Pociągnęła głęboki łyk z filizanki, zamykając przy tym oczy.

– Z którymi? Podała jej pani jakieś nazwiska?

Sigrid Maas paliła, starając się wyglądać nonszalancko. Jakby nie miała ochoty już nic mówić.

– Trudno powiedzieć, żeby zasłużyła pani na te pięćdziesiąt guldenów.

– Kilka. Kilka nazwisk, wydaje mi się... bo się uparła jak osioł i kłapała jęzorem. Nie mogłam się jej pozbyć. Więc jej powiedziałam, żeby poszła do Very Sauger i zostawiła mnie w spokoju.

– Very Sauger?

– Superdziewczyna. Była najlepszą przyjaciółką Winnie od pierwszej klasy. Zresztą nie zerwała kontaktów jak wszyscy inni, którzy zaglądali Bogu do tyłka, gdy człowiek natknął się na nich w mieście.

Bogu do tyłka? Reinhaartowi by się spodobało, pomyślała Moreno.

– Czyli powiedziała pani Mikaeli Lijphart, żeby odszukała Verę Sauger?

Sigrid Maas skinęła głową, opróżniając filizankę. Zrobiła lekki grymas.

– Nie wie pani, czy do niej poszła?

– A skąd, kurwa, mam wiedzieć? Dałam jej tylko telefon. Dobra, wyskakuj teraz pani z tych pięciu dych, mam ciekawsze rzeczy do roboty, niż się tu z panią mordować.

Moreno uznała, że ona też. Wręczyła banknot i podziękowała za pomoc. Sigrid Maas wzięła pieniądze i odeszła bez słowa.

Vera Sauger? Brzmi znajomo, pomyślała Ewa Moreno.

– Van Rippe? – powiedział podkomisarz Kohler. – Co o nim wiemy?

Vrommel odgonił muchę, której z niezrozumiałego powodu (przynajmniej dla aspiranta Vegesacka) przypadła do gustu jego spocona łysina (chyba że pomyliła ją z kupą obornika, pomyślał Vegesack i zanotował w myślach, żeby wpisać tę uwagę do swojej czarnej książki).

– Wiemy, co wiemy – stwierdził komendant i zaczął odczytywać z kartki, którą trzymał w ręku. – Trzydzieści cztery lata. Mieszkał w Klimmerstoff. Tam się też urodził i wychował. Kawaler. Pracował u Klingmanna, w fabryce mebli, od czterech lat. Nie za wiele można o nim powiedzieć. Żadnego stałego związku. Mieszkała u niego przez kilka lat jakaś kobieta, ale się rozstali. Bezdzienny. Grał przez kilka sezonów w piłkę, ale przerwał po kontuzji kolana. Kartoteka kryminalna czysta, nigdy nie był w nic zamieszany... z tego, co wiemy, żadnych wrogów.

– Kościół, Przyjaciele Ziemi, Czerwony Krzyż? – zapytał drugi z wallburskich policjantów. Nazywał się Baasteuwel, niski, niechlujny inspektor około czterdziestki. Miał opinię bystrego, jeśli Vegesack dobrze zrozumiał. W każdym razie był dokładnym przeciwieństwem Vrommla i obserwowanie ich wzajemnej niechęci stanowiło niemalą przyjemność. Na domiar złego Baasteuwel palił śmierdzące papierosy, prawie bez przerwy, całkowicie ignorując i głośny, i milczący przeciw Vrommla. To, do cholery, nie było przedszkole.

– Nic o tym nie wiemy – wymamrotał Vrommel. – Jeszcze nie. Zidentyfikowaliśmy go dopiero dzisiaj rano i na razie rozmawialiśmy tylko z kilkorgiem jego przyjaciół. Ma brata, ojciec nie żyje, ale matka tak; udało się nam skontaktować z bratem, jedzie tutaj. Matka podróżuje po Francji, ale ma jutro wrócić. Najpóźniej pojutrze.

– Komórka? – zapytał Kohler.

– Bez efektu – powiedział Vrommel. – Dowiemy się więcej o Van Rippem, kiedy przesłuchamy trochę więcej ludzi. Wydaje się, że zniknął w poprzednią niedzielę. Czy możemy przejść do spraw technicznych?

– Dlaczego nie? – zgodził się Baasteuwel. Zgasił papierosa i zapalił nowego.

Vrommel zebrał swoje papiery i skinął na aspiranta Vegesacka, który wypił łyk wody

mineralnej, i przystąpił do referowania.

Zajęło to niecałe dziesięć minut. Tim Van Rippe zginął w poprzednią niedzielę lub poniedziałek. Śmierć spowodował spiczasty, ale niekoniecznie zaostrzony przedmiot, jeszcze nieustalony (chodzi o to, że nie wiadomo, czym go zabito), trudno też powiedzieć coś o nim dokładniej, prawdopodobnie z metalu; przebił się przez lewe oko wprost do mózgu, niszcząc tyle funkcji życiowych, że Van Rippe był najpewniej martwy po trzech, maksymalnie sześciu sekundach od uderzenia. Nie jest bynajmniej wykluczone, że sam mógł sobie zadać śmiertelny cios, ale w takim przypadku inna, nieustalona osoba musiałaby zabrać śmiertelne narzędzie i zakopać Van Rippego na plaży.

Leżał tam, w miejscu gdzie znaleźli go Henning Keeswarden i Fingal Wielki, sześć – i czterolatek, około tygodnia; nie było możliwe dokładne ustalenie, ile czasu minęło od chwili zgonu do zakopania, tak twierdził patolog, doktor Goormann, ale nic nie wskazywało na jakiś dłuższy przedział czasowy.

Tyle, jeśli chodzi o wiedzę medyczną. Na rezultaty wysiłków podjętych na miejscu zbrodni w większości trzeba było jeszcze poczekać. Około sześćdziesięciu mniej lub bardziej zapiaszczonych przedmiotów przesłano do analizy do Sądowego Laboratorium Chemicznego w Maardam; z całkowitą pewnością stwierdzono dotąd jedynie, że nie natknięto się na nic, co mogło być narzędziem zbrodni – ani na nic, co dostarczyłoby wskazówek, jak właściwie wyglądało.

Albo kto go użył.

O tym, że ofiara ubrana była w niebieską bawełnianą koszulę z krótkimi rękawami, dżinsy i slipy, ale pozbawiona butów, skarpetek i wszelkich rzeczy osobistych, technicy nie musieli się wypowiadać; było to oczywiste dla każdego, kto znajdował się na miejscu zbrodni.

Vegesack, który sam się tam nie znalazł, zakończył, patrząc na siedzących wokół stołu.

– Pijany? – zapytał Baasteuvel.

– Nie – odparł Vegesack. – Natomiast informację o zawartości żołądka dostaniemy jutro.

– Kto ostatni go widział?

– Wybrał się ze znajomym na ryby w niedzielę rano. Być może on.

– Przesłuchano go?

– Przez telefon – powiedział Vrommel. – Zajmę się nim dziś wieczorem.

Baasteuvel nie wydawał się szczególnie zadowolony, ale powstrzymał się od dalszych

pytań.

– Chyba musiało to nastąpić w nocy? – odezwał się Kohler po kilku sekundach ciszy.

– Za dnia plaża raczej nie jest pusta?

– Raczej nie – potwierdził Vegesack. – Trudno byłoby tak po prostu kogoś zamordować w biały dzień.

– To chyba oczywiste – Vrommel ponownie odgonił muchę. – Myślę, że wystarczy. Czy nasi goście z Wallburga mają jeszcze jakieś koncepcje, którymi mogliby nas uszczęśliwić? Jeśli nie, zwalniam panów na dzisiaj. Jak ustaliliśmy, mamy kilka drobnych przesłuchań do załatwienia, ale z tym doskonale poradzimy sobie sami z aspirantem.

Podkomisarz Kohler zamknął notes i schował go do brązowej teczki, która wyglądała, jakby przeszła przez co najmniej dwie wojny światowe. Baasteuwel strząsnął popiół do kubka po kawie, drapiąc się po niebieskawoszarym zaroście.

– Dobra – oświadczył. – Jesteśmy tu jutro o dziewiątej rano. Tylko postarajcie się coś ustalić. To jest morderstwo, a nie zabawa w ciuciubabkę.

Vegesack mógł wyraźnie usłyszeć, jak komendant zazgrzytał zębami. Jednak żadne słowa spomiędzy nich się nie wydobyły i może tak było lepiej. Nikt też nie miał nic więcej do dodania i po pół minucie zostali w pokoju sami.

– Posprzątajcie tutaj – rozkazał Vrommel. – I do cholery, porządnie wywietrzcie. Nie wyjdziecie, dopóki tego nie zrobicie.

Vegesack spojrział ukradkiem na zegarek. Była za dwadzieścia piąta.

– A przesłuchania? – zapytał. – Co z nimi?

– Ja się tym zajmę – Vrommel wstał. – Posprzątajcie i zamkniecie. Zobaczmy się jutro rano. Do widzenia, aha, pamiętajcie, że ani słowa jakimś cholernym dziennikarzom.

– Do widzenia, panie komendancie.

Moreno czekała przy na wpół wypitym piwie, kiedy Vegesack zjawił się w Strandterrassen.

– Przepraszam za spóźnienie. Trochę się przeciągnęło.

– Procedury w sprawie zabójstwa zabierają dużo czasu.

Vegesack nie protestował, że więcej miało to wspólnego z procedurami sprzątaniami. Pokazał ręką, żeby podano mu piwo, i usiadł.

– Owocny dzień urlopu?

Moreno wzruszyła ramionami.

– Tak jakby. Spotkałam się z matką dziewczyny.

– Jakiej dziewczyny?

– Winnie Maas.

– Aha? Sympatyczna kobieta.

– Zna ją pan?

– Większość ją zna.

– Rozumiem. W każdym razie Mikaela Lijphart odwiedziła ją w poprzednią niedzielę. Vegesack uniósł brwi.

– O zesz... No i co powiedziała pani Maas?

– Niewiele. Twierdzi, że rozmawiała z dziewczyną, a potem odesłała ją do Very Sauger. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Vegesack zastanawiał się, w tym czasie kelner przyniósł mu piwo.

– Chyba nie. Kto to jest?

– Przyjaciółka Winnie. Tak przynajmniej twierdzi jej matka. Jeśli Mikaela chciała się dowiedzieć czegoś o Winnie, miała pójść do Very. Więc może poszła.

Vegesack pociągnął głęboki łyk, zamykając z zadowolenia oczy.

– Dobrze. Tak jak się spodziewałem. No i co, domyślam się, że starała się pani ją odszukać?

Moreno westchnęła.

– Oczywiście. I niestety. Nie dotarłam dalej niż do sąsiadki, która zajmuje się jej papuzką i podlewa kwiaty. Jest na wyspach, ma wrócić jutro wieczorem. To się chyba nazywa urlop.

– Mało kto siedzi w domu o tej porze roku – potwierdził Vegesack.

– Zgadza się – przyznała Moreno. – A pan? Ustalił pan coś? Komunikat na przykład?

Vegesack potrząsnął przecząco głową.

– Obawiam się, że nic nie dał. Ta kobieta z Frigge przyjechała tutaj, ale była tak niepewna, kogo widziała, że nie ważyła się nic potwierdzić na sto procent. Mogła widzieć na stacji Mikaelę Lijphart, ale równie dobrze jakąkolwiek inną dziewczynę.

– Więcej zgłoszeń nie było?

– Ani jednego. Poświęciłem też trochę czasu Sidonisowi. Można się zastanawiać, co właściwie z tego wyszło, ale skoro obiecałem, to zasięgnąłem języka.

Zrobił przerwę i przez chwilę pocierał sobie skronie. Moreno czekała.

– Rozmawiałem więc z kilkoma osobami. Nikt nie przypomina sobie, żeby do Maagera dzwoniło przed jego zniknięciem. Całkowicie wykluczają, że ktoś mógł go odwiedzić bez ich wiedzy. Zresztą, jeśli chciano go porwać z zakładu... z jakiegoś powodu...

to nasuwało się prostsze rozwiązanie.

– Jakie?

– Park. Dookoła zakładu, racja, była tam pani przecież. Maager spacerował codziennie przez kilka godzin po parku. Bez większego problemu można się było zacząć między drzewami i zaatakować go, gdy oddalił się od zabudowań. Nie ma tam żadnego muru ani ogrodzenia, w każdym razie nie wokół całego terenu. Poślemy trochę ludzi, żeby przeszukali park, może się okazać, że Maager gdzieś tam po prostu leży.

Moreno nie odpowiedziała. Przez pół minuty patrzyła w milczeniu na tę samą plażę i to samo morze, co aspirant Vegesack.

Ci sami ludzie, te same psy aportujące kije, te same wakacyjne ansamble. A jednak miała wrażenie, jakby ostatnie dni pokryły wszystko jakąś powłoką. Jakby takie spędzanie czasu było jej zupełnie obce.

– A dlaczego ktoś miałby napadać na Arnolda Maagera? – zapytała.

Vegesack wzruszył ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Zniknął, więc coś się musi za tym kryć.

– A jego żona? Sigrid Lijphart. Co z nią?

– Dzwoni codziennie, czemu nic nie robimy.

– Jak zareagowała, że Maager też zniknął?

– Trudno powiedzieć – Vegesack zmarszczył czoło. – Ją obchodzi córka. Nie wydaje mi się, żeby się specjalnie przejmowała, czy jej eksmaż żyje, czy nie. Jutro rozsyłamy komunikat o zaginięciu. Do gazet i tak dalej.

Moreno znowu przez chwilę się zastanawiała. Próbowała wyobrazić sobie człowieka, Arnolda Maagera, ale trudno jej było uzyskać wyraźny obraz, bo widziała go jedynie na kilku starych fotografiach. Tym silniej ukazywała się sama historia, to, czego dopuścił się przed szesnastu laty... jakby działania w jakiś sposób mogły przesłonić sprawców, uczynić ich niezrozumiałymi, nieponoszącymi odpowiedzialności, nie było to do końca niedorzeczne rozumowanie i może istniały jakieś punkty wspólne z tą powłoką, którą dostrzegala nad plażą. Musi być strasznie załamany człowiekiem, pomyślała. Musiał nim być już wtedy.

– Miła historia – odezwała się w końcu. – Nie ma dziewczyny ani ojca. Czy może mi pan powiedzieć, co się, do cholery, dzieje?

– Hm. Jeszcze nie miałem czasu się zastanowić. Zajmowałem się głównie tym facetem z plaży. Van Rippem.

– Rzeczywiście, co z nim?

– Jedyne, czego jesteśmy pewni, to to, że nie jesteśmy niczego pewni – Vegesack dopił

kufel piwa.

– Hm – mruknęła Moreno. – Z tego, co pamiętam, to właśnie podstawa wszelkiej wiedzy.

Aaron Wicker z lokalnej redakcji „Westerblattu” w Lejnicach nie żywił żadnych cieplejszych uczuć do miejskiego komendanta policji.

Choć zapewne w żadnej sytuacji nie darzyłby komendanta sympatią, uważał, że akurat ma po temu dobre powody. Odkąd Vrommel na początku lat dziewięćdziesiątych podstępem dokonał przeszukania redakcji, Wicker czuł tak głęboką i szczerą odrazę do pierwszego stróża prawa w mieście, że nawet nie próbował jej ukrywać. Ani analizować.

Łobuz pozostanie łobuzem, myślał sobie. A pilnujący porządku niekoniecznie do porządnym należy.

Rzekomą przyczynę wtargnięcia stanowił anonimowy telefon na policję o podłożeniu bomby w redakcji, którą z tego powodu trzeba było przeszukać. Bomby nie znaleziono, ale Wicker od samego początku wiedział, że nikt z taką groźbą nie dzwonił. W rzeczywistości chodziło o zdobycie nazwisk informatorów „Westerblattu” do serii artykułów o nieprawidłowościach finansowych w zarządzie miasta. Od tej chwili zaufanie między czwartą władzą a siłami porządku w mieście było nie do odbudowania. Przynajmniej dopóki komendant nazywał się Vrommel.

Żadnych nazwisk w czasie tej operacji nie znaleziono, bo Wicker zdążył je usunąć, ale na samą myśl, że policja w ten sposób zlekceważyła fundamentalną zasadę wolności słowa, przechodził mu po plecach dreszcz bezsilnej wściekłości. Nadal.

A teraz znowu musiał ustąpić pola.

– Wiemy, oczywiście, kim jest ofiara – oświadczył komendant.

– Brawo – powiedział Wicker.

– Ale nie mogę, niestety, podać nazwiska.

– Dlaczego nie?

– Dlatego że jeszcze nie skontaktowaliśmy się z najbliższymi.

– Prasa ma dość szeroki zasięg. Skoro już u was nie działają telefony. No i mamy pewne rozeznanie.

– Nie wątpię. Ale telefony u nas działają. Dowodem jest, że właśnie w tej chwili rozmawiam przez telefon, chociaż mam ważniejsze sprawy na głowie. Tak czy owak, nazwiska pan nie dostanie.

– Dowiem się mimo to.

– W takim razie zabraniam je wam publikować.

– Zabrania pan? Od kiedy wprowadzono oficjalną cenzurę w tym mieście? Nie żeby mnie to dziwiło, tylko mi umknęło.

– To nie jedyna rzecz, jaka panu umknęła – skontrował komendant. – W dzisiejszych czasach pilnujemy nie tylko przestrzegania prawa. Ponieważ prasa ma kłopoty z respektowaniem własnych norm etycznych, musimy jej w tym pomagać. Muszę wracać do pracy, czy redaktor ma coś jeszcze na sercu?

Chyba tylko stan przedzawałowy, pomyślał Wicker. Nie ma się co dziwić. Rzucił słuchawką, zastanowił się przez pięć sekund i postanowił wysłać Selmę Perhovens.

Selma Perhovens była jedyną zatrudnioną na stałe dziennikarką, wprowadzie tylko na pół etatu, ale jeśli w Lejnicach – czy w ogóle w całej Europie – choćby ze dwie osoby znały nazwisko ofiary z plaży, to Selma była właściwym człowiekiem, żeby je ustalić w kilka godzin. Chyba że ją przeceniał.

Pierwsze morderstwo od szesnastu lat, a miejscowa gazeta nie знаła nawet nazwiska ofiary! Szlag by trafił.

Zażył dwie tabletki na obniżenie ciśnienia i zaczął szukać jej numeru komórki.

Ewa Moreno zjadła kolację w restauracji o nazwie Chez Vladimir, obiecując sobie, że to pierwszy i ostatni raz. Przypuszczała, że taką samą decyzję podjęto troje pozostałych gości; tarta z mięsem i sałatka, które zamówiła – a dostawszy po długim czekaniu, próbowała też zjeść – nie zachęcały do kolejnych odwiedzin.

Podobnie jak wino, choć pod względem cierpkości doskonale pasowało do zakatarzonej kelnerki. Moreno dziękowała swej szczęśliwej gwiazdzie, że zamówiła tylko jeden kieliszek.

Z kolei, czy jutrzejszy dzień miał być również jej ostatnim dniem w Lejnicach, pozostawało kwestią otwartą.

A może jednak nie. Jechać teraz do domu? Pomyślała, wmuszając w siebie resztę kwaśnego trunku. Zostawić dwoje zaginionych i niewyjaśnione morderstwo na plaży? Czy to inspektor kryminalny Ewa Moreno zadawała sobie to pytanie? Pierwsza wolna kobieta w historii?

Nie mogła nie uśmiechnąć się na ten absurd.

Zadecyduję jutro. Dzbanek mocnej kawy do pokoju na wieczór, a potem będę tarła skronie, aż porobią się w nich dziury albo dojdę do jakiegoś rozwiązania. Nie byłoby głupio

zasnąć któregoś wieczoru we własnym łóżku.

Zaczęła wypisywać nazwiska zamieszanych osób na czystej stronie w notesie:

Winnie Maas

Arnold Maager

Mikaela Lijphart

Wyglądało elegancko. Po namyśle dołożyła jeszcze jedno nazwisko.

Tim Van Rippe

Nie wydawał się mieć coś wspólnego z tą sprawą, ale jednak padł ofiarą morderstwa. Potem dopisała jeszcze dwa.

Sigrid Maas

Vera Sauger

Pozwoliła myślom płynąć swobodnie przez kilka minut i w tym czasie postawiła znaki zapytania przy Mikaeli Lijphart i Arnoldzie Maagerze oraz krzyżyk przy Timie Van Rippem. Ostatnich dwóch nazwisk nie oznaczyła w żaden sposób.

Błyskotliwa systematyka, Sherlocku, stwierdziła, próbując skupić myśli. Popiła łyk kawy, którą gospodyni przyrządziła jej niechętnie i za słoną dopłatą. Dalej!

Co wiem? Czy te nazwiska w ogóle się ze sobą łączą? Wszystkie? Niektóre z nich? Jak?

Vera Sauger nie miała oczywiście wiele wspólnego z pozostałymi – martwymi czy zaginionymi – była tylko ogniwiem. Przypuszczalnym źródłem informacji, nic tajemniczego. Trzeba ją było traktować osobno.

Naraz skojarzyła, dlaczego nazwisko wydało się jej znajome. Występowało w jednym z protokołów przesłuchań, które Vegesack dał jej do przeczytania, chyba się nie myliła?

Tak, oczywiście, bez wątplenia. Nie pamiętała, w jakim kontekście, ale Vera Sauger się tam pojawiła, Moreno była teraz najzupełniej pewna, mimo że nawet lekko nie potarła skroni.

W gruncie rzeczy nie było w tym nic zaskakującego. Sigrid Maas odesłała Mikaelę do Vera Sauger, a skoro ta była przesłuchiwana w związku z wydarzeniami 1983 roku, potwierdzało się tylko, że chodzi o dziewczynę, którą łączyła z Winnie taka czy inna zażyłość.

I że Sigrid Maas mówiła prawdę, przynajmniej w tej kwestii.

Przeszła do trójki na samej górze. Jeden zabity, dwoje zaginionych.

Co się stało z Mikaelą Lijphart, nadal było równie niezrozumiałe jak na początku.

Moreno, nim zaczęła dywagacje na jej temat, skierowała uwagę na ojca. Jakie możliwe scenariusze istniały w jego przypadku?

Tylko dwa, jeśli się nie myliła.

Albo Arnold Maager opuścił Sidonis z własnej woli – jakaś jej resztką mu chyba została.

Albo też ktoś miał w tym swój udział. Ktoś chciał się go pozbyć.

Dlaczego? Dlaczego, do jasnej Anielki, Arnold Maager miałby komuś zagrażać?

Istniała oczywiście tylko jedna odpowiedź. Miało to związek ze starą sprawą. Maager mógł wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się przed szesnastoma laty, a taka wiedza byłaby niebezpieczna dla... no właśnie, dla kogo?

Dla kogoś, kto maczał w tym palce czy pewnie nawet więcej.

Stop, przerwała sobie. Posuwam się za szybko. Czyste spekulacje. Czy w sumie nie było znacznie bardziej prawdopodobne, że Maager oddalił się jednak na własną rękę? Spakował przecież torbę. Powód był wprawdzie równie niejasny jak wszystko inne, ale wydawało się dość oczywiste, że miało to związek z córką. Inne bodźce, które mogłyby skłonić go do działania, w jego życiu raczej nie występowały.

Brednie, pomyślała. Co wiem o wewnętrznych przeżyciach Arnolda Maagera? O motywach innych ludzi? Nic a nic.

A może jednak? Czuła, że tak mogło być. Że po prostu ruszył szukać córki, w całkowitym zwątpieniu... jak postarzały i obłąkany król Lear w pogoni za swoją Kordelią. Przecież możliwe. Wypiła pół filiżanki kawy i potarła skronie. Zabolało przy włosach, ale oczywiście i one wyszły bez szwanku.

Nie pojawiały się nowe sensowne myśli, więc odwróciła kartkę w notesie, żeby po kolei spisać wnioski. Chwilę jej to zajęło, ale określenie „wnioski” było trochę na wyrost. Raczej terapia. Gimnastyka mózgu dla kalekiego umysłowo inspektora kryminalnego, stwierdziła. Gdy pisała, pierwsze ciężkie krople deszczu uderzyły o parapet, a w pokoju obok młoda para zaczęła się kochać.

Przez minutę czy dwie słuchała. Zarówno deszczu, jak i odgłosów miłości. Wszystko ma swój czas, westchnęła filozoficznie. Włączyła radio, żeby jej nie rozpraszały, i dołąła sobie kawy. Kiedy skończyła, przeczytała zapiski i stwierdziła, że problemu nie rozwiązała.

Co się stało z Mikaelą Lijphart? Co się stało z jej ojcem?

A zwłoki na plaży? Czy w ogóle miały z tą sprawą coś wspólnego?

Jutro wieczorem porozmawiam z Verą Sauger, postanowiła Moreno. Wtedy będę wiedziała coś więcej.

Ale jeśli Mikaela do niej nie poszła, przyszło jej na myśl. Co by to oznaczało? Co wtedy?

I co miała jutro robić przez cały dzień? Plaża i kąpiel?

W deszczu? Dość rześistym w tej chwili. Na pewno nie powinna więcej męczyć biednego Vegesacka. Zwłaszcza że nic nie ustaliła na własną rękę mimo jego pomocy... a istniały jakieś granice. Choć z drugiej strony można się było zastanawiać, czym u diabła zajmowała się tutejsza policja.

Co więc robić? Może pogrzebać trochę w przeszłości? Wrócić do roku 1983?

Ale gdzie? Gdzie pogrzebać? Kogo popytać?

Nagle poczuła napływające ogromne zmęczenie, ale wlała w siebie jeszcze pół filiżanki kawy i mu się oparła. No, pomyślała. Kogo? Do kogo się zwrócić? Wszyscy, którzy wówczas w tym uczestniczyli, mieli jakiś zasób informacji, większy lub mniejszy, ale przydałby się ktoś z bardziej kompleksową wiedzą.

Nie zajęło jej zbyt wiele czasu znalezienie sensownego rozwiązania.

Oczywiście prasa. Lokalny dziennik. „Westerblatt”; wiedziała, jak się nazywa i gdzie mieści się redakcja, bo mijala ją kilkakrotnie w drodze na plażę.

Zadowolona z decyzji wylała resztę kawy do umywalki i położyła się. Było piętnaście po dwunastej. Uświadomiła sobie, że tego wieczoru Mikael nie próbował skontaktować się z nią ani razu.

Wspaniale, pomyślała, gasząc światło. Ale spostrzegła, że nie była to do końca szczerą reakcją.

21 lipca 1999

Na redakcję „Westerblattu” w Lejnicach składały się dwa ciasne pokoje na Zeestraat. Ten głębiej położony stanowił właściwe miejsce pracy i dwie trzecie podłogi zajmowały w nim dwa duże biurka zwrócone ku sobie, zastawione komputerami, drukarkami, faksami, telefonami i ekspresami do kawy, a obok nich piętrzyły się stosy papierów, długopisów, notatników i wszelkich możliwych przyborów dziennikarskich. Półki uginające się pod ciężarem skoroszytów, książek i starych gazet zakrywały ściany od podłogi po sufit, a nad wszystkim zawisł amerykański wentylator, który zepsuł się latem 1977.

Drugi, przejściowy pokój wychodził na ulicę; przyjmowano tam zwykłych porządnym obywateli, którzy chcieli zamieścić ogłoszenie, opłacić prenumeratę lub poskarżyć się na jakiś tekst w gazecie.

Albo na brak jakiegoś tekstu.

Kiedy Ewa Moreno weszła do środka, zostawiając za sobą mżawkę na Zeestraat, było dwadzieścia po dziesiątej. Ciemnowłosa kobieta w jej wieku o energicznym wyglądzie stała za kontuarem, wymyślając komuś przez telefon; słuchawkę trzymała między policzkiem a barkiem, co pozwalało jej jednocześnie notować i przeglądać gazetę.

Niezła koordynacja, pomyślała Moreno. Kobieta kiwnęła jej głową i Moreno usiadła na jednym z dwóch czerwonych krzeseł, czekając, aż przynajmniej rozmowa telefoniczna dobiegnie końca.

Dobiegła po mniej więcej pół minucie, a ze swobodnego doboru słów w pożegnalnych sformułowaniach Moreno wywnioskowała, że kobiecie postronny słuchacz niespecjalnie przeszkadzał.

– Kretyn – stwierdziła po odłożeniu słuchawki. – Przepraszam za moją łacinę, słucham panią?

Moreno właściwie nie zdecydowała się, jaką taktykę ma przyjąć, ale coś w szczerym wzroku i ciętym języku powiedziało jej, że chyba najlepiej zagrać w otwarte karty. Trudno też kłamało się osobie tej samej płci i w podobnym wieku, odkryła to już wcześniej. Tej kobiecie chyba niełatwo było coś wmówić, a jeśli zrobiło się błąd na samym początku, raczej trudno było go potem naprawić.

– Ewa Moreno, inspektor kryminalny – przedstawiła się więc. – Mam nieco specyficzną prośbę. Chciałabym porozmawiać z kimś z gazety, kto zna sprawę Winnie Maas z 1983 roku... i mógłby mi poświęcić chwilę.

Kobieta uniosła brwi i wciągnęła policzki, sygnalizując krótki namysł.

– To dobrze pani trafiła. Selma Perhovens. Miło mi.

Wyciągnęła rękę nad kontuarem i uściśniły sobie dłonie.

– Czyli policjantka?

– Na urlopie, nie na służbie.

– Brzmi tajemniczo – stwierdziła Selma Perhovens. – Osobiście potrzebowałabym jednej drobnej informacji od policji. Gdyby mogła mi jej pani udzielić, dobiłybyśmy chyba owocnego targu?

– Dlaczego nie? Czego chce się pani dowiedzieć?

– Hm. Szef kazał mi ustalić, jak nazywa się pewien nieboszczyk, którego znaleziono w poniedziałek zakopanego na plaży. Zna pani nazwisko?

– Oczywiście – oświadczyła Moreno.

Selmie Perhovens opadła szczeka, ale zaraz wróciła na swoje miejsce.

– Jasny gwint...

– Jestem wprawdzie tutaj incognito – wyjaśniła Moreno – ale wprowadzono mnie w to i owo.

– To ci dopiero – Selma Perhovens wyszła pośpiesznie zza kontuaru. – Myślę, że chwilowo zamkniemy redakcję.

Spuściła roletę na mleczną szybę drzwi i przekręciła klucz. Ujęła Moreno zdecydowanie za ramię i wprowadziła do drugiego pokoju.

– Proszę usiąść.

Moreno, zanim to zrobiła, ściągnęła ze wskazanego krzesła stertę gazet, puszkę po coca-coli oraz do połowy pełną torebkę cukierków. Selma Perhovens usiadła naprzeciwko, opierając brodę na knykcjach.

– Skąd mam wiedzieć, że nie podszywa się pani pod policjantkę? Moreno pokazała legitymację.

– W porządku. Proszę mi wybaczyć podejrzliwość wobec bliźnich. Zawodowa skaza. Powinnam polegać trochę więcej na swojej intuicji.

Uśmiechnęła się. Moreno odwzajemniła uśmiech.

– Prostuduszość nie jest zaletą w naszych czasach – powiedziała. – Wyłuszcę najpierw swoją sprawę, a potem podam pani nazwisko. Zgoda?

– Uczciwy układ – stwierdziła Selma Perhovens. – Kawy?

– Chętnie.

Opowiedziała od samego początku. Od podróży pociągiem i spotkania z płaczącą Mikaelą Lijphart aż po mało udaną próbę analizy poprzedniego wieczoru w pensjonacie. Nie wspomniała jedynie o Franzu Lampem-Leermannie i Mikaelu Bau, ponieważ niewiele ich z tą sprawą łączyło, a jeszcze mniej ze sobą nawzajem – rekapitulacja zajęła niecały kwadrans. Selma Perhovens nie przerwała jej ani razu, ale zdążyła wypić dwie i pół filiżanki kawy i nagryzmolić cztery pełne strony w notatniku.

– Niezły numer – skomentowała, kiedy Moreno skończyła. – Tak, chyba trafiła pani do właściwej osoby. Odbywałam staż w czasie procesu Maagera... miałam nie więcej niż dziewiętnaście lat, ale przez cały tydzień śledziłam rozprawę. Nie pisałam oczywiście do gazety, to robił Wicker, ale ten wyzyskiwacz kazał mi codziennie pisać próbne sprawozdania. Stąd dobrze pamiętam tę historię, niezbyt przyjemna.

– Już się zorientowałam.

– Poza tym... – Selma Perhovens zawahała się nieco. – Poza tym miałam pewne wątpliwości co do przebiegu tej imprezy, ale rozprawa szła jak po maśle, a ja w tamtych czasach byłam żółtodziobem.

Moreno poczuła, że coś w niej drgnęło.

– Wątpliwości? Jakie wątpliwości?

– Niestety, żadnych konkretnych, ale robiło to na mnie wrażenie sztafażu. Teatru. Sztuka o procesie napisana na długo przed jego rozpoczęciem. Dziewczyna nie żyła, mordercę znaleziono, jak trzymał ją martwą na kolanach. Z miejsca stracił rozum, a w oczach ludzi był winien jak mało kto. Nauczyciel wpędza dziewczynę w ciążę, a potem ją zabija! Tego lata nie mieliśmy najmniejszych problemów ze sprzedażą gazety.

– Jak go broniono? Jaka linię obrony przyjął adwokat?

– Psychicznie chory.

– Psychicznie chory?

– Tak. Niepoczytalny. Inna taktyka nie wchodziła w grę. Adwokat nazywał się Korring. Maager przyznał się poprzez niego, sam przez cały proces nie odezwał się chyba ani słowem.

Moreno zastanawiała się przez chwilę.

– A co skłoniło panią do przypuszczenia, że sprawa może nie była tak jednoznaczna, na jaką wyglądała? Bo takie właśnie odniosła pani wrażenie?

Selma Perhovens wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może po prostu moja młodzieńcza buntowniczość. Nie przepadałam za ugodością, nadal nie przepadam. Bardziej wierzę w siłę antagonizmów. Olać to, zastanawia mnie, co wynika z pani opowieści. Co do cholery stało się z tą biedną dziewczyną?

– No właśnie szukam pomocy, żeby to ustalić – westchnęła Moreno. – Rozmyślam o tym od ładnych paru dni i jedyne, do czego doszłam, to to, że musi istnieć jakieś powiązanie z przeszłością. Coś chorego w tej starej historii, nie do końca wyjaśnione... Mikaela Lijphart rozmawia z ojcem po raz pierwszy od szesnastu lat. Mordercą przez duże M. Potem w Lejnicach odszukuje różne osoby... tak, sędzę, że nie poprzestała na jednej. Potem znika.

– A potem znika jej ojciec. Ja się pochlastam, żeśmy o tym nie napisali. Tak, wiem, dawaliśmy komunikat o zaginięciu dziewczyny, ale nic o tych wydarzeniach.

– Dobrze wam się układa współpraca z policją? – spytała ostrożnie Moreno.

Selma Perhovens parsknęła śmiechem.

– Dobrze? Prowadzimy wojnę pozycyjną, przy której front zachodni się chowa.

– Rozumiem. Vrommel?

– Vrommel – potwierdziła Selma Perhovens, a w jej oczach pojawił się cień bezsilności.

Ktoś zapukał ostrożnie w szybę drzwi wejściowych, ale zbyła to prychnięciem. Moreno skorzystała z okazji, żeby zmienić temat.

– Czy Maager miał w tym czasie jakieś wsparcie? Z czyjejkolwiek strony? Czy podejrzewano na przykład kogoś innego?

Selma Perhovens, zastanawiając się, włożyła długopis do ust.

– Z tego, co pamiętam, to nie. Miał przeciwko sobie każdego mieszkańca tej dziury. Dosłownie każdego.

Moreno kiwnęła głową.

– W innym społeczeństwie zostałby zlinczowany, głowę dają.

– Rozumiem.

Nie po raz pierwszy Moreno słyszała komentarz w tym stylu i zadała sobie pytanie, jak sama by się zachowała. W takiej atmosferze, jaka musiała panować. Najlepiej może tego nie roztrząsać. Oczywiście przyjemnie było wierzyć, że nigdy nie wzięłoby się udziału w linczu, że w każdej sytuacji zachowałoby się trzeźwy osąd i nie uległo presji tłumu.

– Co właściwie usiłuje pani sobie wmówić? – zapytała Selma Perhovens po krótkiej przerwie. – Że mordercą jest ktoś inny? Niech pani sobie to wybije z głowy, to niemożliwe. Trzymał przecież do cholery trupa w ramionach i płakał.

Moreno westchnęła.

– Sama nie mogła skoczyć?

– Dlaczego w takim razie miał się przyznawać?

Dobre pytanie, pomyślała Moreno. Ale wcale nie nowe.

– Kto był lekarzem? – zapytała, nie wiedząc właściwie po co. – Który robił sekcję.

– DeHaavelaar. Stary deHaavelaar zajmował się wówczas wszystkim. Porody, choroby i sekcje. Brał się chyba nawet za weterynarię. Tak, jego opinia była wiążąca. Ostateczna jak słowa Pisma Świętego. Chociaż w sądzie się nie pojawił, nie musiał.

– Nie musiał? – zdziwiła się Moreno. – Dlaczego?

Selma Perhovens rozłożyła ręce.

– Nie wiem. Jego orzeczenie zostało tylko odczytane. Zdaje się, że przez sędziego prowadzącego rozprawę. DeHaavelaar był chyba zajęty gdzie indziej.

Cień domysłu przesunął się Moreno po głowie. Jakby od lewej do prawej, i właśnie ta osobliwość – że odnotowała kierunek – sprawiła, że treść domysłu umknęła. Przynajmniej tak to wyglądało. Litera z alfabetu, którego nigdy się nie nauczyła. Dziwne.

A zaraz potem równie przelotny obraz komisarza Van Veeterena patrzącego na nią zza biurka. Czy raczej wbijającego w nią oczy. Dziwne, pomyślała. Czy nie jestem trochę za młoda, żeby puszczały mi naczynia krwionośne w mózgu?

– Rozumiem – wzięła głęboki oddech. – Czy jest jeszcze w mieście?

– DeHaavelaar? Tak, i w mieście, i przy życiu. Zbliży się do osiemdziesiątki, jeśli się nie mylę, ale drepcze po ulicach i sady cynizmami. Dlaczego pani pyta?

– Nie wiem – przyznała Moreno. – Coś mi przeleciało.

Selma Perhovens trochę zbита z tropu patrzyła na nią przez kilka sekund. Potem uderzyła otwartą dłonią w notes.

– Zamierzam o tym napisać, ma pani coś przeciwko temu?

Moreno potrząsnęła głową.

– A propos – przypomniała sobie Selma Perhovens. – Miałyśmy mały układ. Ten chłopaczek na plaży, jak się nazywa?

– Aha, prawda. Van Rippe. Tim Van Rippe.

Selma Perhovens znowu zmarszczyła czoło.

– Van Rippe? Brzmi znajomo... nie, chyba jednak nie wiem, kto to jest. Jest pani pewna?

– Sądzi pani, że podałamby dziennikarzowi nieprawdziwe nazwisko zamordowanego?

– Sorry. Zapomniałam, że nie rozmawiam z miejscową policyjną mafią. Co powie pani

na lunch, tak zmieniając temat? Może coś nam przyjdzie do głowy, jak uzupełnimy proteiny?

Moreno spojrzała na zegarek.

– Nie zaszkodzi spróbować – zgodziła się.

Były lekarz miejski Emil deHaavelaar mieszkał na Riipej, w dużym patrycjuszowskim domu wśród wydm. Ale odmówił tam przyjęcia Ewy Moreno, nawet – jak twierdziła – z drobną sprawą. Mógł ewentualnie zamienić z nią kilka słów w Café Thurm, po południu po wizycie u dentysty, gdyż wybierał się na usunięcie kamienia.

O czwartej, jeśli jej pasuje. Moreno zgodziła się, kończąc rozmowę, i wróciła do lunchu z Selmą Perhovens.

– Tetryk? – zapytała.

– Arystokrata – odparła Selma. – Ostatni, jeśli wierzyć jego słowom. Przeprowadzałam z nim wywiad przed kilkoma laty, kiedy wydał książkę. O swoich czterech dekadach w roli eskulapa w tym mieście, taki właśnie był tytuł. *Przez łupę eskulapa*. Straszna szmira, musiałam ją przeczytać. Ocierała się o biologię rasową. Nieważne, mieszka sam z gospożą i dwoma chartami. Dwanaście pokoi i kort tenisowy, nie, zdecydowanie nie mój typ. A ty, jak długo zostaniesz? Aż wszystko wyjaśniesz?

Moreno wzruszyła ramionami.

– Chciałam jutro jechać do domu. Porozmawiam tylko z tą Verą Sauger. Jeśli wróci dziś wieczorem. Właściwie nie wiem, dlaczego w tym grzebię. Nie mogę też w nieskończoność mieszkać w pensjonacie. Policyjna pensja nie pozwala raczej na ekstra wydatki. Nawet na „Dombrowskiego”.

Selma przybrała ponury uśmiech clowna.

– No proszę; muszę przyznać, że pieniądze to też chyba moja największa nieodwzajemniona miłość. Ciągłe zawodzą, nigdy ich nie ma, gdy są potrzebne. Możesz nocować u mnie, jeśli zdecydujesz się zostać dłużej. Mówię poważnie. Mam jedenastoletnią córkę, ale żadnego faceta, który by przeszkadzał, dostaniesz osobny pokój.

– Dziękuję – Moreno poczuła nagle gorącą sympatię do tej energicznej dziennikarki. – Zobaczmy, jak jutro będzie wyglądała sytuacja.

Selma dała jej wizytówkę i spojrzała na zegarek.

– O Jezu! Spóźnię się na premiowanie ogierów w Moogensball. Muszę lecieć!

Po jej odejściu Moreno została chwilę przy stoliku, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do Vegesacka. Tylko żeby zapytać o bieżącą sytuację.

Po głębokim namyśle postanowiła przesunąć to na wieczór.

Doktor deHaavelaar zamówił koniak i szklanę mleka. Ona sama zadowolila się cappuccino.

– Dla równowagi – wyjaśnił doktor, kiedy kelner przyszedł z tacą. – Równowaga organizmu jest wszystkim, o co należy dbać, żeby dożyć setki.

Nie wątpiła ani przez chwilę, że Emil deHaavelaar dożyje setki. Brakowało mu wprawdzie jeszcze dwudziestu lat, ale przypominał dobrze ubranego niedźwiedzia grizzly. Szeroki w ramionach, rosły, o wyglądzie kapryśnego gwiazdora. Włosy miał siwe, ale gęste, zaczesane do tyłu, wąs równie bujny i wypielęgowany, a cera świadczyła o dostatecznie wielu godzinach spędzonych na słońcu wśród wydm, żeby mógł przeżyć jeszcze niejedną zimę. Moreno przypomniała sobie, że Selma Perhovens użyła słowa „drecpe” i zastanawiała się dlaczego.

– Jeśli istnieje powód, żeby tak długo znosić ten miszmasz – dodał, obracając w palcach kieliszek.

– Tak, można się nad tym zastanawiać.

– O co chciała pani zapytać?

Moreno zawahała się przez sekundę.

– O Winnie Maas.

DeHaavelaar odstawił z trzaskiem kieliszek. Źle zaczęłam, pomyślała Moreno. Szkoda.

– Kim pani jest?

– Ewa Moreno. Mówiłam przez telefon. Inspektor kryminalny.

– Mogę zobaczyć pani legitymację?

Moreno wyciągnęła dokument. DeHaavelaar nałożył okulary w bardzo cienkich i zapewne bardzo drogich oprawkach i dokładnie mu się przyjrzał. Potem zwrócił legitymację i zdjął okulary.

– Czy komendant o tym wie?

Znowu zastanowiła się przez sekundę.

– Nie.

DeHaavelaar wychylił koniak jednym haustem. Popił mlekiem, opróżniając szklanę do połowy. Moreno pociągnęła łyk kawy, czekając.

– A co, do cholery, skłania panią, żeby rozgrzebywać historię sprzed dwudziestu lat?

– Sprzed szesnastu – poprawiła Moreno. – Chciałam tylko zadać kilka pytań. Dlaczego jest pan taki wzburzony?

DeHaavelaar przechylił się przez stół.

– Nie jestem wzburzony – warknął. – Jestem wściekły. Nie jest pani nawet stąd, nie ma o niczym pojęcia i nie odpowiem na ani jedno pytanie. Za to powiadomię komendanta.

Wstał, przesunął kciukiem i palcem wskazującym po wąsach i wyszedł z kawiarni.

O cholera, pomyślała Moreno. Czy Selma nazwała go arystokratą?

Późnym popołudniem i przed wieczorem zaczęła dopadać ją chandra.

Może przyszła razem z ulewnymi deszczami, które nieprzerwanie nadciągały z południowego zachodu. Moreno, leżąc na niewygodnym łóżku w pensjonacie, usiłowała czytać, ale nie mogła skupić myśli na niczym, co nie łączyło się z Mikaelą Lijphart.

Czy z nią samą.

Co ja tutaj robię? zastanawiała się. Czym się zajmuję? Inspektor policji na urlopie! Czy mechanik poświęcałby swój ciężko zasłużony urlop, żeby naprawiać za darmo samochody? Mam nie po kolei.

Zadzwoiła do Clary Mietens, ale powierniczki nadal nie było w domu. Zadzwoiła do komisariatu, ale aspirant Vegesack wyjechał służbowo. Zadzwoiła na pogodynkę i dowiedziała się, że w kolejce nad Atlantykiem czekają dalsze ulewy.

Super, pomyślała inspektor Moreno i wróciła po raz czwarty do czytania tej samej strony.

O siódmej wybrała pierwszy raz numer do Very Sauger. Nikt nie odebrał. Spróbowała znowu po półgodzinie, a potem w takich samych odstępach czasu przez cały wieczór.

Po próbie o wpół do dziewiętej rozważała przez chwilę wyjście na kolację, ale zrezygnowała. Wczorajsza nie najlepsza tarta nie zachęcała do powtórki. Moreno zrobiła więc dwieście brzuszków i czterdzieści pompek, a stojąc pod prysznicem dwie godziny później, zastanawiała się, co, na Boga, mogło do tego stopnia wytrącić z równowagi doktora deHaavelaara.

Nie znalazła żadnego wyjaśnienia. Trudno się dziwić; uznała, że takowego nie jest w stanie znaleźć. Nie było sensu wyciągać wniosków z tak niepełnych danych. Szukanie śladów w grzęzawisku? Beznadziejna sprawa. Nawet dla zdeorientowanego inspektora powinno być to oczywiste.

A osierndziesięciolatki nie zawsze kierowali się logiką, nawet ci o wyglądzie grizzly, niedrepczący ani trochę.

Ostatni raz, pomyślała, wybierając numer Very Sauger kilka minut po jedenastej. Jeśli nie odbierze, rezygnuję.

Ktoś podniósł słuchawkę po trzech sygnałach.

– Vera Sauger.

Dzięki, pomyślała Moreno. Bądź tak miła i pozwól mi ze sobą porozmawiać. Mimo późnej godziny.

A jakbyś jeszcze miała coś do powiedzenia...

Vera Sauger również była niezamężną kobietą w wieku Moreno.

Czy za dziesięć lat będą jeszcze w Europie dzieci, pomyślała Moreno, wchodząc do mieszkania przy Lindenstraat. Czy też kobiety chcą porzucić macierzyństwo? Jak to powiedział Mikael? „Obejmować zimny głaz wolności?”

Otrząsnęła się z niechcianych pytań, siadając przy kuchennym stole, na którym przyjaciółka Winnie postawiła herbatę i brunatne ciasteczka przypominające sutki. Nie było przeszkód, żeby przysłała z wizytą, mimo że zbliżała się północ, a gospodyni wydawała się potrzebować snu po pięciu dniach na wyspach. Kiedy Moreno wymieniła przez telefon nazwisko Mikaeli Lijphart, Vera Sauger natychmiast jej przerwała, zapraszając do siebie.

Wyjaśniła, że woli mieć kontakt wzrokowy z rozmówcą. Moreno też wołała.

– Czyli nadal jest zaginiona? – zapytała Vera Sauger, kiedy naląła herbatę do żółtych filiżanek z dużymi niebieskimi sercami. Jak domyślała się Moreno, z jakiegoś szwedzkiego supermarketu.

– Pani o tym wie?

Vera Sauger spojrzała na nią zdziwiona.

– Oczywiście, że wiem. Dlaczego pani pyta? Kim pani właściwie jest?

Moreno pokazała legitymację, zastanawiając się, po raz który tego długiego dnia. Trzeci, jeśli dobrze policzyła.

– Jest pani nowa w mieście? Nie widywałam pani. Nie żebym miała często do czynienia z policją...

– Jestem z Maardam. Przyjechałam tu tylko na urlop. Ale spotkałam tę dziewczynę przed jej zaginięciem.

Vera Sauger kiwnęła lekko głową.

– I nie współpracuje pani z tutejszą policją?

– Trochę. Dlaczego pani pyta?

Vera Sauger mieszała powoli herbatę, wyglądając na jeszcze bardziej zdumioną.

– Bo pani zapytała, czy wiem o zaginięciu Mikaeli.

– No więc?

– Jasne, że wiem. Przecież zgłosiłam się do komisariatu przed wyjazdem na

Werkeney.

Moreno przez dwie sekundy nic nie rozumiała. Potem przypomniała sobie, że Vegesack coś wspominał przed kilkoma dniami.

Po pierwszym komunikacie zgłosiła się jakaś kobieta, ale nic z tego nie wynikło. Czy nie to właśnie powiedział?

Tak, chyba dobrze pamiętała. Jedna z Lejnic i jedna z Frigge. Czyżby tą z Lejnic miała być właśnie Vera Sauger, która siedziała teraz naprzeciw niej, jedząc ciastko?

Nagle miała wrażenie, jakby w jej głowie nastąpiło dość potężne zwarcie. Jediną w miarę pewną rzeczą wydawało się to, że coś się nie zgadza.

Także poza jej głową.

– Um... musiało mi umknąć – próbowała uśmiechnąć się przepraszająco. – Co pani zgłosiła?

Vera Sauger skończyła jeść ciastko, wsunęła blond kosmyk za prawe ucho i dopiero wtedy odpowiedziała.

– Zgłosiłam, oczywiście, że tu była. Wydaje mi się dziwne, że pani o tym nie wie.

– Zgłosiła pani, że Mikaela Lijphart panią odwiedziła? – zapytała Moreno. – To chce pani powiedzieć?

– Dokładnie to.

– Że rozmawiała z nią pani w niedzielę przed... przed dziesięcioma dniami?

– Tak.

Moreno milczała, podczas gdy pytanie krystalizowało się w jej głowie. Chwilę to zajęło.

– A kto panią przyjął?

– Kto? Komendant, naturalnie. Vrommel.

– Rozumiem – powiedziała Moreno.

Co nie do końca odpowiadało prawdzie, ale nie miało to większego znaczenia. Teraz ważniejsze było ustalenie dalszych faktów.

– Kiedy Mikaela przysłała do pani, o czym chciała rozmawiać?

– Oczywiście o swoim ojcu. O tym, co się stało szesnaście lat temu. Niedawno się dowiedziała.

– Słyszałam – przytaknęła Moreno. – A czego chciała się dowiedzieć od pani?

Vera Sauger znowu się zawahała.

– Właściwie to nie wiem. Była trochę tajemnicza, nie rozmawiałyśmy długo. Dostała moje nazwisko od mamy Winnie. Sprawiała wrażenie, jakby... jakby wierzyła, że jej tata jest

niewinny. Nie powiedziała tego wprost, ale tak to odebrałam. Spotkała się z nim dzień wcześniej. W sobotę. Na pewno rozmowa była trudna... dla obojga.

– Arnold Maager miałby powiedzieć swojej córce, że nie zabił Winnie Maas?

– Pewna nie jestem, bo tylko to zasugerowała. Choć nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby jej tak powiedział... żeby pokazać się w trochę lepszym świetle. Myślałam o tym później.

– Moreno rozważała przez chwilę.

– Byłam przecież na tej cholernej imprezie u Gollumsena – ciągnęła Vera Sauger. – I byłam przyjaciółką Winnie. Choć nie tak bliską, jak sądzi jej mama. Może, jak byliśmy młodsze, ale nie wtedy. Niejako odsunęłyśmy się od siebie.

– Zdarza się – zauważyła Moreno. – Czy Mikaela nie chciała się dowiedzieć czegoś bardziej konkretnego? Powiedzmy, żeby wyrobić sobie pogląd na sytuację?

Vera Sauger zastanawiała się, biorąc następne ciasteczko.

– Pytała o chłopaków. Z kim Winnie chodziła przed imprezą z Maagerem.

– Dlaczego akurat o to?

– Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałyśmy dłużej niż piętnaście, dwadzieścia minut.

Trochę się śpieszyłam.

– Ale podała jej pani nazwiska?

– Tak.

– Jakie?

Vera Sauger znowu się zastanowiła.

– Claus Bitowski – powiedziała. – I Tim Van Rippe.

Przesłuchanie Markusa Baarentza, 22.07.1983. Miejsce: Komisariat Policji w Lejnicach. Prowadzący przesłuchanie: komisarz Vrommel, komendant. Obecni: starszy inspektor Walewski, sekretarz prokuratury Mattloch. Protokół przesłuchania: starszy inspektor Walewski. Do wiadomości: sekr. Mattloch, komisarz Vrommel, komendant.

Vrommel: Proszę podać nazwisko, wiek i zawód.

Baarentz: Markus Baarentz. Czterdzieści dziewięć lat, pracuję jako rewizor.

V.: W Lejnicach?

B.: Nie, w Emsbaden. Ale mieszkam w Lejnicach. Alexanderlaan 4.

V.: Czy może pan opowiedzieć, czego był pan świadkiem dzisiaj w nocy?

B.: Oczywiście. Byliśmy we Frigge i do Lejnic wróciliśmy dosyć późno.

V.: Chwileczkę. „My” to znaczy kto?

B.: Przepraszam. Jestem brydżystą. Ja i mój partner, Otto Golnik, braliśmy udział w turnieju par brydżowych we Frigge. Dwudniowy turniej. Całość przeciągnęła się do jedenastej wieczorem. Zajęliśmy trzecie miejsce i musieliśmy też zostać na rozdaniu nagród. Potem wyjechaliśmy do domu. Tym razem byliśmy moim samochodem. Najpierw wysadziłem Ottona, on mieszka w Missenraade, a potem jechałem do siebie zwykłą trasą. Zobaczyłem ich, kiedy przejeżdżałem Molnerstraat wzdłuż torów kolejowych.

V.: Która mniej więcej była godzina?

B.: Druga. Kilka minut po drugiej. Zaraz za wiaduktem, tam jest latarnia, więc było niemożliwością, żeby go... ich nie zauważyć.

V.: Kogo pan zobaczył?

B.: Maagera. Arnolda Maagera, siedział tuż obok torów z dziewczyną w objęciach.

V.: Skąd pan wiedział, że to Maager?

B.: Poznałem go. Mój syn chodzi do szkoły Voellera. Maagera widziałem kilka razy na wywiadówkach. Od razu zobaczyłem, że to on.

V.: Rozumiem. Co pan zrobił?

B.: Zatrzymałem się. Od razu zorientowałem się, że coś jest nie tak. Bo niby dlaczego tam siedział, niemal na samych torach. Nawet jeśli w nocy pociągi tamtędy nie jeżdżą, odkąd

wycofano towarowe. Coś dziwnego było też z dziewczyną. Leżała wyciągnięta nienaturalnie prosto, tylko jej głowę trzymał na kolanach. Pomyślałem, że musiał wydarzyć się jakiś wypadek.

V.: Widział pan innych ludzi w pobliżu?

B.: Nikogo. Był przecież środek nocy.

V.: Zatrzymał się pan i wysiadł z samochodu?

B.: Tak. Chociaż najpierw opuściłem szybę i zawołałem. Zapytałem, czy wszystko w porządku, ale nie odpowiedział. Wtedy wysiadłem. Zawołałem jeszcze raz, ale nie zareagował. Nie miałem już wątpliwości, że coś się stało. Wdrapałem się przez ogrodzenie i podszedłem do nich. Nie podniósł nawet wzroku, choć musiał mnie słyszeć. Głaskał tylko dziewczynę po włosach. W jakiś sposób wydawał się nieobecny. Jakby w szoku. Przez chwilę myślałem, że jest pijany, dziewczyna może też, ale zaraz zorientowałem się, że nie. Było znacznie gorzej. Dziewczyna nie żyła.

V.: Po czym pan to poznał?

B.: Właściwie nie wiem. Przypuszczałnie po tym, jak leżała. Zapytałem też, oczywiście, ale Maager nie odpowiedział. Nawet na mnie nie spojrział. Próbowałem nawiązać z nim kontakt, ale się nie udało.

V.: Nie zwrócił pan uwagi, czy dziewczyna miała jakieś obrażenia?

B.: Nie. Tylko to, jak leżała. I jej twarz. Oczy wydawały się nie do końca zamknięte, usta też nie. I nie ruszała się, ani drgnęła. V.: A Maager?

B.: Głaskał ją tylko po włosach i policzkach. Sprawiał wrażenie całkowicie nieobecnego, jak już mówiłem. Zwróciłem się też do niego po nazwisku. „Panie Maager”, powiedziałem, „co się stało?”

V.: Odpowiedział?

B.: Nie. Właściwie nie wiedziałem, co mam zrobić. Stałem tam może z dziesięć, piętnaście sekund. Powtórzyłem pytanie i w końcu na mnie spojrział. Przez krótką chwilę, w jego oczach, ba, w całym wyrazie twarzy było coś dziwnego.

V.: Co?

B.: Coś chorego. W młodości pracowałem przez kilka wakacji w szpitalu dla umysłowo chorych i rozpoznałem ten wzrok. Od razu skojarzyłem go z tamtym szpitalem.

V.: Co pan zrobił?

B.: Zapytałem, co się dzieje z dziewczyną, ale znowu nie zareagował. Pochyliłem się, żeby bliżej się jej przyjrzeć. Chyba chciałem też sprawdzić puls, ale przeszkodził mi.

V.: Przeszkodził? Jak?

B.: Odepchnął moją rękę. A potem wydał z siebie krzyk.

V.: Krzyk?

B.: Tak. Krzyk. Zabrzmiało to niemal jak... jak wycie.

V.: Chce pan powiedzieć, że Maager zawył?

B.: Tak. W każdym razie był to nieludzki krzyk. Bardziej wycie. Domyśliłem się, że jest w ciężkim szoku i nie ma sensu próbować czegoś się od niego dowiedzieć.

V.: Rozumiem. Proszę opowiedzieć, co pan zrobił dalej.

B.: Pomyślałem, że muszę wezwać policję i pogotowie. Najlepiej byłoby oczywiście, gdybym mógł zatrzymać jakiś samochód albo poprosić inną osobę o pomoc, ale był środek nocy i w pobliżu żywego ducha. A nie chciałem zostawiać go samego z dziewczyną, nie upewniwszy się co do jej stanu, w końcu za którymś razem nie zaprotestował i udało mi się sprawdzić jej puls. Nic nie wyczułem, było tak, jak myślałem. Nie żyła.

V.: Gdzie sprawdzał pan puls?

B.: Na przegubie ręki. Nie chciał mnie dopuścić do szyi.

V.: Dziewczynę też pan rozpoznał?

B.: Nie. Potem dowiedziałem się, kto to jest, ale nie znam jej rodziny.

V.: W końcu poszedł pan jednak sprowadzić pomoc?

B.: Tak. Nie pozostawało mi nic innego. Wdrapałem się z powrotem przez ogrodzenie, poszedłem do pierwszego z brzegu domu i zadzwoniłem. Po drodze zgasiłem światła w samochodzie, bo zostawiłem zapalone. Chwilę trwało, zanim mi ktoś otworzył, ale cały czas widziałem Maagera i dziewczynę na torach. Nie odszedłem od nich dalej niż trzydzieści, czterdzieści metrów. Otworzyła mi Christina Deijkler, znamy się przelotnie, nie wiedziałem, że mieszka właśnie w tym domu. Powiedziałem, jak wygląda sytuacja, zresztą mogła się naocznie przekonać, że mówię prawdę. Poszła zatelefonować, a ja wróciłem na tory i czekałem, po jakichś dziesięciu minutach przyjechała policja. Helme i Van Steugen w radiowozie. Karetka przyjechała zaraz po nich.

V.: Dziękujemy, panie Baarentz. Bardzo przytomne zachowanie. Jeszcze tylko kilka pytań. Czy kiedy próbował pan nawiązać kontakt z Maagerem, mógł się pan zorientować, co się stało?

B.: Nie.

V.: Maager w żaden sposób nie dał tego do zrozumienia? Słowem, gestem lub jeszcze inaczej?

B.: Nie. W ogóle się nie odzywał. Nie licząc tego dziwnego krzyku.

V.: A pan nie doszedł do żadnej konkluzji?

B.: Na miejscu nie. Dzisiaj dowiedziałem się, o co chodziło. To przerażające. W nocy jednak nie miałem o tym pojęcia.

V.: Od kogo się pan dowiedział?

B.: Od mojego syna Alexandra. Usłyszał na mieście, wiadomość szybko się rozeszła, co raczej zrozumiałe. Maager miał podobno romans z tą dziewczyną, co w szkole było chyba tajemnicą poliszynela. Skandal, oczywiście, nie wiem, co powiedzieć. Podobno zepchnął ją z góry, prawda to?

V.: Za wcześnie, żeby wypowiadać się o przyczynie śmierci, ale nie wykluczamy takiej możliwości. Jest pan absolutnie pewien, że nie widział nikogo innego w pobliżu miejsca zdarzenia?

B.: Całkowicie pewien.

V.: Nie przejeżdżały żadne samochody? Może minął się pan z jakimś, dojeżdżając do wiaduktu?

B.: Nie. Po wysadzeniu Golnika w Missenraade minąłem się może z jednym samochodem. Ale nie w pobliżu wiaduktu, tego jestem pewien.

V.: Ma pan niezwykle wyrobiony zmysł obserwacji, panie Baarentz.

B.: Możliwe. Jestem dość pedantycznym człowiekiem. Tego wymaga mój zawód. No i gra w brydża pewnie pomaga, trzeba być cały czas skoncentrowanym.

V.: Rozumiem. Dziękujemy, panie Baarentz. Ogromnie pan nam pomógł.

B.: Nie ma za co. Spełniłem tylko swój obowiązek.

22 lipca 1999

Przeciągnęło się do czwartku, zanim ogłoszono komunikat o zaginięciu Arnolda Maagera – 44 lata, 176 cm wzrostu, szczupłej budowy ciała, włosy popielaty blond; możliwe, że w depresji, możliwe, że oszołomiony, a najpewniej jedno i drugie. Zaginął przed pięcioma dniami; ostatni raz widziano go w zeszłą sobotę w zakładzie Sidonisu koło Lejnic, w którym spędził szesnaście lat. Ma na sobie prawdopodobnie buty sportowe marki Panther, niebieskie lub brązowe bawełniane spodnie, biały T-shirt i jasną wiatrówkę.

Tego samego dnia już o świcie ruszył patrol w sile czternastu ludzi z komisariatów w Lejnicach, Wallburgu i Emsbaden, żeby przeszukać teren wokół zakładu – poszukiwania zakończono o piątej po południu, nie znalazłszy żadnych śladów, które mogłyby pomóc w rozwiązaniu zagadki, co się stało z zaginionym pacjentem.

Jednocześnie z ogłoszeniem w mediach o zaginięciu Maagera ponowiono komunikat o poszukiwaniu jego córki, Mikaeli Lijphart, tym razem na cały kraj. Mikaela nie dawała znaku życia od jedenastu dni i wszyscy, którzy widzieli ją w tym czasie – lub mieli inne informacje, który mogły pomóc prowadzącym śledztwo w tej sprawie – proszeni byli o niezwłoczny kontakt z policją w Lejnicach. Lub najbliższą jednostką policji.

Jedyną osobą, która zareagowała na to wezwanie, była matka zaginionej dziewczyny, Sigrid Lijphart, ale nie żeby udzielić wskazówek czy informacji, tylko by zapytać – jak dotąd – dlaczego, do cholery, policja nic nie ustaliła. Vrommel nie miał na razie dobrej odpowiedzi na to pytanie i pani Lijphart pogroziła – jak dotąd – że zwróci się wyżej, o ile natychmiast coś nie zostanie zrobione.

Jeśli nie z czym innym, to ze skargą na opieszałość i zaniedbanie policyjnych obowiązków wobec obywateli. Vrommel zapytał grzecznie, czy ma przesłać stosowne formularze – B112-5GE na opieszałość i B112-6C na zaniedbania – żeby pójść jej na rękę, ale pani Lijphart oferty nie przyjęła.

W sprawie zaginionego byłego męża nie stawiała żadnych pytań ani żądań.

Aspirant Vegesack mieszkał ze swoją Marlene w jednym z nowo wybudowanych domów przy Friederstraat, rzut kamieniem od plaży, i po krótkich rozważaniach – oraz

ofercie Vegesacka – zebrali się właśnie u niego. W powstałej sytuacji dyskrecja była niezbędna, komisariat nie wchodził w grę, a znalezienie naprędce odpowiedniego lokalu wcale nie było łatwe.

Trzy pokoje z kuchnią, stwierdziła Moreno, przywitawszy się z Vegesackiem. Duży balkon ze wspaniałym widokiem na morze i latarnię morską Gordona. Całkiem niezłe. Przypomniała sobie wzmiankę Vegesacka, że Marlene Urdis jest architektem, i zastanawiała się, czy nie jest również architektem wewnątrz. Wiele na to wskazywało, ale gospodyni była nieobecna i Moreno uznała, że nie wypada pytać. W każdym razie pokoje i umeblowanie miały przemyślnie dobraną kolorystykę, ściany nie były poobwieszane, czym się dało – zaledwie kilka reprodukcji, Tiegermann, Chagall i dwa autoportrety Cezanne’a. Regały nieprzeładowane książkami. Duże zielone rośliny. Pianino, ciekawe, kto na nim grał, Vegesack czy jego narzeczona. A może oboje? Dobrze, pomyślała. Mam do niego zaufanie.

Nie zebrali się jednak, żeby omawiać styl i atmosferę mieszkania. Ponure miny podkomisarza Kohlera i inspektora Baasteuwela, siedzących w odnowionych fotelach z lat pięćdziesiątych, nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości.

– Zaczynajmy – odezwał się Baasteuwel. – O co, do cholery, chodzi?

Vegesack przyniósł cztery piwa, a Moreno usiadła na kanapie.

– W całej sprawie jest sęk – oznajmiła.

– Czy sęk nazywa się może Vrommel? – zapytał Kohler.

– To przynajmniej ten sam pień. Najlepiej będzie, jeśli was trochę wprowadzę. Mam zacząć od terażniejszości czy od przeszłości?

– Od przeszłości – powiedział Baasteuwel. – Dupa błada, kiedy nas wysłano, mówiono, że na dwa, trzy dni. Miałem dzisiaj zacząć urlop. No ale to nie pierwszy raz.

– I pewnie nie ostatni – sucho zauważył Kohler. – Można prosić o szczegóły?

Moreno posłała Vegesackowi pytające spojrzenie, ale aspirant dał jej znak, żeby sama zreferowała. Wyjęła z torebki notes.

– Dobra. Po kolei. Szesnaście lat temu, niemal co do dnia, doszło w tym mieście do zdarzenia... powiedzmy, brzemiennego w skutki. Nauczyciel z miejscowej szkoły, Arnold Maager, miał romans z uczennicą, niejaką Winnie Maas. Dziewczyna zaszła w ciążę, a on ją zamordował. Taka jest przynajmniej oficjalna wersja. Miał ją zepchnąć z wiaduktu kolejowego, z dość wysoka, zabiła się, uderzając o szyny. Znaleziono go siedzącego na torach z dziewczyną w objęciach; w środku nocy. Stracił od tego rozum i trafił do zakładu dla umysłowo chorych... do Sidonisu, niedaleko stąd. Uznano go za winnego, ale właściwie nigdy się nie przyznał, bo w czasie procesu nie było z nim kontaktu. Maager miał małą córeczkę i

żonę, która po tym wydarzeniu od niego odeszła. Wyprowadziły się tej samej jesieni i Maager więcej ich nie widział. To byłoby z grubsza tyle, jeśli chodzi o przeszłość. Macie jakieś pytania?

Potoczyła wzrokiem wokół stołu.

– Przyjemna historia – Baasteuwel popił łyk piwa.

– Bardzo – powiedziała Moreno. – Przejdźmy do teraźniejszości. Jadąc tu do Lejnic przed... – policzyła w myśli – dwunastoma dniami, spotkałam w pociągu młodą dziewczynę, jak się okazało, córkę Maagera. Rozmawiałyśmy trochę. Skończyła właśnie osiemnaście lat i jechała odwiedzić ojca w zakładzie Sidonisu. Po raz pierwszy, nie widziała go od szesnastu lat, nawet nie wiedziała o jego istnieniu. Matka powiedziała jej o nim poprzedniego dnia, dziewczyna była mocno zdenerwowana przed tym spotkaniem.

– Nie ma się co dziwić – zauważył Kohler.

– Tak. Kilka dni później zjawia się w Lejnicach jej matka – czyli była żona Maagera – z zawiadomieniem, że córka nie wróciła do domu, że zaginęła.

– Zaginęła? O w mordę – przeklął Baasteuwel.

– Właśnie. Wiemy, że w sobotę odwiedziła ojca w zakładzie, przenocowała w schronisku w Missenraade, ale po niedzieli nikt jej nie widział. I teraz zaczynają się dzieć dziwne rzeczy.

– Zaczynają? – zdziwił się Kohler. – Dopiero teraz zaczynają się dziwne rzeczy?

Moreno wzruszyła ramionami.

– No dobra, ciągną się dalej. Jestem tu właściwie tylko na urlopie, ale miałam do załatwienia w komisariacie drobną sprawę służbową. Najpierw spotykam tę dziewczynę...

– Jak ona się nazywa? – przerwał Baasteuwel.

– Mikaela. Mikaela Lijphart. A więc spotkałam dziewczynę w pociągu, a w komisariacie jej matkę. Była mocno zaniepokojona, co zrozumiałe. Komendant Vrommel zgodził się w końcu rozesłać komunikat o zaginięciu, ale nie można powiedzieć, żeby potraktował tę sprawę priorytetowo. Chodziło oczywiście o ustalenie, czy ktoś nie widział Mikaeli w niedzielę... albo w następnym tygodniu. Z tego, co wiemy, zgłosiły się dwie osoby... przynajmniej dwie. Jedna kobieta z Frigge, która utrzymywała, że widziała dziewczynę na tamtejszym dworcu, oraz niejaka Vera Sauger, z którą rozmawiałam wczoraj wieczorem. To po tej rozmowie postanowiliśmy z aspirantem Vegesackiem zorganizować nasze dzisiejsze spotkanie.

– Aha? – Baasteuwel pochylił się do przodu przez stół. – Słucham dalej.

– Vrommel przyjął obie kobiety, ale – jak twierdził – nic istotnego z tych rozmów nie

wynikło. Tymczasem wczoraj Vera Sauger powiedziała mi, że Mikaela odwiedziła ją w tamtą niedzielę i że dość długo ze sobą rozmawiały. Dziewczyna szukała kontaktu z osobami, które w jakiś sposób miały związek z tym, co się wydarzyło w 1983 roku. Które znały jej tatę lub Winnie Maas. Dlaczego, nie wiemy, ale może być tak, że ojciec coś jej w Sidonisie opowiedział. To oczywiście tylko przypuszczenie, ale coś ją przecież musiało skłonić do poszukiwań. Chyba że zwykła ciekawość. W każdym razie odwiedziła matkę Winnie, z nią też rozmawiałam. Jednak ani ona, ani Vera Sauger specjalnie Mikaeli nie pomogły, tak przynajmniej twierdzą. Nawiasem mówiąc, pani Maas sporo pije. Czy dziewczyna spotkała się z kimś jeszcze, na razie nie wiemy.

Moreno zrobiła krótką przerwę.

– Zrozumiałem, że ta sprawa miała się łączyć z naszą – wtrącił Kohler.

Moreno odchrząknęła.

– Zgadza się. Vera Sauger podała Mikaeli dwa nazwiska, osób, do których mogła zwrócić się z dalszymi pytaniami. I te same nazwiska podała Vrommlowi. Jedno z nich brzmi: Tim Van Rippe.

– Facet z plaży – powiedział Kohler.

– Kurwa – powiedział Baasteuwel.

Potem przy stole zapanowało milczenie.

– To nie jedyna komplikacja – kontynuowała Moreno po przyniesieniu przez Vegesacka czterech nowych piw z kuchni. – Tydzień po tym, jak Mikaela odwiedziła swojego ojca w zakładzie, ten zniknął... dokładnie w zeszłą sobotę po południu. Nikt nie wie, gdzie jest. Aspirant rozmawiał z nim kilka dni wcześniej, ale najwyraźniej niewiele można było z niego wydobyć...

– Ani słowa – potwierdził Vegesack.

Baasteuwel przeciągnął dłońmi po swojej niezbyt przepisowej fryzurze, rzucając okiem na Moreno, ale pytanie zadał Kohler.

– Ten cały Tim Van Rippe? Nasz trup z plaży. Jaką on odegrał rolę w tej starej historii?

Moreno przewróciła kartkę w notesie, sprawdzając zapiski.

– Według Very Sauger znał dobrze Winnie Maas. Może nawet z nią chodził... przed tym jak poszła do łóżka z Maagerem. Ale chyba nie to jest najważniejsze. Mamy tu wyraźne powiązanie. Mikaela Lijphart dostała jego nazwisko... i jeszcze jedno, którego nie zdążyłam sprawdzić... i bardzo możliwe, że odwiedziła go w niedzielę. Tydzień później znajdujemy

jego zwłoki na plaży. Oczywiście to niesłychany zbieg okoliczności, że chłopcy je odkopali, choć z drugiej strony morderca mógł się trochę bardziej postarać i zakopać nieco głębiej... co sądzicie?

Kohler przytaknął.

– Głowa była rzeczywiście dość płytko. Wiatr by ją odsłonił wcześniej czy później albo po prostu chodzący plażowicze.

Baasteuwel wstał.

– Czyli to... to z tą Sauger pan komendant zatrzymał dla siebie? Co się tu, do cholery, dzieje? Poza tym, że z Vrommla jest łajza. Muszę zapalić. Tam?

Vegesack skinął głową i Baasteuwel wyszedł na balkon.

– Niezależnie od tego, co się za tym kryje – stwierdziła Moreno – jasne jest, że Vrommel gra nie fair. Nie chce rozgrzebywać tej starej historii. Nie chce, żeby wyszły na jaw powiązania między sprawą Maagera a zwłokami na plaży. Dlaczego, nie wiem, ale wydaje się dość oczywiste, że szesnaście lat temu nie wszystko odbyło się, jak należy. Poprawcie mnie, jeśli się mylę.

– Jest coś więcej? – zapytał Kohler. – Więcej nieprawidłowości? Moreno zastanowiła się.

– Z pewnością. Nie wiemy tylko jakie. Rozmawiałam też z lekarzem sądowym, który przeprowadzał sekcję zwłok Winnie Maas, i muszę powiedzieć, że jego reakcja była nadszpiewanie ostra. Coś go okropnie wzburzyło – jakbym podawała w wątpliwość jego autorytet i wiarygodność. Tylko dlatego że chciałam zadać kilka pytań. Zagotował się, nim zdążyłam zadać choćby jedno.

– Wygląda na jakąś przekłętą konspirację – powiedział Kohler. – A przynajmniej tuszowanie czegoś. Czy ktoś przejrzał protokoły procesu? Są tam jakieś niezgodności?

– Jeszcze do tego nie doszłam – westchnęła Moreno. – Proszę pamiętać, że jestem tutaj na urlopie.

– Hm – Kohler zdobył się na coś, co przypominało melancholijny uśmiech.

Baasteuwel wrócił z przerwy na papierosa.

– Co właściwie myślicie? – zapytał, wodząc spojrzeniem między Moreno a Vegesackiem. – Miałem czas do namysłu tylko przez małego papieroska i muszę powiedzieć, że nic z tego nie pojmuję... a ci, co mnie znają, wiedzą, że zdarza mi się to niezwykle rzadko.

Zrobił grymas i usiadł w fotelu. Moreno zawahała się chwilę, nim odpowiedziała.

– Myślę... – starała się szybko podnieść gardę, żeby nie powiedzieć za dużo – myślę,

że ta tragedia nie rozegrała się tak prosto, jak to ustalono w 1983. I że Vrommel... przypuszczalnie nie tylko on... miał powód, żeby co nieco zatuszować. Nie wiem, co ani dlaczego. Myślę też, że trochę ludzi w mieście zachowało dla siebie informacje sprzed szesnastu lat i że Tim Van Rippe był jednym z nich. I że ktoś go zabił, żeby nie zaczął mówić... z grubsza taka jest moja opinia.

– Hm, tak – mruknął Baasteuwel. – A skąd ten ktoś wiedział, że dziewczyna zamierzała odwiedzić Van Rippego właśnie tego dnia?

Moreno potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Mikaela Lijphart trochę jednak namącała, zanim zniknęła jak kamfora. Spotkała się z matką Winnie Maas i z Verą Sauger. Może też z innymi, ale ponieważ nikt nie zadał sobie większego trudu, żeby to sprawdzić, nadal nie wiemy z kim. Sauger podała mi jeszcze jedno nazwisko oprócz Van Rippego – niejaki Claus Bitowski. Dzwoniłam do niego dzisiaj rano kilka razy, ale nikt nie odbierał.

– Myśli pani...? – wtrącił Baasteuwel, ale na moment się wstrzymał. – Myśli pani, że ten Bitowski również leży zagrzebany gdzieś na plaży? Dobrze zrozumiałem hipotezę między wierszami?

Moreno zawahała się, wodząc wzrokiem wokół stołu.

– Nie stawiam żadnej hipotezy. Ale sprawdzenie tego nie powinno nastęrczać trudności. Jeśli żyje, powinniśmy do niego dotrzeć... w taki czy inny sposób.

Baasteuwel skinął głową.

– Zgadza się. A Mikaela? Co z panienką Lijphart? Wydaje się, że to jeszcze twardszy orzech do zgryzienia. Przeklęty Vrommel, co się, do cholery, za tym kryje?

Nikt nie miał dobrej odpowiedzi na to pytanie i znowu zapadło milczenie. Moreno niemal widziała – albo przynajmniej wyczuwała – intensywny wysiłek umysłowy wszystkich w formie chmury burzowej nad stołem. Wspaniale, pomyślała. Wspaniale mieć trochę więcej pracujących głów. Wreszcie...

– Niech mnie... – odezwał się w końcu Baasteuwel. – Po waszych wesołych minach widzę, że musimy liczyć się z tym, że i ona tam leży.

– Nie mamy żadnych przesłanek, które by na to wskazywały – pośpieszyła Moreno z zaprzeczeniem, ale słuchając własnych słów, wiedziała, że więcej w tym myślenia życzeniowego niż realizmu.

Kohler westchnął.

– Nie pozostaje nam chyba nic innego, jak przekopać całą plażę – zaproponował. – Prosta sprawa. Kilkuset ludzi i ze dwa miesiące... może wojskowi nam pomogą, oni lubią się

w to bawić.

– Z braku wojny – dorzucił Baasteuwel.

– Proponuję zaczekać z tym kilka dni – sprzeciwiła się Moreno. – Mimo wszystko można spróbować z innej strony. Jak, na przykład, idzie śledztwo w sprawie Van Rippego?

Baasteuwel wydał z siebie dźwięk, jakby kosiarka do trawy nie chciała zapalić. Albo trabant.

– Jak po grudzie. Z Van Rippem idzie jak po grudzie. Ale może właśnie o to chodzi.

– Posłuchajmy – powiedziała optymistycznie Moreno.

Aspirant Vegesack, który dotąd głównie się przysłuchiwał, zdecydował się zabrać głos.

– Nie mamy za wiele – potwierdził. – Sekcję wykonano, wczoraj przyszły dokumenty. Czasu zgonu nie da się najwyraźniej precyzyjnie określić. Jest 24-godzinny przedział: zgon nastąpił między godziną dwunastą w południe w niedzielę a dwunastą w poniedziałek, czyli między jedenastym a dwunastym lipca. Przyczynę śmierci ustalono: spiczasty przedmiot wbity w lewe oko prosto w mózg. Żadnych innych obrażeń, żadnych śladów walki... brak zadrapań, fragmentów skóry i tym podobnych. Dziwne, że ktoś mógł tak po prostu podejść i dźgnąć go w oko, czyli pewnie został całkowicie zaskoczony. Może spał... albo opalał się.

Rozejrzał się, czy nie padną jakieś komentarze ze strony Kohlera lub Baasteuwla, ale ani jeden, ani drugi nie zgłosił sprzeciwu. Vegesack popił piwa i kontynuował.

– Rozmawialiśmy ze znajomymi Van Rippego, ale nic nie wnieśli do sprawy. Planował wyjechać na kilka dni z przyjaciółką, Damitą Fuchsbein, to ona zgłosiła jego zaginięcie i zidentyfikowała zwłoki. Ostatnią osobą, która go widziała, przynajmniej z tego co wiemy, był sąsiad Eskil Pudecka. Twierdzi, że rozmawiał z Van Rippem tuż po pierwszej w niedzielę... co oznacza, że ten 24-godzinny przedział odrobinę się kurczy, ale chyba nie ma to większego znaczenia. Przesłuchaliśmy również matkę Van Rippego i jego brata, czyli najbliższych krewnych, też niewiele wiedzieli...

– Chwila, moment – przerwał Baasteuwel. – Kto rozmawiał z tymi wszystkimi ludźmi? Kohler i ja spotkaliśmy się góra z czterema czy pięcioma osobami, a kto z was na przykład zajął się jego dziewczyną? I krewnymi?

Vegesack zastanowił się.

– Ja przesłuchiwałem Damitę Fuchsbein. Z tym że raczej nie była jego dziewczyną. Vrommel zajął się matką i bratem... matką chyba nie dalej jak wczoraj. Wcześniej była na urlopie.

Baasteuwel uderzył pięścią w stół.

– Jasna dupa! – przeklął. – Vrommel przesłuchuje matkę! Vrommel przesłuchuje brata! Vrommel przesłuchuje każdego pieprzonego świadka, który może coś wiedzieć... Kurwa, ten sukinsyn prowadzi sprawę dokładnie po swojej myśli! Widział pan raporty z tych przesłuchań?

Vegesack wyglądał nagle na zakłopotanego.

– Nie... chyba ich jeszcze nie sporządził.

– Ty jakież widziałeś? – Baasteuwel popatrzył na kolegę.

Kohler potrząsnął przecząco głową.

– Tylko spokojnie – upomniał – żebyś się znowu nie zagalopował.

Baasteuwel opuścił ręce w geście bezradności, opierając się z powrotem w fotelu. Moreno była ciekawa, czy często się zagalopowywał i do czego to prowadziło. Uwaga Kohlera najwyraźniej nie była bezzasadna, bo Baasteuwel nawet nie próbował protestować.

– Bez dwóch zdań musimy zbadać sprawę – załagodził Kohler – ale proponuję zrobić to w miarę dyskretnie. Czy też uważacie, że więcej zyskamy od razu stawiając Vrommla pod ścianą?

Moreno zastanowiła się. Widać było, że Vegesack i Baasteuwel też. O ile mogła ocenić, żaden z nich nie miał nic przeciwko temu, by skierować w oczy komendantowi pięćsetwatową żarówkę i rzucić mu w twarz całą gamę oskarżeń.

Ona również nie, co oczywiście nie oznaczało, że taktyka Kohlera nie byłaby właściwsza. Ma rację, pomyślała. Vrommel przypuszczalnie nie należy do głupich, nawet jeśli jest świnią. Czy skunksem. Lepiej wykazać trochę cierpliwości, żeby dać sobie szansę na wybadanie tego i owego.

Nie do końca było jasne, co mieli wybadać, ale jeśli do czegoś zaczęli się przyzwyczajać, to właśnie do niejasności.

Baasteuwel wyraził jej myśli.

– Dobra. Damy łobuzowi kilka dni. Choćby dla przyjemności poobserwowania go, kiedy już swoje wiemy.

Vegesack skinął głową. Podobnie Moreno i Kohler.

– Czyli ustalone – podsumował Kohler. – Co teraz? Chyba czas zaplanować trochę działań?

– Jestem za – powiedział Baasteuwel. – Jakie pieprzone działania podjąć? Ci, którzy mają urlop, mogą pójść na lody, jeśli wolą.

Po południu przeniosła się do Selmy Perhovens. Zobowiązanie jest zobowiązaniem i na jej pokój w „Dombrowskim” czekali już nowi goście, poinformowała usłużnie gospodyni.

Selma bynajmniej nie żałowała swojego zaproszenia. Przeciwnie. Kobiety muszą się wspierać, stwierdziła, kiedy rozmawiały rano przez telefon, a zaoferowanie dachu nad głową w chwili potrzeby stanowiło chyba minimum wsparcia. Poza tym miały parę spraw do omówienia.

Moreno też chciała porozmawiać i bez wahania wprowadziła się do rupieciarni. Selma tak nazywała ten pokój. Dla gości i na rupiecie. Mieszkanie położone było przy Zinderslaan, w starym budownictwie, duże, ale przytulne; cztery wysokie pokoje z kuchnią, miejsca aż nadto dla dość niewysokiej matki i jej chudziutkiej córki, ale Selma zdobyła to mieszkanie na sprawie rozwodowej – czego to się nie robi?

Córka miała na imię Drusilla, kończyła niedługo dwanaście lat, a energii miała chyba ze dwa razy więcej od swojej mamy, która przecież nią tryskała. Kiedy Moreno przekroczyła próg, Drusilla zlustrowała ją od stóp do głów i szeroko się uśmiechnęła.

– Będzie pani u nas mieszkać? – zapytała. – Super!

Moreno domyśliła się, że nie jest pierwszym gościem w rupieciarni. Potem przez dwie deszczowe godziny grała z Drusillą w karty, oglądała telewizję i czytała komiksy. Nie po kolei, ale symultanicznie. Wszystko naraz. Samo oglądanie telewizji jest zbyt nudne, twierdziła Drusilla. Albo granie w karty. Trzeba było mieć jeszcze jakieś zajęcie.

W tym czasie Selma pisała w swoim pokoju dwa artykuły, które miały być gotowe do wpół do piątej; musiała przeprosić, że jest złą gospodynią, ale co zrobić.

Obawiała się, niestety, że wieczorem również będą zajęte; o piątej zabrała Drusillę, zostawiając Ewę Moreno samej sobie. Miały wrócić o jedenastej.

Jeśli nie wcześniej lub nie później.

– Musi pani zostać kilka dni – powiedziała Drusilla, kiedy wychodziły. – Dopiero w przyszłym tygodniu jadę do kuzynów, moja przyjaciółka jest na Ibizie, a mama jest taka nudna, bo tylko pracuje.

– Zobaczymy – obiecała Moreno.

Kiedy została sama, wzięła kąpiel. Przytomnie zabrała ze sobą do łazienki komórkę, bo gdy leżała w lipowej pianie, telefon zadzwonił ni mniej, ni więcej tylko trzy razy.

Najpierw odezwała się powiernica, która w końcu dotarła do siebie i swojej automatycznej sekretarki. Była we Włoszech po towar (Clara Mietens prowadziła na Kellnerstraat w centrum Maardam butik z odzieżą szytą ręcznie i nie przez dzieci), poznała faceta, który do niczego się nie nadawał, oraz nie miała absolutnie nic przeciwko kilkudniowej wycieczce na rowerach po Sorbinowie. W przyszłym tygodniu, może w poniedziałek lub wtorek, potrzebowała trochę czasu, żeby wszystko pokazać swojej zastępczyni. I żeby sprawdzić, czy w ogóle ma rower.

Moreno wyjaśniła, nie wchodząc w szczegóły, że również ona ma najbliższe dni zajęte i umówiły się na telefon przed niedzielą.

Clara chciała wiedzieć, czy zbijanie bąków nad morzem działa ożywczo.

Moreno potwierdziła i rozłączyła się.

Potem zadzwonił inspektor Baasteuvel. Stwierdził, że powinni porozmawiać w cztery oczy. Razem z Kohlerem wprowadził się do Kongershuus i miał wieczór wolny.

Może więc przekąsiliby coś przy kieliszku wina? I bardziej dogłębnej rozmowie, co się, do cholery, dzieje w tej zapomnianej przez Boga dziurze z komisarzem, który zapomniał o Bogu.

Moreno zgodziła się bez zastanowienia. Restauracja Werdera, o ósmej.

Dwie minuty później zatelefonował Mikael. Również on miał wolny wieczór i odczuwał potrzebę porozmawiania z nią. Żeby ustalić parę rzeczy, żadnego rozdierania szat, ale mogli chyba coś przekąsić przy kieliszku wina jak cywilizowani ludzie?

Powiedziała, że niestety tego wieczoru jest już zajęta, ale może spotkać się z nim jutro, jeśli wcześniej nie wyjedzie. Przyjął tę propozycję po chwili wymownego milczenia. Zapytał, czy zawsze zachowuje się w ten sposób, kiedy ma okres. Chowając się jak krwawiąca samica i posyłając wszystkich facetów w diabły?

Zaśmiała się, mówiąc, że nie musi się tym kłopotać. Okres miała za sobą, brała lipową kąpiel w wannie na lwich łapach i cieszyła się na nowe przeżycia.

Zapytał, co u diabła ma na myśli, ale sama nie wiedziała i skończyli rozmowę połowicznie umówieni na następny dzień.

Inspektor Baasteuvel zajął stolik za dwoma gęstymi, ale sztucznymi fikusami i czekał na nią, sącząc ciemne piwo.

– Dlaczego zostałeś gliną? – zapytał, kiedy złożyli zamówienie i przeszli na „ty”. –

Nie jestem idiotką, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie zapytać, kiedy spotykam nowego towarzysza niedoli. Czy towarzyszkę.

Moreno miała w zanadrzu siedem gotowych odpowiedzi i sięgnęła po jedną z nich.

– Bo myślałam, że będę w tym dobra.

– Właściwa odpowiedź – zareplikował Baasteuwel. – Też nie jesteś idiotką.

Uświadomiła sobie, że go lubi. Przed południem, podczas zaimprovizowanego spotkania u Vegesacka, nie było czasu na takie refleksje, ale teraz miała poczucie, że współpracuje z kimś, na kim można polegać. Z facetem, którego nie trzeba wspierać.

Pewnie, że niechluj i gbur; no, niechluj za dużo powiedziane, ale że wszelkie konwenanse miał w nosie, było dość oczywiste. Trzy – lub czterodniowy zarost, szpakowate rozwichrzone włosy przypuszczalnie od pół roku nie widziały nożyczek. Oczy miał głęboko osadzone, ciemne, a krzywy nos był przynajmniej o dwa numery za duży. Szerokie usta, krzywe zęby. On jest brzydki jak ropucha, pomyślała Moreno. Lubię go.

No ale nie spotkali się z powodu wzajemnej sympatii.

– Coś się po południu wydarzyło? – zapytała.

– Tak. Może powoli ruszymy z miejsca. Oczywiście trzeba się pilnować, żeby Vrommel nie zorientował się, że działamy przeciwko niemu, ale sobie poradzimy. Dobrze, że mamy wreszcie coś do roboty, przez pierwsze dni wyglądało to bardziej na czuwanie przy zmarłym niż śledztwo w sprawie morderstwa. Chociaż teraz już wiemy, przez kogo. Wiesz, że Vegesack nazywa go Skunksem? Wyrwało mu się.

Moreno uśmiechnęła się, mówiąc, że też to słyszała.

– Obawiam się, że na razie pozostaje nam tylko zastawiać sidła – ciągnął Baasteuwel.
– Jeszcze nie ma rezultatów, ale będą. Możesz mi wierzyć – jeśli Vrommel ma jakiegoś trupa w szafie, gwarantuję, że go wyciągnę. Rozmawiałem z panią Van Rippe, chociaż tylko przez telefon, a Kohler gadał z bratem. Braciszek najwyraźniej nic nie wniósł... jest sześć lat starszy i nie ma zielonego pojęcia, co Tim wyprawiał jako nastolatek. Zresztą w osiemdziesiątym trzecim, kiedy to się wydarzyło, nie mieszkał już w domu.

– Bitowski? – zapytała Moreno. – Ten drugi, którego nazwisko Mikaela dostała od Very Sauger. – Znaleźliście go?

Baasteuwel potrząsnął głową.

– Niestety nie. Przekłęty sezon urlopowy. Podobno jest na wyspach z kolegami, ale nie udało nam się tego potwierdzić. Sąsiad przypuszcza, że wyjechał w poprzednią niedzielę. Właśnie w tę przekłętą niedzielę... oczywiście mieszka sam, więc albo pije na tych wyspach, albo leży zagrzebany gdzieś na plaży. Jutro spróbujemy dowiedzieć się czegoś więcej od

krewnych i znajomych.

– Wiecie coś o jego charakterze? Jeśli rzeczywiście spotkał się z Mikaelą Lijphart, chyba powinien był zareagować na komunikat.

– Nie, jeśli wyleguje się na leżaku, pijąc ciepłe od słońca piwo – zauważył Baasteuwel.
– Jeśli leży zagrzebany, tym bardziej nie...

Przeżuwał w zamyśleniu kawałek mięsa. Moreno również jadła, czekając na dalszy ciąg.

– No nic – podjął Baasteuwel. – Poprosiłem o protokoły z procesu Maagera. Będą jutro. I listę uczniów ze szkoły, chyba sam będę musiał się po nią przejść, nie mają zbyt wielu ludzi o tej porze roku.

Moreno skinęła głową. Skuteczny, stwierdziła. Nie rozmyśla z założonymi rękami. A przynajmniej nie cały czas. Po raz pierwszy od wielu dni miała uczucie, że może przekazać sprawę, w kompetentne ręce, że nie musi sama wszystkiego przypilnować. Niewątpliwie była to ulga.

Świetnie, pomyślała. Wreszcie ktoś znający się na rzeczy.

Opinia była nieco krzywdząca dla aspiranta Vegesacka, zdawała sobie z tego sprawę, ale Baasteuwel i Kohler byli jakby innego kalibru. Chyba w tym przypadku niezbędnego, żeby uporządkować ten chaos niejasności i półprawd. I dojść do sedna sprawy.

Rozwiążą ją, pomyślała. Mogę przestać się w niej babrać.

– O cholera, właśnie! – przypomniało się Baasteuwelowi między jednym łykiem wina a drugim. – Maager! Jednak ktoś do niego dzwonił w sobotę... w zakładzie odkryli to dopiero teraz, mówią, że telefon odebrał ktoś pracujący na zastępstwie i zwołał Maagera. Około dwunastej. Tego samego dnia, w którym zaginał. W zeszłą sobotę. Co o tym myślisz?

Moreno zastanawiała się dobrą chwilę, zanim odpowiedziała.

– Właściwie nie jestem zdziwiona. Oczywiście nie wiedzą, kto dzwonił?

– Nie, tylko tyle, że kobieta. Jeśli nawet podała nazwisko, zastępca go nie pamięta. Jak myślisz, kto mógł dzwonić?

Moreno popiła łyk wina, ponownie się zastanawiając.

– Sigrid Lijphart. Jego była żona. Ale wymieniam ją tylko dlatego, że poza nią on praktycznie nikogo nie zna.

– Hm – mruknął Baasteuwel, który najwyraźniej nie pomyślał o tej możliwości. – A czego by chciała?

– Na przykład omówić parę rzeczy. Byli małżeństwem przez sześć lat, nie zamienili słowa od szesnastu i mają córkę, która zaginała. Chyba jest o czym rozmawiać.

– Może. Ale co ten telefon... jeśli rzeczywiście ona dzwoniła... miałby wspólnego z jego zniknięciem?

Moreno wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może umówili się na spotkanie. Ciężko coś z niego wydobyć, a przez telefon chyba wcale nie jest łatwiej... tak, mogła umówić się z nim na spotkanie.

Baasteuwel uniósł sceptycznie brwi, analizując w milczeniu to rozumowanie. Po pięciu sekundach opuścił brwi. Trzeba by je przyciąć, odnotowała Moreno.

– A dlaczego nie powiedziała o tym policji, skoro dzwoni z pretensjami? Vegesack mówi, że przynajmniej dwa razy dziennie. Cholernie męcząca kobieta, sam miałem okazję słuchać jej tyrad.

– Nie wiem – Moreno potrząsnęła głową. – Jestem na urlopie. Może trzeba mieć wzgląd na fakt, że jej córka zaginęła...

– Jasne, jasne.

Skończyli posiłek i zamówili kawę. Baasteuwel zapalił papierosa i oparł się łokciami na stole, pochylając się do przodu. Przez chwilę miał tajemniczą minę, potem nagle się uśmiechnął.

– Vrommel. Nie jesteś ciekawa, jak zamierzam rozwiązać problem naszego pana komendanta?

– A i owszem.

– Ponieważ nie mogę trzasnąć go w pysk, a nie bardzo da się wypytywać ludzi na chybił trafił, tak żeby nie dotarło to do jego wiadomości, zwróciłem się do prasy.

– Do prasy?

– Do lokalnej gazety. Do Aarona Wickera, naczelnego „Westerblattu”. On i Vrommel są śmiertelnymi wrogami, jeśli prawidłowo odczytałem sygnały. No i jest w tym wieku, że zna sprawę Maagera. Twierdzi, że napisał o niej z dziesięć kilometrów szpalt. Spotkam się z nim jutro wieczorem, niestety cały dzień będzie w terenie, robi reportaż... ale wtedy, cholera, wyłowimy, co trzeba, z tej mętnej zupy.

– Znakomicie – pochwaliła Moreno. – Gdyby nie wszystko dało się wyłowić, to przypadkiem mieszkam u dziennikarki Wickera.

Baasteuwel na moment oniemiał.

– Trzeba przyznać, że nie zasypiasz gruszek w popiele. Zawsze tak spędzasz urlop?

– Musiałbyś mnie zobaczyć na służbie.

– Trochę też się zastanawiałem – oznajmił Baasteuvel, kiedy dostali kawę. – Poza wygłupianiem się w roli pracowitego policjanta.

– Naprawdę? A nad czym się zastanawiałeś?

– Nad morderstwem Van Rippego. Chociaż do niczego nie doszedłem.

– Też mi się zdarza – przyznała się Moreno. – Raz do roku albo jakoś tak. Mów.

Baasteuvel pokazał nierówne zęby w uśmiechu.

– Glina, co się zowie. Jesteś mężatką?

– A co to, do ciężkiej cholery, ma do rzeczy?

Baasteuvel przechylił się przez stół.

– Nie chciałem tylko, żebyś zagięła na mnie parol – wyjaśnił. – Mam żonę i czwórkę dzieciaków, rozprzestrzenianie swoich genów postrzegam jako obowiązek wobec ludzkości.

Moreno wybuchnęła śmiechem, a Baasteuvel ponownie odsłonił zęby.

– Ale wracając do tematu. Do tego biedaka Van Rippego... cały czas się zastanawiam, jak go właściwie zabito. To cholernie nietypowy sposób mordowania ludzi. Wbijając coś w oko? Trudno się przecież zbliżyć do ofiary... chyba że śpi. Ale dlaczego Van Rippe miałby spać na plaży?

– Może go tam zaniesiono.

– Dojdę do tego, że musiano go tam zanieść – zgodził się Baasteuvel. – Nikt nie sypia na plaży w nocy, a w tak zimną krew, żeby zadźgać opalającego się, nie wierzę. O ile się zorientowałem, za dnia raczej trudno zostać na plaży samemu... choć obowiązki służbowe przeszkodziły mi w sprawdzeniu tego osobiście. Czyli zaniesiono go tam po zabójstwie.

Moreno rozważyła sprawę.

– Nie zaniesiono.

– Wiem. Powiesz, dlaczego?

Moreno stwierdziła, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby współpracować z Baasteuwelem na co dzień. Był nadzwyczaj bystry, a sposób, w jaki dyskutował i przekomarzał się, posuwał sprawy naprzód. Inspirował.

– Prowizoryczny pogrzeb. Jeśli morderca rzeczywiście miał czas, żeby przenieść ciało, powinien mieć również czas, żeby lepiej je ukryć. Na przykład głębiej zakopać. Ale dlaczego wybierałby miejsce, w którym codziennie roi się od ludzi? Są setki miejsc, gdzie zwłok w ogóle by nie znaleziono. Przykładowo na wydmach. Nie, mimo wszystko myślę, że odbyło się to w dużym pośpiechu. Morderca się śpieszył. Zagrzebał ofiarę, jak się dało, i uciekł.

– Innymi słowy, bez specjalnego zastanawiania się?

– Na to wygląda.

– W miejscu zabójstwa?

– Na to wygląda.

Baasteuwel zapalił nowego papierosa, westchnął.

– Może trzeba będzie skorzystać z pomysłu Kohlera.

– Jakiego?

– Wezwać wojsko i przeryć całą plażę.

– Najbliższe otoczenie zostało już chyba przeszukane – zauważyła Moreno. –

Technicy nic nie znaleźli?

– But. Właściwy rozmiar, może być Van Rippego, ale nie jesteśmy pewni. Leżał w odległości jakichś dziesięciu metrów.

– Wspaniały ślad.

– Rewelacyjny. Vrommel trzyma but na swoim biurku i analizuje. Muszę mieć go na oku, żeby gdzieś tego buta nie posiał. W zasadzie powinien zostać wysłany do Laboratorium Chemicznego, ale nie zostaaa...ł.

Nagle ziewnął, a Moreno od razu poczuła, że ma ochotę się dołączyć.

– Przypilnuj więc, żeby wysłano – powiedziała, spoglądając na zegarek. – Zajmij się butem i uważaj na Vrommla. Płacimy? Czy masz coś jeszcze? Jeśli się nie mylę, jutro też pracujesz?

– Hrm – chrząknął Baasteuwel. – Jasne. Ale nie mam nic przeciwko ciężkim dniom. Tak naprawdę męczy mnie siedzenie bez ruchu i przelewanie z pustego w próżne.

Moreno przypomniała sobie jego powitalne pytanie.

– I dlatego zostałeś policjantem, jeśli wolno mi odwzajemnić pytanie? Żeby nie przelewać z pustego w próżne?

Baasteuwel na chwilę jakby się zadumał.

– Właściwie nie. Przyszedłem do policji, bo uwielbiam wsadzać łobuzów. Wprawdzie nigdy nie złapię wszystkich, jest ich za dużo, ale każda kanalia, którą zapuszczuję, poprawia mi nieco samopoczucie. Moja żona uważa, że jestem perwersyjny.

Uśmiechnął się bez pokazywania zębów.

– Bywają gorsze motywy zgłaszania się do policji – rzekła Moreno.

– W rzeczy samej – zgodził się Baasteuwel. – Odezwę się jutro wieczorem. Jeśli zostajesz?

Moreno skinęła głową.

– Przynajmniej do soboty. Mam umowę z pewną młodą damą.

Młoda dama leżała już w łóżku, kiedy Moreno wróciła na Zinderslaan, ale jej mama siedziała w kuchni, robiąc korektę.

– Czuję się jak Cyganka – wyznała Moreno. – Pętam się po okolicy i zmieniam mieszkanie kilka razy w tygodniu.

– Cyganie to mili ludzie – zauważyła Selma. – Chcesz herbaty?

Moreno chciała. Było wprawdzie po wpół do dwunastej, ale skoro miały omówić parę spraw, to najlepiej teraz, gdy Drusilla nie mogła nic usłyszeć.

– Tim Van Rippe. Jutro wychodzimy z jego nazwiskiem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

– Nic a nic. Najbliżsi są poinformowani.

– Świetnie. Mogłybyśmy też obgadać historię Maagera. Myślę, że czas coś o tym napisać, jeśli okaże się, że jest z tego temat. Może parę faktów do pokazania w nieco innym świetle? W przyszłym tygodniu lub jakoś tak... jaką chcesz herbatę? Mam sześćdziesiąt dwa rodzaje.

– Mocną – powiedziała Moreno.

23 lipca 1999

W piątek wrócił wyż. Deszcze przeszły z południowo-zachodnim wiatrem i upał szybko wzrastał. Już o siódmej rano duży termometr na budynku firmy komputerowej Xerxes w Lejnicach pokazywał dwadzieścia pięć stopni w cieniu, a miało być jeszcze goręcej.

Inspektor kryminalny Ewa Moreno nie należała tego ranka do tych, którzy wstali o siódmej i sprawdzali, jaka jest pogoda. O dziewiętej obudziła ją Drusilla, która nie omieszkała natychmiast wprowadzić jej w sytuację.

– Niebo jest błękitne jak len, a słońce praży jak cholera.

– Drusilla, nie przeklinaj – upomniała ją mama rozczesująca w drzwiach włosy.

– Czasami trzeba wyrazić się soczyście – odparła Drusilla. – Sama mnie tego nauczyłaś.

Potem odwróciła się do Moreno.

– Może pani pójść ze mną na plażę, jeśli ma ochotę – zaproponowała. – Bierzemy jeszcze jednego dzieciaka, więc nie będzie pani musiała cały czas się mną zajmować.

Moreno zastanowiła się przez dwie sekundy, po czym wyraziła zgodę.

Pobyty na plaży i korzystanie ze słońca nie były jednak tak do końca sielankowe. Drusilla dotrzymała słowa i większość czasu spędzała z młodym człowiekiem o imieniu Helmer – kąpali się, budowali zamki z piasku, kąpali się, grali w piłkę, kąpali się, jedli lody, kąpali się, i czytali komiksy. Moreno urozmaicała sobie pobyt, przewracając się z brzucha na plecy i z powrotem na brzuch, ale niezależnie od pozycji nie mogła oderwać myśli od tego, co przed niecałym tygodniem kryło się w tym ciepłym, miękkim piasku.

I od tego, co mogło jeszcze się w nim znajdować.

Może leżę na jakichś zwłokach, pomyślała, zamykając oczy przed słońcem. Zaraz Helmer i Drusilla przybiegną, że odkopali głowę.

Zrozumiała, że czas stąd wyjechać. Pora w końcu zostawić Lejnice i plażę i wrócić do Maardam. Sprawa Mikaeli Lijphart nie była już jej sprawą. Podobnie jak sprawy Arnolda Maagera i Tima Van Rippego. Oczywiście, jeśli być precyzyjnym, nigdy ich formalnie nie prowadziła, ale teraz przynajmniej przekazała je w kompetentne ręce. Kohlerowi i

Baasteuwelowi oraz – gdyby to miało nie wystarczyć – miejscowej ekipie dziennikarskiej: Selmie Perhovens i, o ile dobrze zrozumiała, redaktorowi Wickerowi. Nie było potrzeby, żeby się dalej angażowała. Najmniejszej potrzeby. Zrobiła więcej niż ktokolwiek mógł od niej wymagać, a jeśli miała wrócić do pracy w sierpniu z naładowanymi akumulatorami, najwyższy czas, żeby zafundowała sobie trochę prawdziwego urlopu. Na przykład wycieczkę rowerową z namiotem po dzikim Sorbinowie. Ciepłe wieczory przy ognisku, ryby pieczone w żarze, dobre wino i egzystencjalne rozmowy. Nocne pływanie w ciemnej wodzie.

A jeśli oni naprawdę chcieli przeszukać tę rojącą się od ludzi plażę, to nie miała większej ochoty w tym uczestniczyć. Wcale nie miała ochoty.

Ale właśnie to jej się przyśniło, kiedy zasnęła. Horda ubranych na zielono, spoconych żołnierzy, którzy pod dowództwem łysego oficera (uderzająco podobnego do komendanta Vrommla, ale z gęstym hitlerowskim wąsikiem, a nie tym rzadkim) motykami i saperkami przekopywali plażę, wydobywając ciągle nowe zwłoki; układali je w stosach według płci i wieku, a ona pilnowała ich razem z aspirantem Vegesackiem. Baasteuwel szczotką oczyszczał ciała i twarze z piasku, a przerażonym oczom Moreno ukazywali się po kolei: Mikaela Lijphart, Winnie Maas, Arnold Maager (którego widziała tylko na słabym zdjęciu, ale mimo to w jakiś niewyjaśniony sposób rozpoznała lepiej niż innych), Sigrid Lijphart, Vera Sauger, Mikael Bau, Franz Lampe-Leermann... co ci dwaj mieli wspólnego z pozostałymi, trudno jej było pojąć, ale przyjęła to jako przejaw nieodłącznego od życia szaleństwa. Dopiero kiedy Drusilla Perhovens przywlokła Maud, jej siostrę – nie dorosłą, ale jako nastolatkę – Moreno miała dość i obudziła się.

Głowa jej pękała. Nie wolno spać na słońcu! Pamiętała, że tę zasadę mama z jakiegoś powodu starała się wbić do jej dziecięcej główki i chociaż Moreno nie wyniosła z domu zbyt wiele mądrości, to dzisiaj skłonna była w tym punkcie przyznać swojej mamie rację. Wstała chwiejnie i poszła się wykapać.

– Inspektor kryminalny Baasteuwel – powiedział Baasteuwel.

W słuchawce zapadła cisza.

– Czy mówię z doktorem deHaavelaarem?

– Czego pan chce?

– Zadać tylko kilka pytań. Pracuję nad sprawą Van Rippego, o której czytał pan pewnie w gazetach. Wydaje się ona mieć związek z inną sprawą, dość odległą w czasie. Z morderstwem Winnie Maas. Przypomina pan sobie?

– Może.

– To pan przeprowadzał sekcję zwłok?

– Nie mam nic do dodania w tej kwestii.

– Chcę tylko wyjaśnić pewną rzecz.

– Nie ma nic do wyjaśniania. Czy komendant zaaprobował tę rozmowę? Bo chyba on prowadzi śledztwo?

Baasteuwel przed odpowiedzią zrobił krótką przerwę.

– Czy mogę zapytać, co się kryje za pańską niechęcią, by o tej sprawie rozmawiać?

W słuchawce dało się słyszeć zirytowane parsknięcie.

– Mam ważniejsze rzeczy na głowie. Ostatnio nękała mnie już zresztą jakaś policjantka.

– Inspektor Moreno?

– Właśnie. Powinienem zgłosić to Vrommlowi, ale postanowiłem być wspaniałomyślny.

– Rozumiem. Sytuacja przedstawia się następująco: albo odpowie pan teraz na moje pytania przez telefon, albo przywiozą tu pana radiowozem. Co pan woli?

W słuchawce zapadła cisza. Baasteuwel zapalił papierosa i czekał.

– Co, do cholery, chce pan wiedzieć?

– Tylko kilka szczegółów. Mam tu przed sobą protokoły z procesu. Z procesu Arnolda Maagera. I jedna rzecz mnie dziwi.

– A mianowicie?

– Pan nie zeznawał?

– Nie.

– Dlaczego? Pełnił pan przecież funkcję lekarza sądowego.

– Nie było potrzeby. Taki jest zwyczaj, ale nie jest to konieczne. Sprawa była jasna jak słońce, a ja widocznie miałem inne zajęcia.

– Ale to pan podpisał raport z sekcji, który później odczytano w sądzie?

– Oczywiście. Do czego pan zmierza, bo tracę cierpliwość?

– Podano tutaj, że przeprowadził pan sekcję Winnie Maas – razem z patologiem Kornitzem – stwierdzając, że dziewczyna była w ciąży. Zgadza się?

– Tak.

– Ale nie podaliście, od jakiego czasu.

– Nie?

– Nie.

– Dziwne. Powinno być wpisane. Nie pamiętam dokładnie, ale ciąża nie była zbyt

zaawansowana... pięć, sześć tygodni.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

– Czy nie mogło być trochę więcej? Na przykład dziesięć, dwanaście tygodni?

– Oczywiście, że nie – zaprotestował deHaavelaar. – Co mi pan tu do cholery, insynuuje?

– Nic – odrzekł Baasteuwel. – Chciałem tylko sprawdzić, skoro brakowało tej informacji.

DeHaavelaar nie skomentował i znowu na kilka sekund zapadła cisza.

– Czy coś jeszcze?

– Na razie nie – powiedział Baasteuwel. – Dziękuję za pomoc.

– Proszę – doktor odłożył słuchawkę.

Ładne kwiatki, pomyślał Baasteuwel, patrząc na telefon z gorzkim uśmiechem. Łobuz kłamie.

Co zresztą należało uznać za całkowicie rozsądne, stwierdził po chwili. Nie było cienia szansy, żeby go dopaść. Zwłaszcza że patolog Kornitz zmarł przed trzema laty.

Bardziej interesująca była kwestia, dlaczego kłamał.

Moreno nie zabrała ze sobą telefonu na plażę i gdy o wpół do piątej wróciły z Drusilla do domu, miała dwie wiadomości.

Pierwszą zostawił Münster. Głos miał niezwykle przygnębiony i prosił, żeby jak najszybciej oddzwoniła.

Uświadomiła sobie, że jeszcze raz udało jej się wyprzeć z codziennych myśli Lampego-Leermanna i sprawę pedofila (choć pamiętała, że parszywiec przelotnie pojawił się w jej śnie), a gdy teraz Münster ją przypomniiał, znowu miała uczucie, jakby na jej szyi zaciskała się pętla.

Szlag by trafił, pomyślała. To nie może być prawda.

Oddzwoniła natychmiast, ale nie odbierał. Ani w komendzie, ani w domu. Nagrała się na sekretarkę, wyjaśniając, że próbowała go złapać.

Tak wyglądają dzisiejsze czasy, pomyślała zrezygnowana, rozłączając się. Żyjemy w świecie okaleczonej komunikacji – telefonów używamy, żeby wyjaśniać, że chcieliśmy nawiązać kontakt, ale nam się nie udało. Naprawdę przykre.

Na drugą wiadomość nie musiała odpowiadać. Dzwonił jej były chłopak (kochanek? facet? narzeczony?), żeby poinformować, że czeka na nią u Werdera o ósmej.

Ta sama restauracja, co wczoraj, skojarzyła. I ta sama godzina.

Ale nowy facet. Dobrze, że jutro jedzie do domu. Kelnerzy na pewno nieco się zdziwią. Może wyciągną też jakieś dla niej mało pochlebne wnioski.

W każdym razie zdecydowała się pójść. Ale nie na długo. Czowała się zmęczona. Na zmęczoną wyglądała również Selma, kiedy wróciła kilka minut po piątej.

– Żadnych nocnych rozmów – oświadczyła.

– Mowy nie ma – przytaknęła Moreno.

Siedziały do drugiej. Wątkując jeszcze raz sprawę Maager-Lijphart. Dyskutowały o związkach, mężczyznach, dzieciach, pracy, książkach, o sytuacji w tak zwanej byłej Jugosławii i co właściwie oznacza być pierwszą wolną kobietą w historii.

Egzystencjalne rozmowy. Dające wiele do myślenia. Ale jedna noc starczy.

– Dzięki, że przypilnowałaś dzieci – powiedziała Selma.

– Nie pilnowała nas ani trochę – sprostowała Drusilla. – Pilnowaliśmy się z Helmerem sami przez cały dzień.

– Prawda – potwierdziła Moreno. – Jutro wyjeżdżam. Dzisiaj też będę jadła na mieście. Tylko nie pomyśl, że to jakiś nawyk.

– Jeśli nawet, to całkiem niegłupi – zauważyła Selma. – A co mój szkrab chce wrzucić na ruszt na obiad?

– Połędwicę nadziewaną gorgonzolą z pieczonymi ziemniakami – odparł szkrab. – Dawno nie jadłam.

– Będą parówki z makaronem – zdecydowała jej mama.

Gdy miała wychodzić, telefon zadzwonił ponownie.

Tym razem był to Baasteuvel.

– Dzięki za wczoraj. Chcesz raport?

– Również dziękuję. Pewnie, że chcę.

– Trochę się śpieszę. Podam ci tylko najważniejsze, może być?

– Może być.

– Ten lekarz kłamie.

– DeHaavelaar?

– Tak. Winnie Maas była w ciąży, ale nie sądzę, żeby Arnold Maager był ojcem.

Moreno próbowała przetrwać informację, jakoś ją zaszeregować.

– Do cholery! Jesteś pewien?

– Ani trochę. Tylko intuicja mi tak podpowiada, ale mam genialną intuicję. Poza tym

wrócił.

– Wrócił?

– Tak.

– Kto?

– Arnold Maager oczywiście. Wrócił do Sidonisu dzisiaj po południu.

Moreno na kilka sekund zaniemówiła.

– Wrócił? Tak po prostu?

– Zgadza się.

– Jak to? Gdzie był?

– Tego nie powiedział. W ogóle nic nie mówi. Leży na łóżku i wpatruje się w ścianę. Bez względu na to, co robił, przez prawie tydzień nie brał leków. Dostaje chyba antydepresyjne. Trochę się o niego martwią.

– A jak się pojawił?

– Po prostu sobie przyszedł. Wolniutko, koło piątej. Jest tam Vrommel i rozmawia z personelem.

– Vrommel? Czy nie byłoby lepiej, żeby ktoś inny...?

Baasteuwel westchnął.

– Nie możemy przecież, do cholery, całkowicie wyłączyć go ze sprawy, tak żeby tego nie zauważył. Vegesack pojechał z nim, żeby go pilnować, ale skoro Maager ma atak autyzmu, jest to chyba bez większego znaczenia.

Moreno zastanowiła się.

– Miejmy nadzieję. Nic z tego nie rozumiem. Masz coś jeszcze?

– Trochę, ale teraz muszę gnać na kilka pomniejszych przesłuchań. O której jutro wyjeżdżasz?

Moreno zawahała się. Jeszcze nie ustaliła godziny. Ale chyba nie było powodu, żeby wyruszać bladym świtem? Powinna też kupić coś Selmie. I Drusilli.

– Jest pociąg o czwartej. Pojadę chyba tym.

– Świetnie, zdążymy jeszcze razem zjeść lunch.

Baasteuwel odłożył słuchawkę. Moreno stała przez chwilę z telefonem w ręce. To ci dopiero, pomyślała. Czyli Maager nie był ojcem dziecka? Co z tego wynikało?

Trudno powiedzieć. W każdym razie musiał być przekonany, że jest. Czy nie w tym tkwił haczyk?

I nagle pytania znowu zaczęły w niej wzbierać. Czyj haczyk? Przez kogo zarzucony?

Oczywiście przez Winnie Maas. Ale może przez kogoś jeszcze?

Bo niepokalane poczęcia raczej się nie zdarzają, jak powiedziała Mikaela Lijphart w pociągu przed dwoma tygodniami...

Moreno wyciągnęła się na łóżku i wpatrzyła w sufit.

Co do ciężkiej cholery stało się z Mikaelą?

Czego Arnold Maager szukał w świecie i dlaczego Tim Van Rippe zginął?

Sporo niejasności. Cholernie dużo niejasności.

A jak wyglądało zaciskanie pętli na szyi komendanta Vrommla? Zapomniała Baasteuwela zapytać.

No nic, mogło poczekać do jutra, zdecydowała.

Nie ma co sobie bez potrzeby zaprzętać głowy.

24 lipca 1999

Inspektor Baasteuwel stał w cieniu magazynu, patrząc na mewę.

Mewa patrzyła na Baasteuwela. Poza tym niewiele się działo. Świeciło słońce. Błyszczało morze.

Spojrzał na zegarek. Dopiero piętnaście po dziesiątej, a mógł przysiąc, że temperatura nie miała daleko do kreski trzydziestu stopni. Jeżeli już jej nie przekroczyła. Czyli wyż się utrzymywał, a niebo było tak bezchmurne, że Baasteuwela niemal rozboleła głowa. Ta sobota miała być trzecim dniem jego urlopu, uświadomił sobie. Szlag by trafił. No, ale co zrobić. Zapalił papierosa, dzisiaj czwartego. A może piątego.

Wreszcie pojawił się prom płynący wolno wokół falochronu. Wyglądał na prawie pusty. Żeby nie rzec, całkiem pusty; nic dziwnego, po co takiego dnia jak ten przeprowiać się z wysp na ląd? Sens miał odwrotny kierunek. Czekający na prom tłoczyli się między barierkami jak westweringeńskie śledzie, a łańcuch za ostatnim samochodem na kurs o jedenastej zaciągnięto dziesięć minut temu. Po co komuś na wyspach samochód?

Baasteuwel opuścił względny chłód za magazynem i przeszedł do bramki, którą wypuszczano wysiadających z promu. Rozłożył parasol.

Żałował, że zdecydował się na niego. Zapakowała mu go żona w napadzie gorzkiego feministycznego humoru, ale co u diabła? Potrzebował znaku rozpoznawczego, a niebiesko-żółty parasol z reklamą prezerwatyw Nixon nadawał się całkiem całkiem.

Zwłaszcza przy tej pogodzie. Baasteuwel rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie zauważył parasoli z reklamami prezerwatyw.

Claus Bitowski powinien go dostrzec.

Dostrzegł. Wśród pierwszych wysiadających pasażerów znajdował się otyły mężczyzna około trzydziestki. Może trochę starszy. W okularach przeciwsłonecznych i odwróconej daszkiem do tyłu bejsbolówce. W jednej ręce trzymał poplamioną sportową torbę z żółtego plastiku, w drugiej do połowy opróżnioną butelkę piwa. T-shirt z napisem „We are the Fuckin’ Champs” nie do końca dawał radę utrzymać brzuch nad paskiem dżinsów.

– To pan jesteś tym gliną? – zapytał bez ceregieli.

Baasteuwel złożył parasol. Rodzice powinni byli używać Nixona, pomyślał.

– Zgadza się. Claus Bitowski?

Bitowski kiwnął głową. Dopił piwo i rozejrzał się za koszem. Nie dostrzegł żadnego, więc wyrzucił butelkę do wody. Baasteuwel odwrócił wzrok.

– Nie mam nic do powiedzenia – oznajmił Bitowski.

– Przecież jeszcze o nic nie zapytałem – zdziwił się Baasteuwel.

– O Van Rippem. Nic nie wiem.

– Zobaczymy. Dobrze, że się pan pojawił. Usiądziemy gdzieś?

Bitowski zapalił papierosa.

– I tak nie mam nic do powiedzenia.

Świetnie, pomyślał Baasteuwel. Trzydziestodwuletni dzieciak. Trzeba pedagogicznie.

– Może piwo w Strandterrassen? – zaproponował.

Bitowski zaciągnął się, rozważając ofertę.

– No dobra.

Przecięli Zuiderslaan i usiedli przy stoliku pod parasolem. Baasteuwel przywołał gestem kelnerkę i zamówił dwa piwa.

– Wie pan, że Tim Van Rippe został zamordowany? – zapytał, kiedy kufle znalazły się na stoliku.

– Kurewska sprawa.

– Pan go znał?

– Znałem, nie znałem. Teraz już nie, wcześniej może.

Baasteuwel wyjął notes, żeby zapisywać.

– Na przykład w 1983?

– Co?

– 1983. Taki rok.

– Łapię. Tak, znałem Van Rippego, jak chodziliśmy do budy...

– Znał pan też Winnie Maas?

– Winnie? A co, kurwa, ma do tego Winnie?

– Znał ją pan? – powtórzył Baasteuwel.

– Tak... tak, kurwa. Jasne, że znałem Winnie, trochę. Na pogrzebie też byłem. Żeśmy przecież chodzili do tej samej budy...

– Do jednej klasy?

– Nie, kurwa. Byłem rok wyżej. Dlaczego pan o to pytasz? Nic nie wiem, już mówiłem.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Van Rippego – wyjaśnił Baasteuwel. –
Chyba byłby pan za tym, żebyśmy wsadzili mordercę?

– Tak, ale ja nic nie wiem.

Chyba rzeczywiście, pomyślał Baasteuwel, popijając łyk. I nie tylko w tej sprawie.

– Kiedy wyjechał pan na wyspy?

– Dwa tygodnie temu.

– W jaki dzień?

Bitowski zastanowił się.

– W niedzielę. Tak, wyjechaliśmy po południu.

– Wyjechaliśmy?

– Ja z kumplami.

– Rozumiem – powiedział Baasteuwel. – Pan z kumplami. Czy przed wyjazdem odwiedziła pana młoda dama nazwiskiem Mikaela Lijphart?

– Jak? Mikaela...?

– Lijphart. Rozmawiał pan z nią w tamtą niedzielę?

– Kurwa, nie. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

– Znał pan dobrze Tima Van Rippego, kiedy byliście młodszy?

– Tak sobie.

– Chodził z Winnie Maas?

Bitowski wzruszył ramionami. Brzuch mu się zatrząsał.

– Chyba tak. Chodziła z różnymi.

– A kiedy chodziła z Van Rippem, pamięta pan?

– Nie, skąd, kurwa, miałbym pamiętać?

– Może tuż przed jej śmiercią?

– Nie, kurwa – zaprotestował Bitowski. – To było dużo wcześniej. Ogólnie się puszczala.

– Puszczala się?

– No, była z tych.

– Pan też spał z Winnie Maas?

Bitowski opróżnił kufel, beknął.

– Mogło się zdarzyć.

– Mogło się zdarzyć? Spał pan z nią czy nie?

Bitowski spojrział na kufel i Baasteuwel poprosił gestem o jeszcze jedno piwo.

– Raz – przyznał się Bitowski.

– Kiedy to było? Jak chodziła do dziewiątej klasy?

– Nie, wcześniej. Ja chodziłem do dziewiątej, więc ona musiała być w ósmej...

– I tylko raz?

– Raz ją przeleciałem, tak.

Baasteuwel przez chwilę studiował jego nalaną twarz.

– Jest pan pewien, że nie chodziła z Timem Van Rippem w maju i czerwcu 1983?

Bitowski dostał nowe piwo i popił.

– Pewien, nie pewien – mruknął. – Nie wydaje mi się. Obciągnęła mi na początku maja.

– Obciągnęła?

– Tak, kurwa, na jakiejś imprezie. Nie pamiętam dokładnie.

Baasteuwel powstrzymał chęć wbicia Nixona Bitowskiemu w sadło na brzuchu.

Nie pamiętasz, pomyślał. Za dziesięć lat pewnie nie będziesz pamiętał, jak się nazywałeś albo gdzie masz małego.

– Może mi pan podać nazwiska innych chłopaków, z którymi Winnie chodziła? Wiosną osiemdziesiątego trzeciego?

– Nie. Na stałe nie miała chyba nikogo, właściwie jej nie znałem. Nic nie wiem, już mówiłem.

– Czy był pan przesłuchiwany w związku ze śmiercią Winnie?

– Przesłuchiwany? Nie, dlaczego miałbym być przesłuchiwany? Nie rozumiem też, czemu pan mnie przesłuchujesz?

– Czyli policja nie zadawała panu żadnych pytań? – Nie.

Baasteuwel poczuł nagle, że on też nie ma więcej pytań. Jeśli nie miałyby ustalać, czy Bitowski wie, jak się nazywa prezydent USA lub zna jakieś miasto we Francji. Albo ile jest jedenaście razy osiem.

– To byłoby na tyle – rzekł. – Dziękuję za piwo.

– Co, kurwa...?

– Żartowałem – wyjaśnił Baasteuwel.

Aspirant Vegesack był zdenerwowany.

Nie dlatego że działał za plecami Vrommla. Wcale nie dlatego. Ale zwodzenie innych było trudne. Nieprzyjemne. Zwłaszcza kogoś takiego jak pani Van Rippe – zamordowano jej syna, a aspirant musiał ją okłamywać. Czuł, że to nie w porządku, nawet jeśli kłamstwa nie należały do tych najcięższego kalibru.

Właściwie nie tyle kłamał, ile nie ujawniał prawdy.

Jak to się mówi, mydlił jej oczy. Jednak nie bardzo go to pocieszało.

– Nie rozumiem tego – powiedziała, wsiadając do samochodu. – Dlaczego znowu chcecie ze mną rozmawiać? Wydarzyło się coś nowego?

– Niezupełnie – odpowiedział Vegesack. – Potrzebujemy trochę uzupełniających informacji.

– I w tym celu musi mnie pan zawieźć do Lejnic?

– Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

Karpatz i Lejnice dzieliła ponad godzina drogi, na szczęście pani Van Rippe przez większość czasu milczała. Vegesack zerkał na nią dyskretnie, jak mięła na kolanach chusteczkę. Sześćdziesięcioletnia, przedwcześnie postarzała kobieta, której zabito syna. Co pewien czas wycierała nos. Może ma alergię, pomyślał. Albo żałoba tą drogą znajdowała ujście. Ostatnie dni nie były łatwe dla pani Van Rippe. Jej syna miano pochować w przyszłym tygodniu, w czwartek, jeśli Vegesack dobrze pamiętał. Kremacji zabroniono ze względu na śledztwo. Musiała czuć się fatalnie, jakby jej własne życie w jakiś sposób też się skończyło.

Choć Vegesackowi trudno było postawić się na jej miejscu. Był wdzięczny, że nie musi o tym rozmawiać.

I niezbyt szczęśliwy, że musi ją zwozić.

– Znał pan Tima? – zapytała mniej więcej w połowie drogi. Vegesack potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Był kilka lat starszy. No i mieszkam w Lejnicach dopiero od dziewięćdziesiątego trzeciego. Właściwie jestem z Linzhuisen.

– Rozumiem. Zresztą Tim nie miał zbyt wielu przyjaciół.

– Nie?

– Nie, raczej należał do samotników.

Vegesack nie wiedział, co powiedzieć, a pani Van Rippe nie kontynuowała tematu. Westchnęła i nałożyła okulary.

– Ładna pogoda – stwierdziła, jakby dostrzegła to dopiero teraz.

– Tak, ciepło i przyjemnie.

W zasadzie więcej przez całą podróż nie rozmawiali. Dojechali do Lejnic za pięć pierwsza, Vegesack zaparkował na Zeestraat przed redakcją „Westerblattu”.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Gazeta? Dlaczego idziemy do gazety?

Vegesack odchrząknął.

– Nie idziemy do gazety, korzystamy gościnnie z ich lokalu, kiedy komisariat jest przepełniony.

Nie potrafił ocenić, czy mu uwierzyła.

Moreno w podziękowaniu za gościnę kupiła Selmie butelkę porto, natomiast przy wyborze prezentu dla Drusilli ogarnęły ją pewne wątpliwości. W końcu zdecydowała się na nagrodzoną książkę dla młodzieży i bombonierkę; widziała, że regał w pokoju Drusilli był zastawiony książkami, a czekoladki z pewnością padną ofiarą jej łakomstwa.

Zarówno mama, jak i córka wydawały się zadowolone z pożegnalnego prezentu i Moreno opuściła dom pań Perhovens po gorących pożegnaniach i zapewnieniach o utrzymywaniu kontaktu. Zamknęła torbę w schowku na dworcu, zażyła ostatniej słonecznej kąpieli na plaży i zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami o drugiej spotkała się z Baasteuwelem na lunchu w Café Darm.

– Rozjaśnia się – oznajmił Baasteuwel, kiedy podano im sałatki. – Choć jeszcze nie jest tak jasne jak dzisiejsze słońce.

– Chcesz powiedzieć, że nie podasz mi rozwiązań?

– Niestety. Jeszcze do niego nie doszliśmy. Diabli wiedzą, jak to poukładać.

Moreno czekała na dalszy ciąg.

– I czort wie, co się stało z Mikaelą. Zero reakcji na nowy komunikat. Nie zgłosili się nawet wariaci, którzy zawsze dzwonią, że widzieli samego diabła i jego teściową. Nawet trochę podejrzanę, ale pilnujemy Vrommla, żeby nie schował czegoś pod korcem.

– A Maager? Pytaliście Sigrid Lijphart o ten telefon do Sidonisu?

– Tak, oczywiście. Kategorycznie zaprzecza. Twierdzi, że nie rozmawiała z nim od szesnastu lat ani nie zamierza przez najbliższych szesnaście. Serdeczna kobieta, nie ma co. Chociaż ma swoje powody.

– Może kłamie.

– Niewykluczone. Nie rozmawiałem z nią osobiście, Kohler się tym zajął. W każdym razie Maager nadal leży na łóżku i wpatruje się w tę samą plamę na tapecie. Jeśli ma otwarte oczy, co nieco w niego wmusili, żeby się przespał. Ciekawiej przedstawia się sprawa z Winnie Maas... chcesz posłuchać?

– Zamieniam się w słuch.

Baasteuwel wypił pół szklanki wody mineralnej i pogrzebał widelcem w sałatce, zanim zaczął.

– Święta raczej nie była.

– Zorientowałam się.

– Mało kto chce się do niej przyznać. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, jakby nabierali rezerwy, gdy zaczynałem o nią pytać. Najzwyczajniej w świecie nie chcieli o niej mówić. Każdy wie, kim była, ale takie słowo jak „przyjaciółka” już nikomu nie przeszło przez gardło. Jej postać jest dość wyraźna. Młoda, pozbawiona hamulców *femme fatale*, jeśli określić bez ogródek. Wprawdzie ten cholerny Bitowski przyznał, że spał z nią raz, ale ilu jeszcze, diabli wiedzą. A w chwili śmierci miała tylko szesnaście lat. I nikt z pytanych nie miał wątpliwości, że to Maager zepchnął ją z wiaduktu. Nikt.

Moreno zastanowiła się przez chwilę.

– Czyli jeśli nawet nie był ojcem dziecka, mógł ją zabić?

– Na to wygląda. Istotne jest, że był przekonany, że zrobił jej dziecko, a nie, czy tak było naprawdę. Chciała tę sytuację w jakiś sposób wykorzystać, a on ją zastopował. Najprostsze wyjaśnienie.

– A Vrommel? I ten lekarz?

Baasteuwel westchnął.

– Czort ich wie. Nawet jeśli deHaavelaar rzeczywiście zataił informacje, nie musi to jeszcze niczego oznaczać.

– Owszem – zaprotestowała Moreno. – Zataił z jakiegoś powodu. Vrommel też musiał mieć powód, żeby nie wspominać o Verze Sauger. Proste i logiczne.

– Wiem – mruknął Baasteuwel. – Szlag by trafił. Dlatego powiedziałem, że dopiero się rozjaśnia. Rozgryziemy dziadostwo, jeśli nie po co innego, to po to, żeby pokazać temu komendancikowi, gdzie raki zimują. A jak ma coś na sumieniu, niech mnie piorun trzaśnie, jeśli nie postawię go przed sądem. Obiecuję powiadomić o egzekucji... o innych sprawach też, jeśli jesteś zainteresowana.

Moreno skinęła głową.

– Przede wszystkim chodzi mi o dziewczynę. Nie chciałabym, żeby coś się jej przytrafiło, ale boję się, że... wiesz.

– Wiem. Oczywiście, że wiem. Ani ty, ani ja nie jesteśmy nowicjuszami. Ale trochę optymizmu nie zaszkodzi, dopóki nie ma dowodów, staram się wyznawać tę zasadę. Dzisiaj bierzemy się za matkę. Matkę Van Rippego. Z pomocą redaktora Wickerera – spojrzął na zegarek – siedzą już chyba w redakcji. Powinno coś dać, Wickerer zna tę dziurę jak własną kieszeń... tak, tak by z grubsza wyglądała sytuacja.

– A Vrommel niczego się nie domyśla?

Baasteuwel odsłonił zęby.

– Na razie nie. Dziwił się tylko, dlaczego ja z Kohlerem nie pojechaliśmy jeszcze do domu.

– Co mu powiedzieliście?

– Że podoba nam się miasto, a do naszych małżonek nam się nie śpieszy – wyjaśnił Baasteuwel, uśmiechając się znowu. – Głupek uwierzył. Nigdy nie był żonaty i wydaje mu się, że wygrał los na loterii.

Moreno nie miała do tego komentarza.

– Jedzmy.

Podkomisarz Kohler przedstawił się i poprosił panią Van Rippe, żeby usiadła.

– Przypuszczam, że poznaje pani redaktora Wickera z „Westerblattu”?

Pani Van Rippe zajęła miejsce, wodząc zdumionym wzrokiem między Kohlerem a Wickerem.

– Tak... oczywiście. Ale gdzie jest komendant? Myślałam, że on będzie ze mną rozmawiał?

– Zatrzymały go obowiązki – wyjaśnił Kohler. – Sama pani rozumie, że jest masę roboty. Mnie oddelegowano specjalnie z Wallburga w związku z zabójstwem pani syna.

– Kawy i może kanapkę? – zapytał Aaron Wicker.

Przez chwilę Vegesack myślał, że Edita Van Rippe wstanie i wyjdzie. Zaciśnęła usta w wąską kreskę i patrzyła w podłogę.

– Poproszę – powiedziała w końcu. – Ale nie rozumiem, dlaczego tu jestem.

– Robimy, co w naszej mocy, żeby wyświetlić to tragiczne zdarzenie – rzekł Kohler. – Im więcej danych, na których będziemy mogli się oprzeć, tym większa szansa, że nam się uda. Że znajdziemy zabójcę. Mamy kilka pytań, które chcielibyśmy pani zadać... żeby mieć trochę pełniejszy obraz życia pani syna.

Wicker nalał kawy i odkrył półmisek z kanapkami z cukierni Doovera, sąsiadującej z redakcją przez ścianę.

– Ja jestem tutaj z tego prostego powodu, że znam miejscowe realia – wyjaśnił. – Proszę, pani Van Rippe.

Wzięła kanapkę z szynką, patrząc na nią podejrzliwie.

– Chciałabym o czwartej być z powrotem.

– Żaden problem – zapewnił Kohler. – Aspirant Vegesack odwiezie panią, jak tylko skończymy. Czy mogłaby pani opowiedzieć trochę o swoim życiu?

– O moim życiu?

Edita Van Rippe patrzyła na podkomisarza, jakby nie zrozumiała pytania. Jakby nigdy nie miała własnego życia.

– Prosiłbym. Tak w zarysach.

– Co... co chce pan wiedzieć? Mieszkałam tu w Lejnicach od dziecka...

przeprowadziłam się do Karpatzu, kiedy poznałam Waltera, mojego obecnego męża. Mniej więcej dziesięć lat temu. Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Chcemy mieć pełniejszy obraz – powtórzył Kohler. – Poza Timem ma pani jeszcze jednego syna? Trochę starszego?

– Tak.

Zawahala się. Ugryzła kęs kanapki i wolno przeżuła. Popiła łykiem kawy. Kohler czekał.

– Tak, Jakoba... – podjęła. – Mam jeszcze jego. Jest sześć lat starszy od Tima. Wcześniej go urodziłam. Miałam zaledwie dziewiętnaście lat, zdarza się. Ale pan to już wie, jestem pewna. Pan Wicker przynajmniej...

– Oczywiście – przerwał Kohler. – Tego samego roku wyszła pani za Henrika Van Rippego, to też wiemy. Czyli bardzo młodo. Jak długo byliście małżeństwem?

Vegesack odniósł wrażenie, że twarz jej stężała. Odmówił zeznań, pomyślał.

– Zostawił mnie w 1975 – w jej głosie pojawił się nagle ostry ton. – Jakob miał piętnaście lat, Tim dziewięć.

– Zostawił panią? – upewnił się Kohler.

– Tak, dla innej. Nie musimy tego rozgrzebywać.

Kohler kiwnął głową.

– Przepraszam. Oczywiście, że nie. Jakim Tim był dzieckiem?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Pani Van Rippe, proszę nam pomóc, odpowiadając na pytania. Nawiasem mówiąc, nie przyjęła pani nazwiska drugiego męża?

– Nie jesteśmy formalnie małżeństwem. Zastanawiałam się nad powrotem do panieńskiego nazwiska, ale przyzwyczaiłam się do Van Rippe.

– Rozumiem. Więc jaki był Tim w dzieciństwie?

Wzruszyła ramionami.

– Raczej cichy.

– Aha?

– Ale grzeczny. Nie sprawiał kłopotów, robił swoje i wolał trzymać się na uboczu. Jakob był inny.

– Czyli?

– Bardziej otwarty na ludzi. Zawsze miał wokół siebie kolegów. Tim lubił chodzić własnymi ścieżkami.

Aspirant Vegesack zerknął na zegarek. Co się do cholery dzieje, pomyślał. Przy tym

tempie przesłuchania będzie zmuszony gnać jak wariat, żeby dowieźć ją do Karpatzu przed czwartą... dostał surowy rozkaz od Kohlera, że w trakcie przesłuchania ma się nie odzywać, chyba że zostanie poproszony. Najwyraźniej Aaron Wicker otrzymał podobne polecenie, ssał ołówek i wyglądał na śpiącego.

– Poznała pani swojego obecnego męża w 1988 roku? – zapytał Kohler. – Zgadza się?

Pani Van Rippe kiwnęła głową.

– Waltera Krummnagla?

Nic dziwnego, że nie chce zmieniać nazwiska, pomyślał Vegesack.

– Tak.

– I tego samego roku przeprowadziła się pani do Karpatzu? – Tak.

– Żyła pani sama w latach... – Kohler nałożył okulary i sprawdził w swoich notatkach – 1975-1988?

Twarz pani Van Rippe ponownie stężała.

– Tak.

– Nie związała się pani z żadnym mężczyzną?

– Nie.

– Taka przystojna kobieta jak pani?

Nie odpowiedziała. Vegesack nie był pewien, czy się zaczerwieniła, ale tak mu się wydawało. Kohler zrobił krótką przerwę.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego żyła pani sama?

– Nie chciałam się z nikim wiązać.

– Ale chyba na jakiś mały romansik sobie pani pozwoliła? Ciężko żyć samotnie przez tak długi czas. Dzieci już wyrosły i...

– Zdecydowałam się zostać sama – przerwała pani Van Rippe. – Człowiek ma prawo żyć, jak chce.

Kohler zdjął okulary i schował je do kieszonki na piersi. Ledwo zauważalnie dał znak głową Wickerowi.

– Tak? – Kohler przechylił się nieco w jej stronę. – Myślę, że pani kłamie.

Złapała obiema rękami za poręczce krzesła. Najwyraźniej zamierzała wstać, ale po kilku sekundach opadła z powrotem na siedzenie.

– Ja kłamie? Dlaczego miałabym kłamać?

Wpatrywała się w Kohlera, ten jednak spuścił wzrok, skupiając się na swojej filiżance

kawy. Pięknie, pomyślał Vegesack. Przez pięć sekund panowało milczenie. Potem odezwał się redaktor Wicker.

– Pani Van Rippe – powiedział, wolno krzyżując ręce na piersi. – Czy nie miała pani romansu z pewnym miejscowym mężczyzną... na początku lat osiemdziesiątych, jeśli dobrze pamiętam... osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt trzy, jakoś tak?

– Nie... nie, kto miałby to być?

Głos zaczął się jej łamać. Puściła poręcz krzesła.

– Kto miałby to być? – powtórzył Wicker z udawanym zdumieniem. – Chyba sama pani wie najlepiej. Myślę, że nie ma powodu się wstydzić... nie rozumiem, dlaczego pani to ukrywa. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

– Nie wiem, o kim pan mówi – jej głos nagle przeszedł w szept. Upłynęło kilka kolejnych sekund.

– Mówię o Vrommlu – redaktor Wicker oparł się z powrotem na krzesło. – O komendancie Victorze Vrommlu.

Edita Van Rippe nie odpowiedziała. Powoli położyła głowę na stole i zakryła ją rękami.

Kohler poluzował węzeł krawata i wyszedł do toalety.

Moreno, czekając na pociąg, zastanawiała się nad uwagą Baasteuwela.

Uniknięcie małżeństwa to wygrana na loterii? Zdaniem Vrommla!

Nie podnosiło to zbytnio na duchu. Jeśli groziło jej zostanie żeńskim odpowiednikiem komendanta z Lejnic, gdyby się nie hajtnęła, musiała piorunem znaleźć sobie faceta, nie ulegało wątpliwości.

Może skorzystać z dyskretnej propozycji Mikaela, żeby zejść się ponownie w sierpniu? Wczorajsza kolacja przebiegła dość bezproblemowo, musiała to przyznać. Jeśli miał jakieś wady, pamiętliwość do nich nie należała. Nie zaprzętał już sobie głowy zepsutymi trabantami czy pracoholizmem inspektorów kryminalnych. Musiała mu oddać sprawiedliwość.

Więc może jednak, pomyślała. Nowy początek w sierpniu?

Postanowiła odłożyć decyzję właśnie do sierpnia. Wzmacniająca wycieczka rowerowa pozwoli nabrać dystansu i ułatwi osąd, na razie miała dość na głowie.

Podjęła za to inną decyzję.

Zadzwoiła do Münsteru.

Niestety odebrał. Miała nadzieję, że nie odbierze.

– No? – zapytała, zauważając, że wstrzymuje oddech.

– Obawiam się, że Lampe-Leermann miał rację – powiedział Münster.

Potem żadne z nich nie odezwało się przez dobre dziesięć sekund.

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak – powiedziała Moreno – jestem. Czyli wiesz, kto?

– Mam nazwisko. Na razie nie ujawniam, jakie, dopóki nie będziemy pewni na sto procent. Tobie też nie powiem.

– Świetnie. Nie ujawniaj, niedobrze mi, cholera.

– To nie jest zabawne.

Znowu zapadło milczenie.

– Jak sobie poradziłeś? – zapytała Moreno.

– Hrm – Münster odchrząknął. – Nie za bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać, w końcu więc włączyłem w to komisarza. Van Veeterena.

Moreno pomyślała chwilę.

– Też bym pewnie tak zrobiła. Gdyby przyszło mi do głowy. Czyli razem wzięliście tego dziennikarza w obroty?

– I to ostro – Münster zaśmiał się, ale zaraz spoważniał. – W przestraszył go do tego stopnia, że nawet zapłacił nam za piwo. Nie dałbym rady w pojedynkę.

– I wyśpiewał nazwisko?

– Wyśpiewał.

– Nie zełgał?

– Raczej nie.

– Rozumiem.

– Tyle że chcemy go skonfrontować z oskarżeniem. Na razie jest na urlopie, uznałem, że trzeba zaczekać, aż wróci. Komisarz był tego samego zdania.

Moreno natychmiast zaczęła szukać w myślach, kto z kolegów poza nią ma urlop w lipcu, ale również niemal natychmiast zaprzestała.

Nie chcę wiedzieć, pomyślała. Przynajmniej nie wcześniej niż to konieczne.

– Tak wygląda sytuacja – powiedział Münster. – Uznałem, że powinnaś wiedzieć.

– Dobra. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Tym razem zdecydowała się na pośpieszny, ale stwierdziła, że pociąg był równie pusty jak wtedy, gdy jechała w przeciwną stronę; usiadła przy oknie.

Oczywiście mało kto miał powód, żeby wyjeżdżać z nad morza w tak upalną sobotę jak ta. Dwa tygodnie, pomyślała. Minęły dokładnie dwa tygodnie mojego urlopu i wracam do domu.

Wypoczęta? Raczej nie. Czternaście dni zbijania bąków nad morzem? Co robiła? Mogła jedynie skonstatować, że nie wszystko poszło zgodnie z planem. Posłała swojego chłopaka (faceta? kochanka? samca?) do diabła, dniem i nocą bawiła się w detektywa, ale nie zdołała nic ustalić.

Nic a nic, jak w mordę strzelił.

Nie wiedziała, co się stało z płaczącą dziewczyną z pociągu.

Nie wiedziała, kto zabił Winnie Maas.

Nie wiedziała, kto zabił Tima Van Rippego.

A jeden z maardamskich policjantów był pedofilem.

Niezły rezultat, pomyślała Ewa Moreno. Niewątpliwie udane zakończenie.

V

21 lipca 1983

Kiedy ponownie mijał szkołę, powiało od morza; zatrzymał się.

Nie potrafił rozstrzygnąć, czy za sprawą wiatru, czy oświetlonej tablicy informacyjnej z nazwą szkoły i wyraźnie zaznaczonymi poszczególnymi budynkami. W każdym razie przystanął, patrząc na tablicę, i coś w nim drgnęło. Może jakieś niejasne poczucie bezpieczeństwa. Jego miejsce pracy. Odludne jak pustynia w letnią noc o wpół do drugiej, ale jednak?

Opadł na jedną z kamiennych ławek stojących wzdłuż sali gimnastycznej. Łokcie na kolanach, głowa w dłoniach.

Co mam zrobić? Pomyślał. Co teraz będzie? Dlaczego tutaj siedzę? Cholera, cholera, cholera...

Spostrzegł, że przepływają przez niego wyłącznie słowa. Nie myśli. Nie plany działania. Tylko bezsensowna litania pytań i desperackich zawołań unosząca się nad przepaścią, do której za nic w świecie nie mógł zajrzeć, bał się zajrzeć – bezładne słowa, które służyły tylko temu, żeby odepchnąć wszystko inne. Odepchnąć, utrzymać z dala. Tak właśnie. Uświadomił sobie, że traci rozum.

Do domu? Do Mikaeli? Po co? Dlaczego się tutaj zatrzymałem? Dlaczego nie biegnę na wiadukt, żeby spojrzeć jej w oczy? Komu? O kim pomyślałem? O Winnie? Czy o Sigrid? Straciłem wszystko. Nigdy tu nie wrócę... ani do Mikaeli, ani do Sigrid, ani do szkoły. Straciłem. Właśnie teraz wszystko straciłem... tracę teraz wszystko na tej pieprzonej ławce przed tą pieprzoną salą gimnastyczną. Byłem tego świadom, wiedziałem od tamtej przeklętej nocy, dlaczego nic nie zrobiłem, co zrobię, jak będzie za późno? Idioto, już jest za późno. Ty idioto. Już jest za późno...

Wstał. Cicho! Nakazał myślom. Cicho! Wziął głęboki oddech, próbując skoncentrować się ostatni raz. Ostatni raz? Jaki ostatni raz?

Ponownie poszedł w stronę wiaduktu. Czy ona jeszcze tam będzie? Czy one tam jeszcze są? Czy to tam pobiegła Sigrid? Musiało już minąć z pół godziny.

Przyśpieszył kroku. Przeciął Birkenerstraat na wysokości cmentarza i skręcił w Emserweg. I właśnie wtedy, gdy minął sklep papierniczy Dorffa na rogu i znalazł się na

Dorfflenerstraat – właśnie wtedy ją zobaczył.

Przeszła koło oświetlonego wejścia na stadion po drugiej stronie ulicy. Szła szybkim krokiem. Energicznym i zdecydowanym. Jego żona, Sigrid. Nie zauważyła go, a on stłumił w sobie chęć, by ją zawołać. Zatrzymał się pod markizą sklepu, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Była tam, pomyślał. Była na wiadukcie i spotkała się z Winnie.

Przebiegł pośpiesznie Dorfflenerstraat, minął stadion i dotarł do torów. Kiedy okrążył browar, miał wiadukt w polu widzenia.

Ale w znacznej odległości. Nie mógł dostrzec, czy na górze ktoś stoi. Czekala na niego? Zwolnił kroku. Co, cholera, miał powiedzieć? Zrobić? Na co liczyła? Zrujnowała mu życie. Zniszczyła go, mówiąc o tym jego żonie... spojrzął na zegarek... trzydzieści pięć minut temu. Nie więcej. Od telefonu minęło trochę ponad pół godziny. Czego, do cholery, chciała teraz?

W ciąży? Była w ciąży, z nim. Pamiętał, co powiedziała tamtej nocy. „Niech się pan nie boi, profesorze... proszę się nie bać, biorę pigułki!”

Powiedziała: „profesorze”. W czasie samego aktu, w czasie pieprzenia się użyła tego słowa.

Pigułki? Akurat brała jakieś pigułki!

Zaczął wchodzić po długim łuku, zastanawiając się, co zakrawało na idiotyzm, czy ona nie chce się z nim ponownie przespać. Świńska myśl, która pewnie odsłaniała prawdę o nim samym. Przypuszczalnie diagnoza, że traci zmysły, była trafna. Jestem świnia, pomyślał. Świnia, świnia, świnia! Niemal słyszał, jak Sigrid wymawia te słowa... Przespać się z Winnie Maas? Znowu? Żeby go ujeżdżała, posuwać ją, aż będzie jęczała z rozkoszy, żeby mu obciągnęła, masować jej sztywną, błyszczącą małą łechtaczkę, aż zacznie krzyczeć... co mu do cholery chodziło po głowie? Mózg pracował jak samochód na zbyt niskim biegu. Co się dzieje z moją głową, pomyślał. Przecież Winnie tam nie ma. Przecież Winnie tam nie było.

Na wiadukcie pusto. Żadnego człowieka, żadnej kurewki Winnie Maas ani nikogo innego. Przystanął, rozejrzał się wokół. Na północ i na południe. Z góry miał dobry widok. Całe miasto znajdowało się w zasięgu wzroku, ulice, place, oba kościoły, plaża i port z osłoniętym wejściem i betonowym falochronem. Zagajnik za boiskiem piłkarskim. Pirs Frieder i latarnia morska Gordona całkiem na południu... wszystko spowite bladym mrokiem letniej nocy.

Spojrzął w dół. Powiódł wzrokiem wzdłuż torów od stacji. Zobaczył, że coś tam leży. Tuż przy prawym torze, nieco w bok od tego punktu, gdzie sam stał. Mrok nie był zbyt gęsty, poza tym latarnia rzucała brudnożółte światło na ulicę i nasyp kolejowy właśnie w tamtym

miejscu.

Coś tam leżało. Coś białego, trochę niebieskawego, trochę cielistego...

Potrzebował całej sekundy, żeby zrozumieć, co to jest.

I kolejnej, żeby zrozumieć, kto to jest.

5 sierpnia 1999

Aspirant Vegesack przeżegnał się i wszedł do środka.

Komendant Vrommel, leżąc przed biurkiem, ćwiczył wymachy nóg.

– Moment, aspirancie.

Vegesack przysiadł na krześle, obserwując swojego szefa. Wymachy wymagały chyba nieco wysiłku, gdyż Vrommel stękał jak wyrzucony na brzeg mors, a jego łysa czaszka lśniła jak czerwone światło na skrzyżowaniu. Kiedy skończył, przez chwilę leżał wyciągnięty na podłodze, dochodząc do siebie. Potem podniósł się i usiadł za biurkiem.

– Jutro idziecie na urlop?

Vegesack skinął głową.

– Tak, jutro.

– Pogoda niespecjalna.

– Nie.

– Lepsza w zeszłym tygodniu.

– Tak.

Vrommel wyciągnął szufladę. Sięgnął po papierowy ręcznik i wytarł czoło i czaszkę.

– Ta sprawa Van Rippego. Czas, żebyśmy trochę podsumowali.

– Umarzamy? – zapytał Vegesack.

– Nie umarza się tak sobie śledztwa w sprawie morderstwa. Powiedziałem: „podsumowali”. Skomplikowana sprawa, do niczego nie doszliśmy. Zgadza się?

– Tak.

– Sprawa przestaje być priorytetowa. Minęły trzy tygodnie. Od tej chwili prowadzimy rutynowe śledztwo.

– Rozumiem.

– Potrzebne mi zestawienie. Coś w rodzaju raportu o dotychczasowych ustaleniach. Planuję jutro przed południem małą konferencję prasową. No i gorzej muszę złożyć jakieś sprawozdanie. Te harcerzyki z Wallburga nie zdały się na wiele.

– Nie.

Vrommel odchrząknął.

– Jak napiszecie zestawienie, położycie mi je na biurku przed wyjściem. Macie na to cały dzień.

Vegesack kiwnął głową.

– Tylko bez rozwodzenia się. Suche fakty. Po zwięzłości poznać mistrza.

Vegesack zaczął wstawać.

– Czy coś jeszcze?

– To bym powiedział. Czyli na moim biurku. Przyjemnego urlopu i dbajcie o formę.

– Dziękuję – aspirant Vegesack wyszedł z gabinetu.

Moreno obudziła się i spojrzała na zegarek.

Za dziesięć dwunasta.

Uświadomiła sobie, że leży we własnym łóżku i mimo późnej pory nie spała więcej niż dziewięć godzin. Próbowała wyczuć, czy został jej jakiś mięsień, który nie sprawiał bólu, ale nie znalazła ani jednego.

Czuję się, jakbym miała dziewięćdziesiąt lat. To ma być zdrowe?

Położyła się spać przed trzecią. Dotarła do domu punkt druga, ale miała na tyle rozsądku, żeby przed pójściem do łóżka wziąć gorącą kąpiel. Gdyby tego nie zrobiła, przypuszczalnie teraz nie byłaby w stanie się poruszyć. Ostatni etap wycieczki rowerowej z Clarą Mietens wyniósł siedemdziesiąt pięć kilometrów pod wiatr, z czego końcówkę trzydziestki w deszczu. Planowały wyjechać nieco wcześniej, niż rzeczywiście wyjechały, a przyjemny wschodni wiatr miał im wiać w plecy, gdy, patrząc na zachodzące słońce, wjeżdżałyby do Maardam. Tak było w zamyśle.

Wschodni wiatr, pomyślała Moreno, siadając ostrożnie na brzegu łóżka. Czy w tym mieście kiedykolwiek wiał wschodni wiatr? Gdy rozstawały się na Zwille za piętnaście druga, Clara przyrzekła święcie, że jeśli zdoła jeszcze kiedyś wstać, pierwsze, co zrobi, to obciąży kotwicą swój przeklęty rower (z sześcioma przerzutkami, dwie działały), wrzuci go do Langgraacht i odśpiewa psalm.

Chociaż poza tym – czyli nie licząc finału – nie było najgorzej. Osiem wspaniałych dni wypełnionych obozowaniem, kąpielami, rozmowami i jazdą na rowerze (ale nie pod wiatr i nie w deszczu), a także leniuchowaniem w dziewiczym Sorbinowie. Czerwony namiot Clary był nowy, łatwo się go rozstawiało. Pogoda piękna. Aż do wczoraj.

Poszła do łazienki wziąć prysznic. Po dziesięciu minutach zaczęła odzyskiwać wrażenie, że ciało należy do niej. Wraz z tym jej myśli skierowały się w inną stronę.

Co było oczywiście nie do uniknięcia. Czas wrócić do rzeczywistości. Najwyższy

czas.

Nałożyła podomkę i sięgnęła po pocztę. Rachunki, reklamy, cztery widokówki i wyciąg z konta. Niewątpliwie interesujące.

Potem odsłuchiwała wiadomości. Po dogłębnym namyśle nie wzięła ze sobą komórki na Tour de Sorbinowo, więc trochę powinno być nagranych.

Rzeczywiście było. Takich i innych; na przykład dwa radosne pozdrowienia od Mikaela i wiadomość od mamy, że właśnie wyjeżdżają na lotnisko (zapewne z ojcem, chyba że w czasie jej nieobecności zdarzyło się coś szokująco zdumiewającego), bo wybierają się na Florydę i nie wrócą przed końcem sierpnia.

Na wypadek, gdyby próbowała się z nimi skontaktować i zastanawiała się, gdzie są.

Razem jedenaście wiadomości, podał chłodny kobiecy głos z taśmy.

Ale żadnej od Baasteuwela.

Nic od Vegesacka ani Kohlera. Nic od Münstera.

Nawet Selma Perhovens się nie odezwała.

No tak, pomyślała Moreno, wychodząc po bułki na śniadanie. Nie należy przeceniać własnej osoby.

O wpół do siódmej wieczorem udało się jej wreszcie złapać Baasteuwela.

– Aha, wróciłaś już do domu? – stwierdził.

– Wczoraj. Myślałam, że zadzwonisz.

– Dzwoniłem, ale nie lubię się nagrywać.

– Tak? No i co?

Baasteuwel zrobił przerwę.

– Zawiesiliśmy sprawę.

– Zawiesiliście?

– Tak. Doszliśmy z Kohlerem do wniosku, że tak będzie najlepiej. Teraz mam urlop.

Przez świadomość Moreno przemknął błysk całkowitego niezrozumienia.

– Co ty do cholery mówisz? A Vrommel? Twierdziłeś, że to tylko kwestia czasu.

Słyszała, jak Baasteuwel zapala papierosa.

– Posłuchaj. Musisz mi uwierzyć. Nie dało się dopaść tego łobuza. Kohler i ja byliśmy zgodni, że nie ma co grzebać. Vegesack zresztą też. Nie ma żadnych punktów zaczepienia ani powodu, żeby dalej to ciągnąć. Nie w tej sytuacji.

– W jakiej sytuacji? Co masz na myśli? Nic z tego nie rozumiem.

– Zdarza się. W każdym razie tak wyszło. Przyznałabyś mi rację, znając szczegóły.

– Szczegóły? Jakie szczegóły?

– No trochę ich jest. Zapewniam cię, że to najlepsze rozwiązanie. Wyszło jak wyszło, tak bywa w niektórych sprawach, powinnaś to wiedzieć.

Myśli kłębiły się w głowie Moreno, uszczypnęła się dwa razy w ramię, żeby sprawdzić, czy nie śni.

– Zaklinałeś się, że wsadzisz Vrommla – przypomniała ze złością. – Zaginęła niewinna dziewczyna i zamordowano mężczyznę. Zostałeś policjantem, żeby mieć możliwość zamykania łobuzów, a teraz...

– Tym razem się nie dało.

– A Van Rippe?

– Śledztwo prowadzi komendant. Kohlera i mnie wezwano tylko w charakterze posiłków w początkowej jego fazie, pamiętaj o tym. Teraz oddaliśmy tę sprawę.

Moreno odjęła słuchawkę od ucha i spojrzała na nią podejrzliwie.

– Czy ja rozmawiam z inspektorem Baasteuwelem z wallburskiej policji? – zapytała potem.

Baasteuvel krótko się zaśmiał.

– We własnej osobie – zapewnił. – Wydaje mi się, że słyszę pewne zniecierpliwienie w głosie pani inspektor. Jakby co nieco ją frapowało?

– Zgadza się. Zgadza się jak cholera. Nie rozumiem, co mówisz. Zostawiasz morderstwo i zaginioną dziewczynę i idziesz na urlop. Z której strony pękła żyłka w mózgu?

– W samym środku – wyjaśnił przyjaźnie Baasteuvel. – Przyznaję, że mogę wyrażać się nieco mgliście, kiedy dopada mnie urlopowe lenistwo. Chociaż jeśli rzeczywiście chcesz się dowiedzieć czegoś więcej z Lejnic, mogę się zmobilizować, tak żebyś była zadowolona...

– Nie masz wyboru – stwierdziła Moreno. – Gdzie i kiedy?

– Jutro?

– Im szybciej, tym lepiej.

Baasteuvel wydawał się zastanawiać.

– Może gdzieś w Maardam? Będziesz u siebie.

– Chętnie.

– Stara Vlissingen jeszcze jest?

– Oczywiście, że jest.

– No to tam. Jutro o siódmej, pasuje? Zarezerwuję stolik.

– Znakomicie.

Moreno odłożyła słuchawkę i wyjrzała przez okno, które ponownie zaczęła smagać

deszcz niesiony zachodnim wiatrem.

Nic z tego nie rozumiem, pomyślała. Niech mnie diabli, nic a nic.

6 sierpnia 1999

Restauracja Vlissingen była jak zwykle pełna ludzi. Moreno nieco się spóźniła i minęła samotną dziewczynę przy narożnym stoliku, nie zwracając na nią uwagi. Dopiero kiedy obeszła i omiotła wzrokiem całą salę – i trochę zirytowana stwierdziła, że Baasteuwel chyba nie przyszedł – zobaczyła, kto to jest.

A potem minął jeszcze nieokreślony czas, zanim jej mózg zinterpretował wrażenia wzrokowe. Zacisnęła mocno powieki, by wrócić do rzeczywistości. Podeszła do stolika. Dziewczyna zaczęła wstawać, ale zmieniła zdanie i z powrotem usiadła. Uśmiechnęła się niepewnie. Bardzo niepewnie.

– Mikaela? – zapytała Moreno. – Mikaela Lijphart? To ty?

– Tak – przyznała dziewczyna i zaśmiała się nerwowo. Moreno spostrzegła, że drży jej dolna warga.

– Inspektor Baas...? – zaczęła Moreno, ale w tej samej chwili zrozumiała, że tego wieczoru żaden inspektor Baasteuwel do restauracji Vlissingen nie przyjdzie. Tak to sobie wy kalkulował. Czyli stąd wzięły się dysonanse we wczorajszej rozmowie.

Boże święty, pomyślała, powinnam była chyba się zorientować? Potem uśmiechnęła się do dziewczyny najszerszej, jak zdołała, każąc jej wstać, żeby mogła ją porządnie uściskać.

– Jestem... jestem taka szczęśliwa, że cię widzę.

– Ja również. To inspektor... inspektor Baasteuwel... powiedział, że chce się pani ze mną spotkać. Powiedział, że mam tu na panią czekać... dał mi też pieniądze, żeby mogła zaprosić panią na kolację.

Gdyby nie przestraszony głos dziewczyny, Moreno wybuchłaby szczerym śmiechem. Ale wyraźnie było widać, że Mikaela jest roztrzęsiona. Usiadły. Moreno położyła jej rękę na ramieniu.

– Jesteś rozdygotana.

– Tak. To jest straszne. Nie mogę spać po nocach.

– Rozumiesz... rozumiesz chyba że chciałabym wiedzieć, co się stało?

– Tak... – Mikaela spuściła wzrok. – Wiem, że muszę opowiedzieć. Bardzo pani dziękuję, że była pani taka miła w pociągu, wiem, że potem też strasznie się pani starała.

Moreno próbowała na nowo uśmiechnąć się z otuchą, ale czuła, że nie bardzo się jej udaje.

– Nie ma o czym mówić. Zjemy coś w trakcie rozmowy?

– Tak – powiedziała Mikaela. – Muszę przyznać, że jestem głodna.

Chwilę trwało złożenie zamówienia. Moreno zastanawiała się, czy już kiedyś znalazła się w podobnej sytuacji. Nie przypominała sobie. Choć oczywiście było w najwyższym stopniu niejasne, co się właściwie na nią składa. Na sytuację. Poświęciła dni, noce i tygodnie, próbując zrozumieć, co się stało z tą zaginioną bez śladu dziewczyną, a teraz nagle siedziała naprzeciw niej przy stoliku w restauracji. Bez sekundy ostrzeżenia. Przeklęty Baasteuwel, pomyślała. Nie, nic podobnego jej wcześniej nie spotkało.

Mikaela Lijphart nie czuła się dobrze. Była blada, drżała na całym ciele; rozmawianie na początek o błahostkach – o pogodzie, wietrze i ostatniej wizycie w kinie – wydawało się całkowicie pozbawione sensu.

– Opowiadaj – poprosiła więc Moreno. – Co trzeba, to trzeba. Chyba tak powiedziałaś, kiedy spotkałyśmy się ostatnim razem.

– Nie, to pani powiedziała – sprostowała Mikaela. – Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku. Od tego momentu, gdy rozstałyśmy się na stacji w Lejnicach.

Mikaela podniosła wzrok i przez krótką chwilę patrzyła jej prosto w oczy. Potem wzięła głęboki oddech.

– Najpierw poszło tak, jak sobie zaplanowałam – zaczęła opowiadać, wolno splatając dłonie przed sobą na stole – jakby tę umiejętność nabyła niedawno i jeszcze miała trudności z jej wykonywaniem, zdążyła pomyśleć Moreno.

– Pojechałam do tego zakładu i spotkałam się z tatą. To było... strasznie dziwne, że wchodzę do jakiegoś pokoju i widzę zupełnie obcego człowieka, który jest jednak moim tatą. Myślałam oczywiście o tym wcześniej, próbowałam to sobie wyobrazić, ale w rzeczywistości wrażenie było dużo dziwniejsze... on był taki mały, obcy i taki... chory. Przypominał mi ptaka. Mój ptasi tata, pomyślałam. A jednak zrozumiałam, że jest moim tatą, jak tylko go zobaczyłam, nie umiem tego wyjaśnić, ale w jakiś sposób było to oczywiste.

Jej głos nabrał nieco pewności, gdy weszła w rytm opowiadania, odnotowała Moreno.

– Mów dalej.

– Pani zna tę... historię?

Moreno kiwnęła głową.

– Nie powiedziałam w pociągu wszystkiego, co wiedziałam, chyba się trochę wstydziałam. Mój tata miał romans z uczennicą, ona miała tylko szesnaście lat... ja wtedy dwa.

Tak było, nie da się tego zmienić. Dziewczyna została zabita, a tatę skazano za morderstwo. Ale niesłusznie. Powiedział mi tamtego dnia, że to nie on zepchnął Winnie Maas na tory... dwie godziny trwało, zanim to z siebie wydobył. Dał mi też list, w którym napisał to samo. Miał romans z dziewczyną, ale jej nie zabił... strasznie się wstydził o tym mówić, ale go zmusiłam. Tata nie jest silny, jest jak ptak. Jak chory ptak, tak mi go żal...

Przerwała, spoglądając pytająco na Moreno. Ta dała jej znak, żeby mówiła dalej.

– Płakałam, kiedy stamtąd wyszłam. Zatrzymałam się w schronisku, było przepełnione, o mały włos w ogóle nie dostałabym łóżka, ale w końcu jakieś się znalazło. Właściwie nie wiedziałam, co mam zrobić, ale przecież uwierzyłam tacie, kiedy powiedział, że jest niewinny, że nie zabił tej dziewczyny, więc po namyśle postanowiłam odszukać jej mamę... jeśli mieszkała jeszcze w Lejnicach, i powiedzieć jej o tym. Może też zapytać o parę rzeczy. W zasadzie poszło bez problemów. Odwiedziłam ją w niedzielę, nie była specjalnie miła, chyba trochę alkoholiczka, pokazała mi nawet, że ma rewolwer, żeby się bronić... nie bardzo wiem, przed czym. Na pewno mi nie uwierzyła, kiedy powiedziałam, że tatę skazano niewinnie. Nazwała go skurwysynem, mordercą i w ogóle wyzywała od najgorszych, mówiła, że zniszczył jej życie. Oczywiście jej też było mi żal, to przecież musi być okropne przeżycie, kiedy dziecko umiera w taki straszny sposób...

Podano jedzenie, ale Mikaela najwyraźniej nie chciała przerywać, kiedy już na dobre weszła w rytm opowiadania.

– Kiedy tam siedziałam w tym zapuszczonym mieszkaniu pani Maas, zaczęłam się poważnie zastanawiać, jak zginęła jej córka – tata powiedział tylko, że nie on ją zabił – i przyszło mi do głowy, że mogłabym porozmawiać jeszcze z innymi ludźmi, skoro już byłam na miejscu. Żałuję, że tak pomyślałam, Boże, jak żałuję.

– Nie brałaś pod uwagę, że dziewczyna mogła sama skoczyć z wiaduktu?

Mikaela potrząsnęła głową.

– Zastanawiałam się nad tym, ale zarówno tata, jak i pani Maas byli przekonani, że nie.

– Rozumiem. No i co zrobiłaś?

– Pani Maas podała mi kilka nazwisk. Osób, które, jak twierdziła, znały jej córkę, właściwie nie wiem, dlaczego mi je podała. Przez cały czas mówiła, że jestem bachorem mordercy, że powinnam się wstydzić chodzić po ulicach i w tym stylu.

– Mam pewne pojęcie – rzekła Moreno. – Też się z nią spotkałam.

– Tak?

Mikaela przez chwilę miała minę winowajczynie, jakby wstyd jej było, że sprawiła kłopot. Moreno kiwnęła jej głową, żeby mówiła dalej.

– W każdym razie poszłam do tej kobiety, Very... Very...

– Sauger?

– Tak, zgadza się. Do Very Sauger. Dobrze znała Winnie, tata chyba zresztą też ją uczył. Powiedziałam jej, że myślę, że mój tata jest niewinny i wtedy... wtedy, jakby oniemiała. Odniosłam wrażenie... nie, zresztą nie wiem...

– Powiedz.

– Odniosłam wrażenie, że zdawała sobie z tego sprawę, że jest niewinny. Nie chcę powiedzieć, iż rzeczywiście o tym wiedziała, tylko że odniosłam takie wrażenie, akurat gdy u niej byłam. Rozumie pani?

Moreno przytaknęła, że rozumie.

– Tak, ta Vera Sauger podała mi dwa nowe nazwiska... osób, z którymi mogłam pomówić. Jedno, którego nie pamiętam, no i Tima Van Rippego. Boże, jakbym chciała nigdy nie usłyszeć tych nazwisk...

– Rozumiem – powiedziała Moreno.

Bo w końcu zaczynała rozumieć.

– Co się dalej stało?

Mikaela ponownie wzięła głęboki oddech. Sięgnęła po nóż i widelec, ale odłożyła je z powrotem na stół.

– To było straszne. Tak potworne, że nigdy tego nie zapomnę... nigdy, nigdy. Śni mi się to co noc. Kilka razy każdej nocy, jak tylko zasnę... mam wrażenie, że cały czas.

Przez chwilę zanosilo się, że dziewczyna wybuchnie płaczem, ale zacisnęła zęby i mówiła dalej.

– Zadzwoiłam do niego. Do Tima Van Rippego. Powiedziałam, kim jestem, i zapytałam, czy miałby czas ze mną porozmawiać. Był trochę dziwny, ale nie zwróciłam na to większej uwagi... powiedział, że czas ma dopiero wieczorem i umówiliśmy się na plaży o dziewiątej.

– O dziewiątej wieczorem?

– Tak. Na plaży. Prosiłam, żebyśmy spotkali się trochę wcześniej, ale nie chciał. Zgodziłam się więc na dziewiątą. Sprawdziłam pociągi, był jeden za dziesięć jedenasta, więc miałam jak dostać się do domu. Później próbowałam skontaktować się z tym drugim mężczyzną... przypomniało mi się, nazywa się Bitowski... ale bez skutku. Toteż całe popołudnie przeleżałam na plaży. Była bardzo ładna pogoda.

Z ukłuciem wyrzutu Moreno przypomniała sobie, że to samo popołudnie spędziła na tej samej plaży. Tyle że kilka kilometrów dalej na północ. W tę pierwszą niedzielę... na

lekkim kacu, bez obowiązków i szczęśliwa.

– Wieczorem czekałam na niego mniej więcej od wpół do dziewiątej. W tym miejscu, gdzie się umówiliśmy... tuż koło pirsu, jak on się nazywa... chyba pirs Frieder. Na plaży było już dość pusto, ale jeszcze nie zapadł zmrok. Van Rippe przyszedł za dziesięć i poszliśmy wolno wzdłuż brzegu... na północ. Ja opowiadałam, a on słuchał w milczeniu. Po jakimś czasie usiedliśmy, nie widziałam potrzeby, żeby iść dalej, poza tym musiałam dźwigać swój plecak. Zdjęłam go i coś było nie w porządku. Jeden z metalowych prętów podtrzymujących konstrukcję zaczął się wysuwać z obszycia. Wyciągnęłam go zupełnie, żeby potem porządnie zamocować. Albo wyrzucić, sama nie wiem... w tym momencie opowiedziałam już wszystko prawie do końca, poza jednym, że mój tata jest niewinny. Powiedziałam to teraz. I wtedy to się stało...

Zagryzła wargi. Moreno czekała.

– Powiedziałam: „Wiem, że mój tata nie zabił Winnie Maas”. Dokładnie tak powiedziałam. On stał, a ja siedziałam, dłubiąc przy plecaku. Kiedy podniosłam na niego wzrok, pojęłam wszystko. W jednej chwili. On ją zabił. To Tim Van Rippe zamordował Winnie Maas, wiedziałam to w ciągu sekundy, a on zrozumiał, że ja wiem. Myślałam o tym później tysiąc razy, tak to musiało zabrzmieć w jego uszach, kiedy powiedziałam, że nie mój tata jest winien. Pomyślał, że oskarżam jego... i zobaczyłam, że ze mną chce zrobić to samo. Postąpił krok w moją stronę i podniósł ręce, widziałam w jego twarzy, że mnie też chce zabić. Zamierzał zabić mnie tam na plaży...

Teraz wreszcie coś w niej pękło. Pod koniec mówiła coraz szybciej i Moreno nie była tym zaskoczona. Pośpieszyła wokół stołu i położyła ręce na trzęsących się ramionach Mikaeli. Przysunęła sobie krzesło i mocno ją przytuliła. Kątem oka dostrzegła, że młoda para przy sąsiednim stoliku rzuca im ukradkowe spojrzenia.

– Przepraszam – powiedziała Mikaela, kiedy pierwszy atak przeszedł. – Nie mam siły o tym opowiadać.

– Zdaję sobie sprawę, ale mimo wszystko spróbuj. Wielu twierdzi, że jest to sposób na poradzenie sobie z ciężkimi przeżyciami. Przez ponowne ich przeżycie.

– Wiem – przyznała Mikaela. – Proszę usiąść na swoim miejscu. Jeszcze nie doszłam do końca.

Uśmiechnęła się dzielnie i Moreno wróciła na swoje miejsce.

– Trenuję szermierkę, wspominałam o tym?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Szpadę i floret. Jestem dość dobra, jeśli mogę sama się ocenić... więc kiedy rzucił się

na mnie, wbiłam mu pręt w oko.

– Co? – zdziwiła się Moreno. – Pręt?

– Ten od plecaka. Mniej więcej tej długości...

Pokazała rękami. Moreno przełknęła ślinę.

– ...trzydzieści, czterdzieści centymetrów. Metalowy. Miałam go przecież w ręce, zrobiłam to zupełnie odruchowo. Bez namysłu. Wyrzuciłam tylko ramię i trafiłam go prosto w oko. Przewrócił się... upadł na mnie, nie chciałam tego, stało się to automatycznie, ale zabiłam na tej plaży Tima Van Rippego, w niecałą sekundę.

Głos jej zadrżał, ale się nie załamał. Moreno poczuła, że na przedramieniu dostaje gęziej skórki.

– Później była wyłącznie panika. Zrozumiałam, że zginął na miejscu. Nie było zbyt ciemno. Ludzie przechodzili w odległości dwudziestu, trzydziestu metrów, ale nikt nie zwrócił uwagi, co się stało. Jeśli ktoś patrzył w naszą stronę, widział pewnie parę, która została dłużej na plaży, przyjemnie spędzając czas. Zakopałam go tam, zajęło mi to blisko godzinę, ale cały czas się ściemniało i plaża szybko się wyludniła. Zgubił buty, kiedy wlokłam go do dołu, wyrzuciłam je. Zabrałam mu też portfel i zegarek, nie wiem dlaczego... też je później wyrzuciłam. Kiedy skończyłam, poszłam stamtąd.

– Kiedy skończyłaś, poszłaś stamtąd – powtórzyła Moreno. – Jezus Maria, Mikaela, musiałaś być śmiertelnie przerażona.

– Byłam. Byłam tak przerażona, że nie wiedziałam, co robię. Jakbym nie była sobą... szłam przez całą noc.

– Szłaś?

– Tak, przez całą noc. O siódmej rano doszłam do parkingu dla tirów w Langhuijs i zabrałam się stopem do Frigge. Tam zjadłam śniadanie i przespałam się kilka godzin w parku. Cały czas śniło mi się, jak dżgam Van Rippego w oko. I jak go zakopuję. Kiedy się obudziłam, najpierw chciałam iść na policję, ale się bałam. Wyplaciłam wszystkie pieniądze ze swojego konta, trochę ponad tysiąc guldenów, i kupiłam bilet na pociąg do Kopenhagi. Ukradłam też trzydzieści guldenów z portfela Van Rippego, zanim go wyrzuciłam.

– Do Kopenhagi? Dlaczego tam?

Czy ktoś sprawdził banki? Zastanowiła się pośpiesznie Moreno. Najwyraźniej nie. Niechlujstwo. Wyśledzenie wypłaty nie powinno stanowić większego problemu.

– Właściwie nie wiem – odparła Mikaela. – Byłam tam na wycieczce szkolnej. Miasto mi się podobało. No i dokądś musiałam przecież uciec.

Moreno nic nie powiedziała.

– Zabiłam go przecież. Zamordowałam i zakopałam. Jasne, że musiałam się ukryć...

Moreno kiwnęła głową, starając się przybrać neutralnie przyjazną minę.

– I co zrobiłaś? Pojechałaś pociągiem do Kopenhagi?

– Tak. Nocnym pociągiem. Przyjechałam rano i zameldowałam się w hotelu Excelsior. Za dworcem. Dość obskurna dzielnica, ale to było pierwsze, co znalazłam. Potem na przemian wałęsałam się po mieście i leżałam w pokoju, aż dotarło do mnie, że jeszcze trochę i oszaleję. Wtedy zadzwoniłam do mamy. Nie wiem, ile dni minęło, nic prawie przez ten czas nie jadłam... powiedziała mamie, że żyję, ale że niedługo to potrwa, jeśli nie przyjedzie do mnie z tatą, z moim prawdziwym tatą. Można powiedzieć, że ją zaszantażowałam, ale mówiłam prawdę. Czułam się fatalnie... no i przyjechali.

– Twoja mama z tatą przyjechali do ciebie do hotelu w Kopenhadze?

– Tak. Nie wiem którego dnia, ale musiał minąć więcej niż tydzień, jak zabiłam Van Rippego. I zabijałam go każdej nocy, jak tylko zdołałam zasnąć... tak, chyba od tego wszystkiego traciłam zmysły. Chociaż kiedy mama i tata przyjechali, poczułam się trochę lepiej. Zmusiłam ich, żeby ze sobą rozmawiali. Spędziliśmy razem cztery lub pięć dni, ale tata czuł się źle bez swoich lekarstw, więc wróciliśmy. Mama dzwoniła codziennie do Lejnic i pytała o poszukiwania, żeby nikt się nie domyślił, że jesteśmy razem... uzgodniłyśmy z mamą, że później też zachowamy to w tajemnicy. Tacie nie powiedziałyśmy, co się stało, tyle że wiemy, że nie zamordował Winnie Maas. Trudno się z nim rozmawiało, a później inspektor Baasteuvel powiedział nam tę straszną rzecz, ogarnia mnie rozpacz, jak tylko o tym pomyślę. To niesprawiedliwe, że...

– Zaczekaj chwilę – poprosiła Moreno. – Nie do końca rozumiem. Skąd nagle wziął się Baasteuvel?

Mikaela wytarła nos w serwetkę i wyjaśniła:

– Wróciliśmy z Kopenhagi. Mama wysadziła tatę w pobliżu zakładu, a potem pojechałyśmy do Aarlach. Zatrzymałyśmy się przez kilka dni u cioci Vanji, cioci nie było, ale mama ma klucze. Dyskutowałyśmy, co z tym wszystkim zrobić. Z Helmutem na przykład, czy mu powiedzieć, czy nie. W końcu uzgodniłyśmy, że nikomu nie powiemy ani słowa. Nie byłybyśmy w stanie... wróciliśmy do domu, w poniedziałek wieczorem, a następnego ranka inspektor Baasteuvel już dzwonił do naszych drzwi. Helmuta na szczęście nie było w domu, bo inspektor w godzinę wyciągnął z nas całą historię... a potem wyjawił nam najgorsze.

– Najgorsze?

– Tak. Rozmawiał z tatą w zakładzie... wtedy gdy ja z mamą byłyśmy w Aarlach. Nie wiem, jak to z taty wydobył, no ale od nas wyciągnął, co chciał, więc pewnie jest w tym

dobry.

– Najlepszy – potwierdziła Moreno. – Co takiego powiedział mu twój tata?

Mikaela zacisnęła szczęki, mrugając oczami, żeby zatrzymać napływające łzy.

– Myślał, że to mama zabiła Winnie Maas. I dlatego milczał. Żeby nas chronić.

Zamilkła. Moreno poczuła nagle pieczenie pod powiekami i dla przeciwwagi popiła łyk wody mineralnej. Czy to możliwe? Pomyślała.

W tej samej chwili zrozumiała, że tak.

Nie tylko możliwe, ale i logiczne, tworzyło sensowną całość.

– Chociaż rzeczywiście pomieszało mu się od tego w głowie – dodała Mikaela. – Na miejscu. Ale myślał, że mama ją zabiła. Przez cały ten czas. To ona tej nocy odebrała telefon od Winnie... i dowiedziała się. Wpadła w szal i wybiegła z domu. Kiedy tata znalazł później Winnie na torach, myślał, że... rozumie pani?

– Tak, rozumiem.

A Van Rippego chronił komendant, pomyślała. Bo miał romans z jego matką.

Powiedziała jej to po południu przez telefon Selma Perhovens. Jak również, że śledztwo, o ile dobrze zrozumiała, prowadzono dużo mniej intensywnie.

Z uzasadnionych względów.

Z uzasadnionych względów? Zapytała Moreno, ale Selma nic więcej nie wiedziała.

Teraz nagle wszystko było oczywiste. Jasne jak słońce. Równanie zostało w końcu rozwiązane. Równanie Baasteuwela.

Skunksowi ujdzie płazem.

Ale Mikaela nie zostanie pociągnięta do odpowiedzialności.

A morderca Winnie Maas został ukarany.

Moreno spostrzegła, że zaciska dłonie w pięści niemal aż do bólu i że ma na wpół otwarte usta. Zamknęła je, próbując się rozluźnić.

Cholera, pomyślała. Czy bogowie skończyli już rozgrywkę? Mniej więcej tak to odbierała, a wynik wyglądał chyba na remis. Przynajmniej tak wyraziłby się Van Veeteren, tego była pewna... salomonowy remis.

– Zamierzam postawić tatę na nogi – przerwała jej rozmyślenia Mikaela. – A przynajmniej spróbować.

– Bardzo dobrze. Słusznie postępujesz, ale zadbaj najpierw, żebyś sama się pozbierała. Trudno w sobie tyle dźwigać. Powinnaś chyba mieć jakąś pomoc, żeby sobie z tym poradzić... nie sądzisz?

– Już mam – Mikaela zaskoczyła Moreno. – Będę raz w tygodniu chodziła tu w

mieście do księdza, brata inspektora Baasteuwela.

Moreno popatrzyła z niedowierzaniem na dziewczynę.

– Chcesz powiedzieć, że w Maardam jest ksiądz, który nazywa się Baasteuwel?

Mikaela potrząsnęła głową, zdobywając się na blady uśmiech.

– Zmienił nazwisko. Pewnie uważał, że nie za bardzo nadaje się do jego zawodu.

Teraz nazywa się Friedmann, pasuje dużo lepiej.

– Bez wątpienia. Hm. Poprosimy, żeby podgrzali nam jedzenie w mikrofalówce?

Chyba ostygło.

Mikaela spojrzała na swój talerz, uśmiechając się nieco szerzej.

– Ojej, zapomniałam, że byłam głodna.

Na Mikaełę, tak jak uzgodniono, czekali przed Vlissingen jej matka oraz ojczym. Moreno podejrzewała, że Helmuta Lijpharta ściągnięto pod jakimś pretekstem jako swego rodzaju ochronę. Żeby nie miała możliwości zadać matce Mikaeli niewygodnych pytań. Nic dziwnego.

Bo przynajmniej jedno pytanie pozostało bez odpowiedzi.

A mianowicie, dokąd poszła Sigrid Lijphart tamtej nocy.

Była na wiadukcie czy nie? Czy widziała zwłoki dziewczyny na torach przed swoim mężem?

I czy w takim razie wiedziała, że kto inny musiał być mordercą? Mordercą, którego osłaniała przez wieloletnie milczenie.

I czy może... czy może również cały czas wiedziała, co myślał Arnold?

Tak, to pytanie pozostaje, pomyślała Moreno. Zwłaszcza to.

Kiedy powoli uświadomiła sobie jego wagę, zrobiło się jej niedobrze.

Znajdzie pewnie okazję, żeby owo podejrzenie wypowiedzieć głośno, ale oczywiście nie było powodu, żeby formułować je w obecności Mikaeli. Żadnego powodu, dziewczyna odbyła wystarczająco daleką podróż do jądra ciemności.

– Byłoby miło powtórzyć spotkanie – powiedziała więc tylko. – Teraz moja kolej, żeby cię zaprosić.

Pożegnawszy się, Moreno poszła na długi spacer, żeby przemyśleć całą historię. Kiedy wróciła do domu, było dwadzieścia po jedenastej. Zawahała się przez chwilę, potem zadzwoniła do Baasteuwela.

– Gratuluję – powiedziała. – Naprawdę.

– Dziękuję – odparł Baasteuwel. – Naprawdę.

– Salomonowe rozwiązanie. Ty namówiłeś dziewczynę, żeby milczała, czy jej matka?

– Hm. W zasadzie była to decyzja Mikaeli. Dlaczego pytasz?

– Nie jestem pewna, czy to słuszna decyzja.

– Ja też nie – przyznał Baasteuwel po krótkiej pauzie. – Ale kiedy wydobyłem od nich wszystko, wyjaśniłem, że nie prowadzę już tej sprawy, że zajrzałem tylko z czystej ciekawości. Pozostawiłem im wybór i obiecałem pomóc, gdyby było jej zbyt ciężko i chciała ujawnić sprawę.

– Pomóc? – zdziwiła się Moreno. – Jak?

– Nie mam pojęcia. Przyjdzie pora, przyjdzie rada. Ale uważam, że przyznawanie się byłoby w jej sytuacji piramidalną głupotą. Przecież do cholery tylko wymierzyła sprawiedliwość. *Touchel* Morderca nie żyje, spoczął w grobie. Vrommla dopadniemy innym razem.

– Nie ma wątpliwości, że to był Van Rippe?

– Najmniejszych. Jeśli jakieś były, jego matka je rozwiąła. Znała swego syna, w tamtym czasie była z Vrommlem, a... ten zadbał, żeby sprawa się potoczyła, jak się potoczyła. Miał haka z dawniejszych czasów na tego lekarza, nie sprawdzaliśmy dokładniej, jakiego. Jasne jak cholera, że to Van Rippe zamordował Winnie Maas, co nie znaczy, że wersja Mikaeli, że zabiła w obronie własnej, została przyjęta bez zastrzeżeń. Motywu zemsty nie da się wykluczyć, a trochę zbyt długo milczała.

– A dlaczego Van Rippe był zmuszony zabić Winnie Maas?

– Czy zmuszony, można dyskutować, ale dość oczywiste jest, że to z nim Winnie była w ciąży. Jak również, że w pełni świadomie próbował zrzucić winę na Arnolda Maagera, co mu się zresztą udało. Zdziwiającą okolicznością jest, że był na tej imprezie, na której uwiodła swojego nauczyciela... jeśli miałbym spekulować, zgadywałbym, że zrobiła to za zgodą Tima i Maager miał być wrobiony w rolę ojca. Cokolwiek by powiedziec o Winnie Maas, do najbystrzejszych chyba nie należała. Ale zastrzegam się, że spekuluję.

– A co właściwie stało się tej nocy na wiadukcie?

– Van Rippe ją zepchnął, głowę dając. Pytanie, na ile było to zaplanowane... dlaczego dzwoniła, kto wpadł na pomysł, żeby dzwoniła. Można postawić hipotezę, że dziewczyna chciała się wycofać, a kiedy Van Rippe się zorientował, zaaranżował wszystko w ten sposób. Oczywiście miał cholerne szczęście, że mu się udało. Tego, że Maager dostanie pomieszania zmysłów i będzie milczał, nie mógł przecież przewidzieć. W każdym razie nie ma powodu, żeby dalej w sprawie grzebać... czy pani inspektor ma jeszcze jakieś uwagi?

– Jedno pytanie tylko. Czy nie można było zataić – przed Mikaela oczywiście – że Maager myślał, iż zabójczynią jest jego żona?

– Nie, tutaj raczej jestem pewien swego. Moim zdaniem przyda mu się trochę punktów. Z tego biednego faceta został przecież do cholery tylko cień. Ochranianie rodziny to jednak szlachetny czyn. A młode dziewczęta lubią szlachetne czyny. Muszę się przyznać, że sam podejrzewałem, iż zabiła jego żona. Ale zaledwie kilka dni. Maager był o tym przekonany przez szesnaście lat.

– I pozwoliła mu żyć w tym przekonaniu?

Minęło pięć sekund, zanim Baasteuwel odpowiedział. Słyszała, jak zaciąga się papierosem.

– Aha, czyli też zwróciłaś na to uwagę.

Moreno nie odpowiedziała, zastanowiła się przez chwilę. Czowała, że potrzebuje trochę więcej czasu, żeby ocenić rozważania Baasteuwela. Z pewnością będzie okazja, żeby do sprawy powrócić, ale na razie wszystkie kluczowe kwestie omówili.

– Miło było cię poznać – powiedziała na koniec. – Czy twój brat, ksiądz, jest równie bystry jak ty?

– To on jest inteligentem w rodzinie – zapewnił Baasteuwel. – I ma cholernie szczere serce. Przynajmniej jak na księdza. Z tej strony nie musisz się o nic martwić.

– Wspaniale. W takim razie nie mam więcej pytań. Dobranoc, inspektorze.

– Dobranoc, niech cię aniołki ukołyszają.

7 sierpnia 1999

Inspektor Moreno nigdy nie gościła w lokalu Towarzystwa przy Weiverssteeg – potocznie zwaną Zaułkiem Rzeźników – ale o nim słyszała. Powszechnie było wiadomo, że należał do ulubionych miejsc komisarza Van Veeterena, który przynajmniej kilka razy w tygodniu grywał tam w szachy i pił piwo. W każdym razie, gdy szefował jeszcze Wydziałowi Kryminalnemu, ale nic nie przemawiało za tym, żeby wraz z odejściem z policji przed blisko trzema laty i przekwalifikowaniem się na antykwariusza miał porzucić swoje dobre przyzwyczajenia.

Moreno nie widziała Van Veeterena od ponad pół roku – od tej tragicznej historii z jego synem – i z mieszanymi uczuciami schodziła po schodkach, które z poziomu ulicy prowadziły wprost do lokalu. W normalnych okolicznościach cieszyłaby się na spotkanie z nim; żeby na przykład dowiedzieć się, czy pogłoski, że pisze książkę, są prawdziwe – ale powód, z jakiego spotykali się tego ciepłego sierpniowego wieczoru, kazał odsunąć wszelką radość i entuzjazm na bok. Na odległość lat świetlnych.

Lokal był duży, pobielony wapnem, co odnotowała, kiedy oczy przywykły do panującego na dole półmroku. Miał niski sufit z tu i ówdzie ciemniejszym obelkowaniem oraz filary i ukośne przejścia, które utrudniały zorientowanie się, jakiej rzeczywiście wielkości jest pomieszczenie i ilu gości się w nim znajduje. Większość stolików była odgradzona od pozostałych, siedziało się w niewielkich boksach; z tego, co mogła dostrzec, przy ciemnych i ciężkich sosnowych stołach, na ławach przytwierdzonych do podłogi. Bar znajdował się naprzeciwko wejścia i wyglądał jak wszystkie bary na świecie. Na tablicy podawano, że potrawą dnia jest jagnięcina w rozmarynie z pieczonymi ziemniakami.

Dostrzegła głowę i wyciągniętą rękę Münstera w jednym z boksów w głębi i skierowała się w tamtą stronę. Van Veeteren podniósł się na powitanie, potem usiadł. Moreno stwierdziła, że wygląda młodziej, niż gdy go widziała ostatnio. Jakby odżył, był bardziej rześki; jego ciężką, roslą postać otaczała aura energii – aura, którą pamiętała sprzed wielu lat, a która praktycznie znikła pod koniec jego pracy w policji. Moreno wiedziała, że skończył sześćdziesiąt lat, ale gdyby miała zgadywać, dałaby mu pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt siedem.

Człowiek w policji starzeje się szybciej, pomyślała. Nie była to żadna odkrywcza myśl.

– Miło znowu zobaczyć panią inspektor – powiedział Van Veeteren. – Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

Moreno skinęła głową.

– Jak to zrobił? – zapytała.

– Powiesił się – wyjaśnił Münster.

– Aha, powiesił się.

– Tak. Można się dziwić, dlaczego nie zabił się ze służbowej broni, ale może odezwał się pewien respekt czy jakaś bariera psychiczna... tak, okropna historia.

– Napisał coś?

– Nie, nic. Ale my przecież wiemy, dlaczego to zrobił. Przez „my” rozumiem nas troje i tego przekłętą pismaka. Ale on raczej będzie milczał.

Münster zerknął na Van Veeterena zajętego swą nieporęczną maszynką do papierosów.

– Najprawdopodobniej – komisarz przez kilka chwil wodził wzrokiem po byłych współpracownikach. – Może szkoda, że nie zdobył się na parę słów, ale zawsze łatwo powiedzieć. Zostawił mimo wszystko byłą żonę i córkę. Nie mówię, że miał podać prawdziwy powód, ale jeśli człowiek odchodzi tak bez słowa, otwiera się pole do spekulacji. Chyba nikt z nas nie uważa, żeby trzeba było wyciągać to gówno na światło dzienne? Mając na przykład na względzie córkę?

– Nikt – powiedział Münster, nawiązawszy najpierw kontakt wzrokowy z Moreno. – W każdym razie ja nie.

Wyciągnął brązową kopertę i położył ją na stole.

– Może chcesz przejrzeć materiały, zanim je spalimy?

Nie otworzył jednak koperty, Van Veeteren też nie. Moreno zawahała się przez chwilę, potem sama ją otworzyła i wyjęła fotografię. Najwyraźniej powiększenie; czarno-biała w formacie 20x30 cm. Nietrudno było dostrzec, co przedstawia.

Kawiarniany stolik w ogródku. Wieczór lub noc, fotograf musiał użyć lampy, w tle było zupełnie ciemno. Zdjęcie skoncentrowane na dwóch postaciach, w prawym dolnym rogu coś białego, rozmazanego, może but albo kawałek nogawki postronnej osoby. Na stoliku – trzcinowym ze szklaną płytą – dwie szklanki: jedna ze słomką i małą papierową parasolką, druga, niemal całkowicie opróżniona, zwykła szklanka do piwa. Nic więcej, w każdym razie na tej części stolika, która znalazła się na zdjęciu.

Dwa krzesła; na jednym podkomisarz deBries. Odchylony, w białej koszuli z krótkim rękawem, w jasnych szortach. Opalony. Na drugim dziewczynka o południowoazjatyckim wyglądem. Drobna. Ciemnowłosa. Dziesięć, dwanaście lat.

Patrzy prosto w aparat lekko rozszerzonymi oczami. Szminka i makijaż nie są w stanie ukryć jej dziecięcego wieku. Biały mężczyzna obejmuje ją za chude ramiona i patrzy na nią lekko z ukosa. Na jego ustach błąka się coś na kształt uśmiechu. Dziewczynka ma na sobie bardzo krótką jasną sukienkę w kwiatki. Prawą rękę trzyma na lewym udzie deBriesa. Dość wysoko; on rozszerzył nieco nogi, szorty są szerokie i jej ręka ginie w mroku. Nie może być wątpliwości, co przedstawia zdjęcie.

– Tajlandia? – zapytała Moreno.

Münster kiwnął głową.

– Phuket teraz w styczniu. Był tam raz już wcześniej.

Moreno przypomniała sobie, iż rzeczywiście.

– A fotograf?

– Dziennikarz, frilanser. Najwyraźniej rozpoznał deBriesa. Użył krótkiego teleobiektywu, deBries nic nie zauważył. Był chyba trochę zajęty...

– Ile lat ma jego córka? – zapytała Moreno, wkładając zdjęcie z powrotem do koperty.

Van Veeteren odchrząknął.

– Dwanaście. Mniej więcej tyle, co ta.

Wskazał na kopertę.

– Nie mieli dobrego kontaktu – wtrącił Münster. – Rozmawiałem z Marią... jego była żoną. Twierdzi, że odkąd się rozeszli, staczał się... szczerze powiedziawszy, nie wydawała się zbyt zadowolona. Chociaż prawdziwego powodu nie zna.

Staczał się? Pomyślała Moreno. Chyba dobre określenie. Spostrzegła, że ma kłopot z wyważeniem swoich uczuć. Z ich uporządkowaniem. Odkąd Münster zadzwonił przed południem. Z jednej strony obrzydzenie na myśl o skłonnościach deBriesa, z drugiej poruszenie, że się zabił. Że tak ekstremalnie szybko wyciągnął konsekwencje. Zaledwie w kilka godzin. Münster rozmawiał z nim w piątek po południu, a powiesił się wieczorem lub w nocy. Znalazł go rano przyjaciel, drzwi nie były zamknięte na klucz. Żadnych wątpliwości. Żadnych wyjaśnień czy przeprosin.

Chociaż, co miałyby wyjaśniać, pomyślała Moreno. Usprawiedliwić się? Jak?

– Od kogo się dowiedziałeś? – zapytała, bo Münster wcześniej tego nie powiedział.

– Ten przyjaciel do mnie zadzwonił. DeBries zostawił na stole w kuchni kartkę z moim numerem.

Van Veeteren zapalił papierosa. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Myślałam, że to on – przyznała Moreno. – Jeśli ktoś już musiał być. Tylko on jakby wchodził w grę. Czy reszta wie, że deBries nie żyje?

Münster potrząsnął głową.

– Nie. W każdym razie, o ile nam wiadomo. Chcieliśmy najpierw...

Szukał właściwego słowa.

– ...skonsolidować nasze milczenie – dopowiedział komisarz. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Najprościej oczywiście będzie, jak okażecie takie samo wzburzenie jak inni, nie piśnecie słowa i nie puścicie tego zdjęcia w obieg. Ale może jesteś innego zdania... z kobiecej perspektywy, na przykład?

Moreno pomyślała przez kilka sekund. Więcej nie potrzebowała.

– W tej sprawie skłonna jestem odłożyć męskie i kobiece punkty widzenia na półkę. Chyba ważniejsze tu będą względy czysto ludzkie.

– Mam identyczną opinię – powiedział Van Veeteren. – Musiałem się tylko najpierw upewnić. Czyli jest zgoda, żebym się tym tutaj zajął?

Moreno wymieniła spojrzenia z Münsterem i kiwnęła głową. Van Veeteren wziął kopertę, złożył ją w pół i schował do wewnętrznej kieszeni. Popatrzył na zegarek.

– Mogę zaprosić kolegów na szklaneczkę? – zapytał. – Moja partyjka szachów zaczyna się dopiero za godzinę.

Moreno opuściła Towarzystwo około dziewiątej razem z Münsterem. Zaofiarował się, że podwiezie ją do domu, ale podziękowała i poszła na piechotę. Wieczór nadal był ciepły, ulice i ogródki kawiarniane pełne ludzi; poszła naokoło wzdłuż Langgraacht i Kellnerstraat, przez plac Keymera i Windemeerstraat; minęła antykwariat komisarza, zauważywszy że jest zamknięty z powodu przerwy wakacyjnej do dwudziestego drugiego.

Idąc przez miasto, próbowała myśleć o podkomisarzu deBriesie, ale po rozmowie z Münsterem i Van Veeterenem przywołanie jakiegoś obrazu z przeszłości wcale nie przychodziło jej łatwiej. Raczej trudniej. Jednak nie mogła uniknąć tego pytania. Czy zawsze będzie go pamiętała jako zbrodnicę? Czy to miało być jego epitafium? Czy kiedykolwiek dojrzy inne strony jego życia?

Nie знаła go zbyt dobrze, ale szanowała jako kolegę z pracy. Jako kompetentnego i sprawnego policjanta. Przecież szanowała? Czy wszystkie takie oceny zostaną teraz przyćmione przez tę sprawę? Czy czas zdoła kiedykolwiek położyć łagodzący cień na potępieniu, jakie teraz odczuwała? Na tej nieuchronnej dezaprobie? Nie miała pojęcia.

A Arnold Maager, pomyślała nagle.

Człowiek, którego nigdy nie spotkała, którego widziała tylko na zdjęciu. Co czuła, kiedy próbowała go sobie wyobrazić?

Podobnie jak z deBriesem. Trudno jej było odczuwać jakąś sympatię czy zrozumienie. Ewentualnie mogła ich żałować czy im współczuć – kara Maagera nie była współmierna do przewinienia – ale ci mężczyźni, zarówno deBries, jak i Maager, czy nie powinni przynajmniej zdawać sobie sprawy, że istnieje łańcuch przyczynowo-skutkowy, że każde działanie wcześniej czy później wiąże się z konsekwencjami?

Zawsze. Z takimi czy innymi.

Czy też osądzam zbyt surowo – zapytała siebie samą. Czy to tylko moja jędzowatość, którą staram się uszlachetnić, sprowadzając do jakiejś moralności?

Bzdury, mruknęła do siebie. Niewątpliwie istniała duża różnica między szesnastolatką z Lejnic a jedenastolatką – ile ta dziewczyna mogła mieć lat? – z Phuket, ale Moreno potrafiła zrozumieć tych, którzy twierdzili, że męska seksualność była wkładem Szatana do Wielkiego Planu. Tak to było.

Jeśli chodziło o deBriesa, była wdzięczna, że nie ona jedna należała do wtajemniczonych, że Münster też wiedział. Z czasem odczują pewnie potrzebę, by to przedyskutować. Może również z komisarzem Van Veeterenem.

Potem przypomniała sobie, co kiedyś powiedział Reinhart.

„Człowiek to zwierzę z bardzo brudną duszą. Ale umiejące cholernie łatwo ją czyścić”.

Kiedy mijala kościół keymerski, wybiła za kwadrans dziesiąta. Uświadomiła sobie, że ma jeszcze cały dzień urlopu. Cudownie.

W poniedziałek znowu pójdzie do pracy. Cudownie.